

NICOLE AVRIL

JEANNE



TŁUMACZYLI :
ANNA KARNKOWSKA JERZY STANKIEWICZ

Całuj mnie, całuj i całuj mnie jeszcze. Ja — pocałunek twój od innych
słodszy, Który oddycha pełnią twojej miłości — Gorętszy oddam niż
płonące węgle.

Louise iMbe

Rozdział I

Ma ten sam delikatny wyraz twarzy, co wszyscy mężczyźni, których opuszcza. Jeanne wyslizguje się z łóżka i przykrywa prześcieradłem ciało tego, który wkrótce zapadnie w głąb jej pamięci. Wypełnił sobą chwilę jej życia i już jego rysy zlewają się z poduszką. — Dokąd idziesz? — pyta mężczyzna i maca ręką łóżko. Nie wie jeszcze, że jest sam.

— Jeanne. Dokąd idziesz, Jeanne?

Milczeć. Dlaczego nie powiedzieć po prostu: wychodzę, i przywrócić do rzeczywistości na wpół śpiącego mężczyznę? Dlaczego nie powiedzieć: wróce, i skłamać? — Psst — szepcze Jeanne i głaszcze go po głowie. Plusk wody. Gdyby była u siebie, umyła by się cała, od stóp do głów. Ale, po miłości, nigdy nie jest u siebie. Będzie musiała wykonać całą serię mechanicznych gestów, zanim zamknie za sobą drzwi. Jaka cudowna noc musi być na zewnątrz! Dobrze będzie długimi krokami iść wzdłuż Sekwany. Poznała step, bagna, łąki... piasek, skały i błoto... algi, ciemne krzewy i mech... asfalt i ziemię... ziemię orną, spękaną, uginającą się, ziemię, w której człowiek zapada się jak wół, ziemię, którą może zadrasnąć noga czapli. Właściwie mogłaby rozpoznać krajobraz, dotykając go stopą. Wystarczyło jej zamknąć oczy, aby znów poczuła pustynię palącą stopy i tuż przy łydce oddech kojota, który pewnego wieczora towarzyszył jej w Dolinie Śmierci.

— Jeanne, Jeanne, co robisz? Czekam na ciebie! Czekam na ciebie, Jeanne.

— Wychodzę.

— Nie — protestuje mężczyzna.

— Śpij. Jesteś taki piękny, kiedy śpisz.

— Ubrałaś się już?

— Jutro muszę wcześniej wstać.

On mówi, że to głupie, że na śniadanie miała być chińska herbata i rogaliki. Jaka szkoda, odpowiada grzecznie Jeanne, myśląc o tym, że wszyscy planują na śniadanie rogaliki i chińską herbatę. Jutro, kiedy obudzi się u siebie w domu, będzie jak co rano bez pośpiechu przygotowywać grzanki, zanim pójdzie do szpitala.

— Jeanne, zostań, proszę cię.

Siedzi na łóżku z wyciągniętymi nogami i podniesionym torsem. Jest być może wzruszający lub przekonujący. Jeanne tego nie widzi. Jeanne ledwo go słyszy. On już tylko oddziela ją od nocy. I nawet gdyby nie był to czerwiec, i nawet gdyby gorący asfalt nie wydzielał tego zapachu

ptaka upieczonego razem z upierzeniem, musiałyby uciec z pokoju tego mężczyzny, którego tego samego wieczora uwiodła, zdobyła i porzuciła.

Przy każdym wyjściu nieuchronnie powracał jej na myśl Pierre, jej pierwszy kochanek, i za każdym razem to wspomnienie wzmocniało jej wolę, by skończyć jak najszybciej. Nie sposób wymienić tych wszystkich mężczyzn, których poznała potem. Wystarczy jednak, by któryś z nich poprosił ją o pozostanie, aby znów pojawiała się przed nią, nie bez pewnego upodobania, którego była świadoma, twarz jej pierwszego kochanka. Było to jesienią. Za szybą zdychały muchy 1962 roku. Pierre miał trochę więcej niż siedemnaście lat, Jeanne trochę mniej. Po obu stronach okna wychodzącego na podest milczeli, opierając się o ścianę. Na ziemi poniewierał się liść sałaty. Żadna z przechodzących osób nie zamierzała go podnieść. Czyżby chodziło o dowód rzeczowy? Pani Hemard zajmowała wraz z matką Jeanne trzecie piętro domu z pokrzywionymi okiennicami i przeżartym grzybem tynkiem. Codziennie uparta pani Hemard zamasyżuje otrząsała sałatę na podeście między drugim a trzecim piętrem i codziennie z koszyka wypadał jeden liść. Z kalendarza pani Hemard opadała kolejna kartka. Na szóstym piętrze mieszkał sam z matką stary kawaler, pan Loiseau. Kiedy mijał się z panią Hemard, za każdym razem recytował jej swój czterowiersz:

Pani sałata wprost mnie przygniata. Pani rozspunka — straszna biegunka.

Pani skarola — wielka niedola. Liście sałaty to śmierć na raty. Pierre patrzył na Jeanne.

— Powiedz coś, no powiedz coś!

Kiedy Jeanne nadal milczała, twarz Pierre'a się wykrzywiła, policzki zbieleły jak kreda, a w oczach pojawiła się wilgoć.

— Nie kochasz mnie już?

Spoglądała na koty ścigające się w ruinach sąsiedniego domu, zbombardowanego podczas wojny. W dwadzieścia lat później wciąż były tu gruzy. Na ocalałym fragmencie muru dziecko Cadum uwieczniało pamięć właściciela drogerii, który tu zginął przygnieciony cegłami i mydełkami.

— Nie kocham cię — powiedziała wreszcie.

— Kochasz innego?

— Nie.

Odpowiedziała „nie” machinalnie. Czy kochała innego mężczyznę? Jej apetyty były o wiele większe. Dlaczego mężczyznę? Dlaczego jednego? Czula, że rośnie, że rozwija się pospiesznie. Niedługo ten dom nie będzie

już na jej miarę. Czuła, jak w jej ciele, szyi, rękach narasta niecierpliwość. Boże, daj mi ogromne ramiona, ponieważ chcę objąć cały świat! Pierre patrzył na nią poprzez łzy, na tę zachłanną dziewczynę o płonącej, rozwichrzonej czuprynie. Z wściekłością rozgniółł dwie muchy na brudnej szybie, kolana się pod nim ugięły i z głową między udami Jeanne zaczął oddawać się rozpacz. Nigdy nie zapomniała łkań Pierre'a, przerażenia na jego tak jeszcze niedawno dziecinnej twarzy, grymasów i pustki w oczach. Przeżyła później zerwania bardziej bolesne, ale to właśnie wspomnienie Pierre'a dodawało jej siłę, kiedy odchodziła, aby uniknąć dramatu.

— Nie chcesz, żebym, cię odprowadził? — pyta mężczyzna, siedzący ciągle na łóżku ze skrzyżowanymi nogami.

— Przeżyjesz się — odpowiada Jeanne.

— Nie było ci dobrze?

— Ależ tak.

— To tylko pierwszy raz, przekonasz się...

— Wszystko było jak najlepiej. Przysięgam.

— Kiedy się znowu spotkamy?

— Zobaczymy. Nie, proszę cię. Nie wstawaj. Zamykam drzwi.

— Jesteś pewna, że było ci dobrze? Jeanne śmieje się.

W obawie, że ujrzy otwierające się za nią drzwi, nie traci czasu na windę. Trzy piętra to jeszcze nie śmierć. Powtarza to ciągle swoim pacjentom, których trzeba na nowo nauczyć posługiwania się nogami. Gdyby nie zostawiła samochodu kilka metrów od tego domu, wróciłaby do siebie pieszo. Paryż jest akurat na miarę spacerowicza. Czyż nie wystarczy zejść ze stoku, aby dojść z la Butte, gdzie Jeanne kochała się z mężczyzną, do Village Suisse, gdzie będzie samotnie spała?

Miasto jest ciepłe jak noworodek. W lekkim wietrzyku mieszają się zapachy smoły i liści. Dochodzi jedenasta. Uliczny pył staje się fioletowy, a szeroka aleja pogrążona jest w ciszy tropikalnej nocy. Można by powiedzieć, że niewidoczna fermentacja zaraz ją uniesie jak powierzchnię ciasta. Paryż Koziorożca. Paryż wielkich wieczorów.

Jeanne idzie pod platanami. Za każdym razem kiedy już jest sama, ogarnia ją coś w rodzaju upojenia. Oddycha głębiej, jej zmysły stają się bardziej wyostrome, a myśli jaśniejsze. Należy do siebie. Odnajduje nietknięte wspomnienia szczęśliwych sjest dzieciństwa, kiedy w upale lata śpi się przy otwartych oknach i drzwiach, kiedy zanika przedział między tym, co na zewnątrz, a tym, co wewnątrz, między ciałem a

łóżkiem, między tobą a światem. Jest się na swoim miejscu, ale wystarczy jeden podmuch i ulatuje się na skraj pejzażu.

Za plecami Jeanne ktoś próbuje dostosować do niej rytm swego kroku. Autokary z turystami wspinają się ku place du Tertre. So nice, isn't it? Tak, so nice, so nice. Jeanne nigdy nie przestała odkrywać Paryża z taką samą radością jak za pierwszym razem. So nice! Nieznajomy zwalnia kroku, kiedy Jeanne się zatrzymuje. Mężczyzna jest wciąż za nią. Przysięgłaby, że to mężczyzna. Tylko mężczyzna szukający przygód będzie szedł po twoich śladach, aby je zetrzeć, aby ukraść ci wieczór, spacer i radość, aby cię zgwałcić wzrokiem i, nawet jeśli jest noc, stać się twoim cieniem.

Pewnego razu w Lyonie podrywacze urządzili polowanie na Jeanne. Co roku podczas targów odbywała się wielka nagonka.

Nie należało wówczas opuszczać miejsca zamieszkania, a jeśli już, to przemieszczać się jak najszybciej, ponieważ na okres tych piętnastu dni miejscowi podrywacze otrzymywali posiłki z kraju i z zagranicy. Rue de la République stawała się dżunglą, a w każdym kinie rozbrzmiewały trąbki myśliwskie. Ich oddechy na karku, lubieżne chichoty, wilgotne wargi, wszystko jedno co, wszystko jedno kto... Jeanne chce patrzeć prosto w oczy. Jeanne chce wybierać. Nie! — wołała do swoich prześladowców między place des Jacobins a place des Cordeliers.

Odwrociła się gwałtownie. Mało brakowało, a idący z tyłu mężczyzna wpadłby na nią.

— Przepraszam — mamrocze zawstydzony.

Nie jest to mężczyzna, ale dziecko. Wydaje różne dźwięki, które nie układają się w słowa. Przestępuje z nogi na nogę. Ma czternaście lub piętnaście lat, drżący głos i manipuluje obgryzionymi paznokciami ręki, bez przerwy podciągając i opuszczając zamek błyskawiczny kurtki, — Pan oszalał! — wykrzykuje Jeanne.

Jej oczy wpatrują się w niego bez litości. Ktokolwiek ośmieliłby się zakłócić jej spokój, jej myśli, jej spacer — jest wrogiem.

— Chyba pani nie przestraszyłem? — udaje mu się wreszcie wydukać.

— Przestraszyć? Ty? Chyba żartujesz! Kpina działa na chłopaka jak policzek. Jeanne dodaje w bardziej pojednawczym tonie:

— Idź spać, już pora, i zapomnijmy o tym. — Nie pyta mnie pani, dlaczego tu jestem?

— Twoja matka... nie czuje się dobrze?

— Nie, skąd, bardzo dobrze. Byłem dziś u niej w szpitalu.

— Więc o co chodzi?

— O nic. Nic.

— Czatujesz na mnie, śledzisz mnie i twierdzisz, że nic się nie stało. Ma pan cholerny tupet, młody człowieku!

— Przepraszam panią.

— No, wsiadaj. Podrzucę cię do domu.

Ledwo otworzyła prawe drzwiczki swego wozu, kiedy zwinął się w kłębek na siedzeniu jak zmarznięte szczenię.

— A gdybym tam spała, czekałbyś całą noc?

— Tak — powiedział z uśmiechem. Najwidoczniej perspektywa przedłużonego czuwania przerażała go mniej niż to tete-a-tete.

— Śledziłeś mnie?

— Tak. Od szpitala.

— Kretyn.

Wciska głowę w ramiona, podczas gdy samochód wjeżdża w rue Caulaincourt. Jeanne nie znosi, kiedy ktoś staje jej na drodze. A jednak gwałtowność jej słów maskuje zakłopotanie. Czyż ten chłopiec nie wydaje się jej jeszcze młodszy niż trzy dni temu, kiedy zobaczyła go po raz pierwszy? Z zaciśniętymi kolanami, z dłońmi na udach siedział przy łóżku swej matki. Nie poruszył się, kiedy weszła do pokoju, ale zauważyła, że się zaczerwienił.

— Pozwoli pani, że przedstawię mojego syna — powiedziała pani Lorin, odrywając się z wysiłkiem od poduszki. Jeanne operowała ją zaledwie tydzień wcześniej. Na te słowa syn podniósł się sztywno i wyrzekł swoje imię:

— Mathieu.

Potem milczał przez cały czas, gdy Jeanne rozmawiała z chorą. Kiedy wychodziła, ruszył za nią.

Zacinając się i tracąc oddech, bez końca dziękował Jeanne. Uratowała pani moją matkę, powtarzał, wskazując podbródkiem drzwi jej pokoju. Aby nie były to tylko słowa, chłopiec chciał zaoferować Jeanne dowody swej wdzięczności. Zaproponował, że będzie na jej usługi, że odmaluje jej dom, przystrzyże trawnik, zaopiekuje się dziećmi.

Mam dom, a nawet trawnik na ósmym piętrze, powiedziała Jeanne, ale nie mam dzieci. Uśmiechnął się uradowany. Nie wiedziała, czy to te szczegóły sprawiły mu przyjemność, czy też tylko sam fakt, że nie został natychmiast zbesztany. Wymienił raz jeszcze prace, których mógłby się podjąć. Jego oczy błyszczały. Jego naiwność przypominała jej dziewczynki sypiące kwiaty podczas procesji Bożego Ciała.

Stopniowo jego słowa nabierały stanowczości. Powtarzał z oddaniem słowo „madame”, zabawnie akcentując pierwszą sylabę. Jego czarne włosy w nieładzie i policzki, różowe i gładkie, były takie dziecinne. Jednakże skrzywienie ust i napięcie w spojrzeniu świadczyły o usposobieniu skłonnym do cierpień.

Wykonywałam tylko mój zawód, odpowiedziała Jeanne z wyniosłym uśmiechem przeczącym skromności wypowiedzianych słów. Bardzo panią proszę, wyszeptał po raz drugi łamiącym się głosem. Dwie pielęgniarki przechodząc otarły się o nich lekko. Zamieniły z Jeanne kilka słów. Mathieu ledwie je widział. Pana matka czeka na pana, zwróciła się do niego, kładąc mu rękę na ramieniu. Odsunął się więc z twarzą skrzywioną bólem.

— Ale pani wróci? — nalegał Mathieu błagalnym głosem.

— Naturalnie.

— Jutro? Jutro chciałbym panią zobaczyć... Ja chcę...

— Nie przyjmuję rozkazów.

Wysoka sylwetka Jeanne zniknęła w perspektywie korytarzy w ostrym błysku światła.

Na szczęście samochód Jeanne przybył na place Clichy, zanim Wepler zdążył wypluć swoją publiczność. Mathieu milczy i, gdy Jeanne pyta go, czy przynajmniej zdążył zjeść kolację, kuli ramiona w wykrętnym geście. Nagle, na rue d'Amsterdam, Jeanne musi zahamować na wysokości migoczących okularów, służących za szyld pracowni optycznej. Mathieu odwraca się do niej i mówi nieprzyjemnym tonem, charakterystycznym dla ludzi nieśmiałych, dla których każde słowo jest prawdziwą torturą:

— Pani włosy.

— Cc, moje włosy?

— Nic — odpowiada z zamkniętą twarzą.

Jeanne upiera się. Zdanie rozpoczęte musi zostać zakończone. Nie chodzi tu bynajmniej o zasady składni, ale o dobre obyczaje. Ponieważ Jeanne nie jest wcale skłonna ustąpić, Mathieu zgadza się w końcu to wytłumaczyć. Tego wieczora po raz pierwszy odkrył włosy Jeanne. W szpitalu ukrywa je pod czepkiem, który dopiero co zresztą zdjęła, wtedy gdy Mathieu, jeżdżąc motorowerem, wysłedził ją w jej wędrownce po Paryżu. Mathieu znowu milczy. Na jego dolnej wardze, która lekko drży, pojawia się strumyczek potu. Patrzy na nią. W wyobraźni widzi czepkę zsuwający się po płonących ognistą czerwienią splotach i włosy rozrzucone nagle na ramionach Jeanne.

— Jesteś głodny?

Nie czekając na odpowiedź, Jeanne zatrzymuje się przed restauracją. Właścicielka zaprasza ich z okrzykiem radości i konwencjonalnymi całusami. To mała kobietka, blondyneczka, której okrągłe oczy z ledwo zaznaczonymi brwiami robią wrażenie, jakby ich właścicielka stale była zdziwiona. Pod jej spojrzeniem Mathieu coraz bardziej zaciąga zamek swojej kurtki i chowa głowę w ramiona, tak jakby spodziewał się jakiejś przykrej uwagi. Jeanne wybiera stolik i prosi o szybką obsługę. Mała blondynka natychmiast przynosi im kartę wyglądającą jak pergamin, ale Jeanne odsuwa ją zdecydowanym ruchem, a razem z nią — towarzyszące jej względy. Nie czekając ani chwili dłużej, zaczyna zamawiać. Jej młody towarzysz godzi się na wszystkie jej decyzje, aprobując potakując: „tak, oczywiście, tak jak dla pani”.

— Nie napychaj się tak samym chlebem — wykrzykuje Jeanne.

Jego usta i nos są w ciągłym ruchu, pochłonął już pół bagietki, rozsypując wszędzie naokoło okruchy. Rzucona przez Jeanne uwaga przerywa znienacka żucie, jego rysy zastygają tak jak twarz aktora na ekranie, w zatrzymanym nagle kadrze. Młodość Mathieu i jego niezręczność powodują, że dobre maniere zamieniają się w bufonadę. Mathieu namyśla się, czy spróbować wina, i, wobec zakłopotania kelnera, który wyraźnie stara się, by nie obsłużyć Jeanne, zanim Mathieu nie wyrazi swojego zdania, w końcu jednym haustem wypija zawartość kieliszka. Z purpurowymi policzkami wyznaje wreszcie, że sam nie wie, i spuszcza głowę w talerz Jeanne krzyżuje wzrok z właścicielką — ona ma na imię Nadege albo tylko każe się tak nazywać — i zgaduje, w nim zmieszanie, rodzaj dezaprobaty. Nie, Jeanne, nie, to nie to, on jest za mały, za mały, moja przyjaciółko, zdają się mówić szeroko otwarte oczy Nadege.

Wystarczy, że chłopiec wychłpcze swoje kokilki Saint-Jacques z jarzynami, jakby to był zwykły garnek z Bledine, i że jego spojrzenie wykazuje dobitnie, iż kobieta u jego boku nie jest ani jego matką, ani ciotką, żeby naokoło rozpoczęły się wyszukane spekulacje. Jeanne czuje ciekawość wznoszącą się od sąsiedniego stolika wraz z chmurą dymu z cygar. Czyż od czasów, gdy Kronos wykastrował swojego ojca, nie trzeba nauczyć się liczyć przed zakochaniem się? Jednakże Jeanne nie wypytuje nigdy o wiek kapitana, gdy bryza przybiera na sile.

— Jesteś zadowolony, Mathieu?

— Tak — odpowiada.

Jakiś pijak stanął w drzwiach restauracji. To człowiek młody, najwyżej dwudziestoletni, ale jego twarz wydaje się wykuta ze zniszczonego przez

czas kamienia. Ma ogoloną czaszkę, usta o bladych i grubych wargach, podłużne oczy Mongoła, podkreślone jeszcze siłą obwódka zmęczenia i kurzu. Można by go nazwać starym posągami młodości. Kołyszący ruch jego ciała kłóci się z nieruchomością rysów twarzy.

Dźwięcznym głosem rzuca wszystkim „dobry wieczór”. Niczym u brzuchomówcy wypowiedziane sylaby nie poruszają mimiki jego twarzy. W małej sali, wyściełanej ładniutko niczym trumna w najlepszym gatunku, wysoka postać młodego gburą ma w świetle świec jakiś posmak grozy. Wydaje się, jakby poruszał się on na szczudłach, z każdym krokiem zagłębiając się bardziej w mule. Posuwając się naprzód, czepia się na zmianę to czyjejsz ręki, to oparcia krzesła, wreszcie ramienia jakiegoś klienta.

— Co za ohyda! — wykrzykuje jedna z kobiet, ledwie uniknąwszy uderzenia jego pięści.

Alkohol mąci spojrzenie młodego monstrum. W jego lewym uchu błyszczą złoty kolczyk.

— Czego pan sobie życzy? — pyta go Nadege, wspinając się na palcach.

— Żreć! — ryczy pijak. — W tym kurewskim metrze nie ma nic do jedzenia. Jestem głodny, do cholery. Nie rozumie pani?

— Jeśli będzie się pan zachowywał spokojnie, przygotujemy coś dla pana — obiecuje Nadege.

— Nie ufam ci, odsuń się, jak będę patrzył, co jest na talerzykach tych miłych panów.

Uderzeniem ramienia odepchnął Nadege. Klienci zaczęli krzyżeć. Ich zuchwałość go powstrzymała. Z poślądkami wbitymi w aksamit, kolanami ściśniętymi pod okapem obrusu najeżyli się groźnie jak koty. Tymczasem Jeanne odpycha właśnie krzesło i podnosi się z miejsca. Jednocześnie młody człowiek z kolczykiem w uchu kieruje się w jej stronę. Wyrasta przed nią. Jakby po to, by przerwać chyboczący ruch ciała, z całej siły opiera się o stół, dwie wielkie dłonie o krótkich i brudnych palcach opadają wprost na obrus. Kieliszek Mathieu przewraca się, a chłopiec z przykrością spostrzega płamę z wina pojawiającą się między nim a Jeanne. Na domiar nieszczęścia, czyż Jeanne nie zaprasza tego strasznego człowieka z wygoloną czaszką do ich stolika?

— Jeśli jest pan głodny, proszę, niech pan siada — mówi Jeanne.

— Z panią — nigdy — odpowiada typ. — Pani raczej ze mnie żartować.

Wtopione w wykutą z szarego kamienia twarz jego małe oczka błysnęły nagle, w zaciekawieniu wodząc spojrzeniem od Jeanne do Mathieu, od Mathieu do Jeanne. Wszyscy goście wstrzymali oddechy. Prawdziwa szansa dla nich, że ten młody pijaczyna szczęśliwie ominie ich stolik. Nadege biegnie do kuchni szukać pomocy.

— Morderca i jego ofiara, jaki piękny obrazek! — wykrzykuje pijak.

Poruszając się w oczodołach głębokich jak otwory strzelnicze, nabiegłe krwią oczy krążyły jak na karuzeli między Jeanne i Mathieu, Mathieu i Jeanne. Wreszcie jego źrenice rozszerzyły się i cała czerń spojrzenia skupiła się na Jeanne.

— Nie chciałbym zejść z panią do metra — mówi, wskazując na nią podbródkiem. — Są szaleńcy, którzy zrzucają ludzi pod koła nadjeżdżającego pociągu.

Obelga ta, jak się zdaje, nie poruszyła Jeanne, która posuwa krzesło w stronę włóczęgi, chcąc jakby ponowić swoje zaproszenie.

— Nigdy — powtarza on. — Pani nie ma skrupułów. Tacy ludzie jak pani zadają ciosy po cichu. Nigdy nie słyhać, jak nadchodzą. Zjawiają się za piecami. I już! Stało się! Jesteś zmiażdżony!

Trzech silnych byków wyłania się biegiem z kuchni i chwytą przemawiającego pijaka. Starcza mu tylko czasu na złapanie kilku kawałków chleba i wetknięcie ich za koszulę.

— Dziękuję, chłopaki — wykrzykuje, jego głos przepojony jest alkoholem, a czaszka lśni od potu.

Nie stawia swoim prześladowcom żadnego oporu. Znikając w drzwiach, odwraca się jeszcze i, szukając wzrokiem stolika Jeanne i Mathieu, rzuca ostatnią zniewagę: — Morderca i jego ofiara, jaki piękny obrazek!

Znowu zaczynają dźwięczeć kieliszki. Rozwiązują się języki. Nadege gratuluje wszystkim zimnej krwi. Każdy przepowiada katastrofę. Czyż kloszardzi nie są coraz młodszy i coraz brutalniejsi? Paryż staje się nowym Chicago. Do czego to doprowadzi?

Jeanne pochyla się w stronę Mathieu. Chłopiec jest blady. Nic się nie stało, szepcze Jeanne. W jej głosie czuje się chęć uspokojenia go, zupełnie tak samo jak kołysze się maleńkie dziecko, gdy koszmar obudzi je w środku nocy. Żaden mięsień nie uwydatnił się na ciele Mathieu i oziębłość dzieciństwa musi ukrywać się w zakamarkach jego ciała. Bałeś się, Mathieu? Pragnęłabym, żebyś bał się mnie, myśli Jeanne, do tego stopnia, żeby trzymać się na dystans mimo twego pożądanego. Znalibyśmy

się na odległość i to nie twój czy mój wiek by nas rozdzielił, lecz twój lęk, i tylko on.

Kiedy chłopiec zaczyna zdanie, jego usta tworzą nieregularny rysunek i wyginają się w stronę prawego kącika, za chwilę zapomina jednak o swej nieśmiałości i rysy jego twarzy się wygładzają. W miarę mówienia słowa płyną coraz łatwiej. Mathieu wcale nie wie, że źle akcentuje słowa, tak bardzo czuje się zaabsorbowany kobietą, która jest tuż obok i której oczy są tak piękne i przerażające, że nie można tego pojąć. Ma duże ręce z krótkimi paznokciami. To właśnie te ręce operowały matkę Mathieu. Te same ręce, które umieją dotykać, badać, naciągać skórę, otwierać ją i wreszcie rozedrzeć. Te ręce, które codziennie zanurzają się w czyimś sercu i kroją tkanki. Te ręce, które na czubkach palców przynoszą życie lub śmierć. Chirurg? Chirurg--kobieta? Czy to słowo ma w ogóle rodzaj żeński?

— W jakim stanie jest serce mojej matki? — pyta Mathieu.

— A to już mój sekret.

Mathieu dręczy pulsowanie krwi, czuje je w skroniach, wzdłuż szyi, w głębi uszu, wreszcie w żołądku. Je, nie wiedząc nawet, co zjada. Po prostu pochłania wszystko to, co się przed nim stawia. Trzeba połykać, to jedyna czynność, w której może wykazać swoją wolę. Reszta należy do Jeanne, której nie ośmiela się niczego wskazywać. Na jego wargach i w jego myślach ona jest panią.

— A teraz Mathieu, pójdziesz się położyć.

Mówi tak, składając starannie serwetkę. Cóż mógłby zrobić, by przedłużyć jeszcze o kilka minut ich sam na sam? Może jeszcze herbata, jakiś alkohol, cygaro? Byłby gotów na każdy fortel, ale ton Jeanne wykluczał jakikolwiek sprzeciw. Inni klienci już wyszli. Oparta łokciem o bar właścicielka nie przestawała obserwować swoich ostatnich gości.

— To było bardzo smaczne, Nadege — mówi Jeanne.

— Bardzo dobre, jak zawsze. Nie sądzisz, Mathieu? Chłopiec ma jej za złe wprowadzenie tej kobiety między ich dwoje. I od razu Jeanne musi z nią rozmawiać. Nie patrzy już na Mathieu. Przeciwnie, odwraca od niego twarz, naprężają się jej ręce. Ona nie ma prawa go opuszczać.

— Mam nadzieję, że pani nie wini mnie za ten incydent — mówi Nadege. — Cóż mam robić? Nie mogę przecież na stałe postawić strażnika przy drzwiach.

Ależ nic się nie stało, zapewnia Jeanne. W samochodzie Mathieu dziękuje Jeanne i zebrze już o następne spotkanie.

— Oczywiście, że się zobaczymy — odpowiada Jeanne bez uśmiechu.

— Jest pani na mnie zła?

— Będę zła, jeżeli drugi raz wpadniesz na pomysł, żeby mnie śledzić. Rozumiesz? Mieszkasz pod 35?

— Tak.

— Jesteśmy więc na miejscu. Wsiadaj, Mathieu.

— Czy będę mógł jeszcze panią zobaczyć?

— Jeśli będziesz rozsądny...

Od tego momentu, gdy ona przyjęła ten ton gderliwy i macierzyński, Mathieu znów pogrzyżył się w nieśmiałości, oddychał z trudem, meszek na jego brodzie najeżył się jak u czatującego kota. Jest piękny z tą swoją szyją okoloną czarnymi lokami i ciemnymi oczami, ocienionymi dziecinnymi frędzlami rzęs.

— Wychodź już, Mathieu — nalega Jeanne.

Teraz trzeba działać szybko i barwą głosu odpędzić tego młodego kota, który się ociąga. Mathieu otwiera drzwi i wyskakuje na chodnik. Wtyka przez okno długą, chudą szyję, różowe usta drżą, nie mogąc się zaofiarować. Czy dręczenie dziecka może sprawiać jakąkolwiek przyjemność?

— Morderca i jego ofiara? Co on miał na myśli, ten typ przed chwilą? — pyta Mathieu.

— Skąd mam wiedzieć. To nie ma znaczenia, Mathieu. Śpij dobrze.

We wstecznym lusterku Jeanne widzi, jak znika jego wysoka postać kołysząc niezdarnie ramionami. Komuś innemu wystarczyłoby pomachać ręką. Mathieu jest w wieku, kiedy ulega się porywom. Biedne, drogie dziecko, jesteś za duży, żebym patrzyła, jak się bawisz, za mały, żebym bawiła się razem z tobą.

Rozdział II

— A Jeanne? Nie przyszłaś z nią? — zdziwiła się Florence Baccarat, pani domu. — Jak to się stało, że Jeanne nie jest z tobą? Niepokoisz mnie.

Już na progu Victoire musiała znaleźć słowa, by uspokoić Florence. Jeanne przyjdzie, jak obiecała. Florence raczyła więc tylko powiedzieć Victoire „dobry wieczór” i pochwalić, jak należało, jej piękny wygląd i ładną suknię.

Nie było powodu do obaw. Ci, których się oczekuje, zawsze wreszcie przybywają. Victoire nauczyła się ufać wydarzeniom. Czyż nie знаła Jeanne od dobrych piętnastu lat? Jej przyjaciółka obiecała przyjść, więc przyjdzie, dotrzyma słowa.

— Wydaje się pani dziś promienieć — rozległ się szeleszczący głos pana Baccarat, który zgiął się wpół, by otrzeć swe zaokrąglone policzki o wargi Victoire.

Georges Baccarat mówił zawsze w taki sposób, jakby zwiastował jakieś tajemnice. Rościł sobie prawo do wrodzonego autorytetu, który rozciągał mezza voce od ministerialnych gabinetów po salony. Uwielbiał usidlić swe audytorium i prowadzić je ciemnymi korytarzami władzy. Ze swoją ledwie zaokrągloną tłuszczeni sylwetką potrafił w trudnych momentach prześlizgnąć się z jednej frakcji do drugiej, z ekipy rządowej do tej, która miała po niej nadejść. Wydawał się zawsze poruszać na czubkach palców i trudno było rozsądzić, czy robi to z zamiłowania do ciszy, czy też po to, by lepiej wziąć rozpęd i w określonym momencie przeskoczyć do przeciwnego obozu. Jediną przejrzystą cechą pana Baccarat było jego nazwisko.

— Co pani podać, Vic?

Vic wołała poczekać na nadejście innych gości. Tuż przed wojną została nazwana przez swoich rodziców całkiem zwyczajnie Victoire. Później, zostając agentem reklamowym, straciła część swego ja i przeszło połowę imienia. Od tej chwili została Vic, a nawet „kochaną Vicky” dla aktorów, którymi się opiekowała i którzy uważali się za jej przyjaciół. Jedną Jeanne pozostała wierna dawnej Victoire. Zresztą będąc tu, w salonie Florence Baccarat, Victoire traciła nieco ze swej zawodowej swobody. Połączyło je tyle spotkań tete-a-tete, że jedno spojrzenie Jeanne na przyjaciółkę wystarczyłoby, by wydobyć prawdę spod towarzyskiego blichtru. Oczywiście Victoire nie przedstawiała się uśmiechać — czyż nie był to jej zawód? — i stosować uniwersalną

sztukę pochlebstwa, ale nagle, jak aktorka znużona odgrywaniem wciąż tej samej roli, zdawała sobie sprawę, że gra. uśmiecha się, pochlebia. W takich chwilach miała chęć opuścić scenę w samym środku kwestii. A jednak zostawała.

Jakiegokolwiek było to miejsce, przybywała pierwsza i opuszczała je ostatnia. Czyż nie była wielkim organizatorem radości, z której korzystali zawsze inni? A nawet tego wieczora, kiedy uważała, że jest poniekąd na urlopie, obecność państwa Baccarat przypomniła jej, że tylko przyjście Jeanne usprawiedliwiło zaproszenie jej samej.

Victoire ogarnęła jadalnię spojrzeniem eksperta. Wszystko było idealnie. Gospodarz wraz ze sztuką zawierania politycznych przymierzy otrzymał w spadku sztukę rozsadzania gości przy stole.

— Nie martw się tym — wykrzyknęła Florence, widząc Victoire schylającą się nad kartonikami z nazwiskami gości. — Georges sprawdził wszystko, a do niego można mieć zaufanie. Biedakowi tak brakuje fantazji! Gdyby nic polegał na mnie...

Florence Baccarat z przyjemnością posłałaby w diabły wszystkie reguły pierwszeństwa i inne prerogatywy. Przynajmniej tak mówiła. Marzyła o przekształceniu swego apartamentu w boisko. Na dźwięk gwizdka każdy z gości powinien wziąć rozbieg i rzucić się na najbliższe krzesło.

— Ale wiesz, jaki jest Georges. Kolekcjonuje buty Lobbisa i dobre maniery.

Jej mąż uśmiechał się, ssąc fajkę. Pan i pani Baccarat lubili akcentować różnice swoich charakterów. W tej światowej grze każde z nich znało swoją rolę do perfekcji. On był kimś w rodzaju świętego Józefa, posługiwał się językiem giętkim i wyszukany. Tylko naruszenie zasad dobrego smaku lub składni mogłoby wytrącić go z równowagi. W takich wypadkach nie wahał się wychłostać winnego na miejscu, oskarżając go niemal o zbrodnie przeciw ludzkości. W rewanżu Florence okazywała sympatię tym, którym udawało się zakłócić ceremoniał ustanowiony przez jej męża.

Mówiła głośno, jak kuglarz na odpuscie, podkreślając każde zdanie błazeńską mimiką. Publicznie wyśmiewała doskonałość swego męża, po cichu poświęcając wiele energii na popychanie jego kariery.

— Obiecuję sobie wiele przyjemności ze spotkania z twoją przyjaciółką, Vic. Czy jest naprawdę taka ładna, jak mówią? Mam nadzieję, że przestraszy Georges. Kobieta, która co dzień zanurza ręce we krwi, nie może pozostawić obojętnym takiego artysty jak ja.

Pokazała Victoire swoje ostatnie prace. Na ścianach oleje. Pod kanapą i fotelami szkice. W szufladach szafy w stylu Ludwika XVI karykatury współczesnych, którzy zasiadali przy jej stole. Wreszcie ułożone według przynależności do poszczególnych partii, w czterech punktach salonu, podobizny węglem wszystkich bardziej znanych polityków.

Florence cieszyła się na myśl o szkicu, który poświęci Jeanne. Oczywiście będzie krwawy. Widziała już swój model oparty o ladę w bistro, z bluzą nasiąkniętą krwią jak u tych wesołych rzeźników ze szczęśliwych czasów la Villette. Wyglądała jak wieloreki Wisznu, rzeźbiąc w powietrzu dłońmi kształty swego przyszłego arcydzieła. Kończąc każde zdanie, stukała jednym o drugi swymi czerwonymi butami, a ponieważ mąż wytknął jej tę kardynalską purpurę, która kontrastowała zbyt mocno z czernią jej sukni i pończoch, odpowiedziała tyko: to przecież błazenada. Z odrzuconym do tyłu torsem, krokiem Chaplina przeszła przez salon powitać nowo przybyłych. Już była w ich objęciach.

— Przyjaciele, mam dla was niespodziankę! — szepnęła na stronie. (Później, odwracając się do wysokiego chłopca w połyskliwym niebieskim krawacie, dodała: Dla ciebie to będzie tylko częściowa niespodzianka. Ta pani nie jest ci całkiem nie znana).

Pani doktor Marsilly niedługo przybędzie, to było pewne,

Florence szukała aprobaty w spojrzeniu Vic. O której godzinie nadejdzie atrakcja? Szs, nie tak głośno! Atrakcja jest już może pod drzwiami.

Mężczyzna w niebieskim krawacie ucałował Victoire.

— Czy to ty potrafiłaś przekonać Jeanne? — spytał. — Bardzo się cieszę. Nie widziałem jej już przeszło miesiąc.

Miał na imię Martin, a jego oczy były koloru letniego nieba, jasne i promienne. Mówił łagodnym tonem, zawieszając swe spojrzenie na jednym z rozmówców, mężczyźnie lub kobiecie.

— Jaką to nową książkę piszesz dla nas, drogi Martin? — spytała Florence z tym pobłażliwym uśmieszkiem, jaki wypada przybierać w obecności dzieci i pisarzy.

— Wcale mi się nie śpieszy — odpowiedział szybko Martin.

— Chcę wam dać czas na przeczytanie moich poprzednich powieści.

Martinowi towarzyszył młodzieniec z dużymi rudoblond wąsami i krótkimi włosami, na oko parę lat młodszy od niego. Młodzi ludzie spotkali małżeństwo Moriniere w windzie.

— Aż się palimy, żeby zobaczyć tę waszą Jeanne — powtarzała pani Moriniere, zawiązując na szyi lekki szal w białą kokardę.

— Kiedyś widziałem jej zdjęcie w gazecie — dodał jej mąż.

— Niestety, było niewyraźne. Na pewno kradzione.

— Cóż to za pomysł ze strony uroczej, jak mówią, kobiety, wybrać sobie tak męski zawód! — wykrzyknęła z uczuciem pani Moriniere, której pomarszczona skóra wystawała spod fantazyjnego węzła szala.

— Męski zawód? — powiedzieli naraz Martin i Victoire.

— Czy jest męski i żeński sposób operowania serca? — spytał Martin.

Kwaśna mina pani Moriniere jasno dawała do zrozumienia, że biorąc wszystko pod uwagę, chętniej powierzyłaby swe organy rękom mężczyzny.

— Jest zbyt piękna, by była uczciwa — pośpieszył z konkluzją pan Moriniere, odwołując się do tego, co nazywa się, nie wiedzieć czemu, mądrością ludową.

— Uczciwa? — zdziwił się Martin. — Dzięki Bogu, nie jest uczciwa i dzięki temu jest nie tylko piękna, ale i czarująca.

Do Florence zbliżyła się staroświecko uczesana służąca w koronkowym fartuszkę założonym na długą, błękitną bluzę zakonnego kroju. Nie zadając sobie nawet trudu wysłuchania służącej, Florence zauważyła, że jest jeszcze zbyt wcześnie, by podawać do stołu. Jeszcze nie przyszli wszyscy zaproszeni. Jednak służąca nalegała.

— Co się dzieje, Marthe?

— Jakaś pani prosi panią do telefonu.

— Dobrze. Dobrze. Już idę.

Gdy Florence powróciła, policzki miała równie czerwone jak buty.

— Katastrofa! — rzuciła, stając nieruchomo na szeroko rozstawionych nogach na samym środku salonu. — Katastrofa, przyjaciele! Naszą Jeanne wezwano pilnie do szpitala. Dołączy do nas, jeśli chory pozostawi jej trochę czasu.

Rozczarowanie na twarzach wszystkich jasno pokazało, że jedynym celem przyjscia do państwa Baccarat było spotkanie z Jeanne. Uprzejmość nie pozwalała na zbyt daleko posuniętą hipokryzję. W każdym razie, powtarzała wciąż Florence, nalewając starego szampana, którego Jeanne się nie napije: zabrakło tu duszy.

Rozmowy ucichły na długą chwilę. Nieobecność Jeanne odczuwano jak porzucenie. Czyżby nigdy nie było wolnych chwil w pracy tej kobiety? To już nie liczba jej kochanków lub tych, którzy się chwalili, że nimi są, ich zadziwiła, ale jej władza nad cierpiącym ciałem. Każdy

wyobrażał sobie ciszę i chłód dalekiego szpitala, w którym Jeanne odprawiała swoje misterium.

Później, niezauważalnie, dało się odczuć odprężenie. Napięcie ustąpiło, rozluźniły się mięśnie. Jeśli Jeanne przyjdzie, to znacznie, znacznie później. Być może nie przyjdzie wcale. Wszyscy przycupnęli pośród poduszek w przyjemnym cieple swoich nietkniętych ciał. Gdzieś daleko, w jakiejś nie znanej im sali, kobieta i jej pacjent prowadzili walkę o życie.

Victoire dzięki swemu zawodowi znała wszystkie chwilowe wielkości i wiedziała dobrze, że sławy nie mierzy się oklaskami na powitanie gwiazdy, ale próżnią, jaką pozostawia jej nieobecność. Jeanne odmawiała przyjmowania dziennikarzy i fotografów. Nie przywiązywała żadnej wagi do opinii publicznej, zgielku, sławy i do ulotnych drobin czasu, który przecieka między palcami, nigdy nie pozostawiając na nich najmniejszego ze swych skarbów. Tajemniczość, którą się otaczała, obracała się przeciw niej. Chcąc się wymknąć spojrzoniom, tym mocniej je przyciągała. Victoire przeczuwała westchnienie ulgi, jakie musiała wydać przyjaciółka, dowiadując się o konieczności, która pozwoli jej uniknąć rytuału uroczystego obiadu. Jeanne była poświęcona innemu ceremoniałowi i Victoire widziała ją przekraczającą jedno z drzwi oddzielających salę operacyjną od reszty świata. Jej przyjaciółka pozbędzie się ubrania i z przyjemnością się wślizgnie w szpitalny kitel. Jeszcze raz Jeanne umknie swoim prześladowcom.

Gdy przeszli do stołu, Florence Baccarat zdecydowała się pozostawić po prawej ręce męża nakrycie dla Jeanne.

— Mam jeszcze nadzieję — powiedziała, jakby chcąc stawić czoło różnym przypuszczeniom. — Moim zdaniem przyjdzie po perliczkach.

Rozmowy wciąż krążyły wokół nieobecnej. Czasem zdania milkły w samym środku, a wzrok mówiącego wędrował w kierunku pustego krzesła albo wskazywał je wyciągnięty palec. Można było powiedzieć o Jeanne wszystko, nie będąc pewnym niczego. Każda opinia była najpierw wypowiedziana z pewnością, później głos się załamywał niedostrzegalnie, jakby mówiący nasłuchiwał w sobie samym echa własnych słów, wreszcie z oczyma wbitymi w oparcie krzesła, gdzie rysował się kształt nieobecnej, kończył zdanie wyrażeniem wątpliwości lub pytaniem. Duchu Jeanne, jesteś tam? Był to rodzaj zaklęcia ukrywającego się w najprostszych wypowiedziach. A ponieważ Jeanne się nie pojawiała, odwracano się ku jej przyjaciółce, Vic, chcąc się jak najwięcej dowiedzieć.

Victoire umiała instynktownie wytyczyć granice między tym, co mogło być powiedziane, a tym, co powinno być przemilczane. Tak, to prawda, że Jeanne wybiera sobie mężczyzn i że nigdy sama nie daje się wybrać. Tak, nie znosi żadnych więzów i w życiu nie przestaje nigdy decydować sama. Tak, mogłaby być koczownikiem i bez znużenia próbować wody z każdej oazy. Dlaczego miałyby ograniczać swe prerogatywy? Czyż Bóg w swej doskonałości nie stworzył przyjemności i cierpień, na których poznanie nie wystarczy jedno życie? W imię czego miałyby Jeanne odmawiać sobie poznania kostek jednego, dłoni drugiego, bioder ich wszystkich? Krwawienia z ręki? Rozpięcia koszuli, pachwiny o zapachu kauczuku, i zębów, i śliny, i potu? Dlaczego zatrzymywać się na tak dobrej drodze? Tak, powiedzcie mi, kto byłby dość zarozumiały, żeby domagać się, by mu ofiarowano wszystko, co tylko istnieje?

Victoire nie mówiła, że dla Jeanne zgadza się nieraz zostać Vie. Nie była już tylko przyjaciółką, lecz także zawodowcem, który mógł zorganizować spotkania wszelkiego rodzaju. Jeanne opisywała jej mężczyznę, na którego miała ochotę. Vic musiała wtedy natychmiast rzucić się na ofiarę i dostarczyć ją żywą przyjaciółce. Zdarzało się czasem, że Jeanne okazywała jej grzeczność. Ofiarowywała swemu wiernemu sokołowi resztki zwierzyny. Jednak ani tego, ani żadnego innego wieczora Victoire nie mówiła o ich wspólnych polowaniach. Nie dlatego, że się ich wstydziła — z tych praktyk pozostawała jej radość ze współdziałania i chętnie zapominała o poniżającym podporządkowaniu — ale dlatego, że był to wspólny sekret, którym żywiła się ich przyjaźń od wielu długich lat.

Martin jako jedyny mógł podejrzewać istnienie tych spraw. Jeanne nie musiała posuwać się aż do zwierzeń, wrażliwość młodego człowieka pozwalała mu bez wątpienia rozpoznawać u innych coś więcej niż tylko powierzchowność. Przyjaźń Jeanne i Martina trwała prawie rok, ale Victoire czuła, że jest głęboka, gwałtowna i burzliwa jak prawdziwa namiętność. Zresztą Jeanne prawie nie mówiła o niej Victoire i ta skrytość podkreślała dodatkowo, jaką wagę do niej przywiązuje.

— Ma pani pasjonujący zawód, Vic. Pozwala pani ocierać się o rzadko spotykanych ludzi. Podziwiam panią. Jest pani zawsze w formie.

Georges Baccarat wygłosił swój komplement z wyraźnym przekonaniem. Tymczasem Victoire pod pozorami entuzjazmu wyczuwała litość. Czyżby nie zauważył nagle tego, co było poniżające w traktowaniu Victoire wyłącznie jako rzecznika czy namiastki Jeanne?

Victoire nie dała się zwięść jego naglej troskliwości i pod tym uśmiechem, który zbyt długo już jej służył i którego nie mogła już zatrzeć, gdyż wyźłobił zmarszczki na policzkach, ścisnęła lekko zęby. Trzeba zawsze być dynamiczną, pozytywną, entuzjastyczną, optymistyczną, „w formie”, zawsze „w formie”, znajdować cięte riposty, wprowadzać w błąd, zadowalać się pięknymi słówkami, robić dobrą minę do złej gry. I przede wszystkim uciszać największą sprawę w życiu, samotność, która otwierała się przed jej stopami jak zawrót głowy, gdy inni — przyjaciele, klienci, goście — znikali.

Jeanne wciąż nie przychodziła i nie odważano się już nawet marzyć, że przyjdzie. Mała, ufryzowana służąca przyniosła już sery. Nie było widać nic poza jej rękoma i tym, co w nich trzymała. Spośród gości, którzy zasiadali przy stole Baccaratów, z pewnością niewielu zainteresowało się nią na tyle, by podnieść wzrok z rąk ku twarzy. Na lekceważenie mała służąca odpowiadała pogardą obojętności i krążyła wokół stołu z zajętej rękoma i bladą twarzą, jak automat. Georges Baccarat troszczył się bardziej o hierarchię przy stole niż o jakość potraw. Przy każdym nowym daniu mała służąca, chcąc sprostać wymogom protokołu, kierowała się z nawyku ku osobie, która miała siedzieć po prawej stronie pana domu. Cofała się przed pustym krzesłem i odchodziła swym mechanicznym krokiem, co nie przeszkadzało jej przy kolejnym daniu powtórzyć ten sam manewr.

Tak jak dawniej poświęcano niektóre dzieci Matce Boskiej, zauważył w pięknym porywie pan Baccarat, Jeanne Marsilly poświęciła całe swe życie mężczyznom. Umiała ich uwodzić i pielegnować. Czyż klientela chirurgii sercowej nie jest w większości męska? Pani Moriniere współczuła mężczyznom, że muszą korzystać z usług podobnej kreatury. Biedacy! powtarzała, mnąc i zwijając swój szal wokół upierścienionych palców. W tym momencie Martin, który czuł wstręt do mówienia o Jeanne pod jej nieobecność, włączył się nagle do dyskusji, patrząc wprost w oczy pani Moriniere, która siedziała naprzeciwko.

Pewnego dnia poszedł z Jeanne do domu towarowego. Było to tuż przed Bożym Narodzeniem, gdy ludzie rzucają się do sklepów jak kiedyś do schronów po ogłoszeniu alarmu. W tłoku jakiś mężczyzna stracił przytomność.

Jeanne natychmiast rzuciła mu się na pomoc. Ale małżonka nieszczęśnika, uważając, że zachowuje do niego wszelkie prawa, czy jest martwy, czy żywy, chciała przeszkodzić Jeanne w dotknięciu swojej własności. Nie, nie pani, nie pani! krzyczała, pobrzękując biżuterią. Ze

wszystkich sił odpychała Jeanne, w której nie chciała widzieć lekarza. Jeanne nie zawahała się wymierzyć jej mocnego policzka, który pozbawił ją głosu i na chwilę sparaliżował. Dzięki temu mogła się wreszcie zająć leżącym na dywanie biedakiem.

— Cóż za brutalność! — zaprotestowała pani Moriniere, poruszając swymi drobnymi palcami, zdobnymi w diamenty większe niż kurze jaja.

— Przypuszczam, że mówi pani o żonie — spytał Martin, rzucając rozbawione spojrzenie na panią Moriniere.

— Ależ nie — upierała się pani Moriniere, gniotąc ręką szal

— mówię o tej Jeanne Marsilly. Ona naprawdę uważa, że wszystko jej wolno! Może pan nam powiedzieć, czy to prawda, że ma tylu kochanków?

— Liczba, liczba! Liczba nie ma żadnego znaczenia, nieprawdaż, przyjaciele? — zauważyła śpiewnie Florence, dając znak malej służącej, by podała placek z gruszkami.

Młodzieniec z rudymi węsami, który towarzyszył Martinowi od początku obiadu, usiłował bez skutku odwrócić temat rozmowy od Jeanne. Paulowi nie odpowiadało, że Martin ukrywa przed nim spotkania z tą kobietą, a jeszcze mniej to, że o niej mówi. Ze słów swego przyjaciela nie dowiedział się niczego, czego nie wiedziałby do tej pory. Wyczuwał między Martinem i Jeanne rodzaj wzajemnego przyciągania tak drażniący swoją bezużytecznością.

— Kobieta jest tylko kobietą, Paul, nie będziesz chyba zazdrosny o kobietę! — powiedział mu Martin tonem żartu.

O kobietę nie, nie mógł być zazdrosny o kobietę. Ale czy Jeanne nie była czymś więcej niż tylko kobietą? Czy nie wydawała się pamięcią tych wszystkich mężczyzn, którzy ją kochali? Martin uważał, że odkrywa na niej, czasem stare, czasem całkiem świeże, ślady jej kochanków. Wzburzony kosmyk włosów, zaróżowienie policzka, nie trzeba było więcej. W wyobraźni Martina Jeanne przypominała wojowników noszących naszyjniki z zębów swoich wrogów.

Gdy goście po obiedzie wrócili do salonu, nadal mówiono o nieobecnej. Paul zadawał sobie pytanie, jak mógł być tak głupi, by wpaść w tę pułapkę. Przyszedł do Baccaratów wyłącznie po to, by spotkać Jeanne Marsilly. Myślał, że oglądana z bliska nie dorówna swojej legendzie. Gdyby była tam, przed nim, natychmiast odkryłby jej wady, dysonanse w głosie, banalność rysów albo jeszcze gorzej — brak wyrazu. Na pewno doszukałby się niedoskonałości, skrzywienia, niezręczności. Ktoś z krwi i kości zawsze dostarcza broni, którą można

przeciw niemu obrócić. Ale nie walczy się z marzeniem. Ci idioci siorbiący nalewkę na gruszkach uczestniczyli tego wieczora poprzez swą gadaninę i żarty w gloryfikacji nieobecnej. Hosanna, hosanna! Martin mógł nadal bezkarnie trwać w błędzie i nadal widzieć w Jeanne połączone atrybuty świętości i diabelstwa.

— Przyjaciele, moi drodzy przyjaciele, ona nie przyszła. Bardzo tego żałuję. Wierzcie mi, że tego żałuję!

Florence Baccarat wypychała gości na półpiętro. Pozbawiona modelu rysowała marzenie, czystą ideę, portret uwodzicielki bez twarzy. Georges Baccarat zwierzał się ostatnim gościom, że również politycy zyskują, otaczając się aurą tajemniczości. Czyż tajemnica to nie broń i dusza władzy? Florence i Victoire gratulowały sobie. Było bardzo miło, mimo wszystko bardzo miło, powtarzały bez większego przekonania.

RS

Rozdział III

Kiedyś kryzys rozpoczynał się zawsze wśród pierwszych pagórków nad Saoną. Za każdym razem, gdy Jeanne jechała do Lyonu zobaczyć się z matką, pod sklepieniem jej czaszki odżywał ten sam ból, a oszalałe serce jak pasożyt wypompowywało z niej życie. Ciało obracało się w kamień, żywy pozostawał tylko ból — potworny, pulsujący jak oszalały pod jej czaszką, próbując na darmo przerwać powierzchnię skóry, w której został uwięziony.

Pociąg jechał doliną, ale dla Jeanne jakby zapadał się w studnię, aż się dziwiła, że jest jedynym pasażerem, który przewiduje katastrofę. Ze złamanym ciałem i wolą pogrążała się w duszącym przesmyku. Pociąg już się nie liczył. Ciągnięta przez nie wiadomo jaką siłę — zawrót głowy, pamięć czy zagubione wspomnienia — staczała się w głąb dziury. Wydawało się jej, że nigdy nie będzie już mogła powrócić do Lyonu. Nie można uciec przed młodością.

Nie można uciec, ale można próbować ją oszukać. Teraz Jeanne nie bała się już Lyonu, a ból także stanowił część przeszłości. Zapomnianą namiętność-nienawiść pierwszych lat. Swoje dawne miasto obdarzała uczuciem, jakim darzy się stare rzeczy, na których wyrzucenie nie można się zdobyć. Co więcej, kiedy w telewizyjnych wiadomościach ujrzała zmiany zachodzące w pejzażu pagórków nad Saoną, uznała, że okolice te pełne są tokańskiego uroku. Czyż bulwary Lyonu w promieniach zachodzącego słońca nie dałyby się porównać z brzegami Arno? Zaróżowione zachodem przypominały najpiękniejsze zakątki Italii.

Już dawno skończyła z tym starym koszmarem, który sprawił, że szyny dworca Perrache obrastały zielskiem. Nie, panienko, nie ma już pociągu, nie ma dworca. Sama widzisz. Co teraz zrobisz? Będziesz czekać, czekać na odpowiedni moment. A jeśli to potrwa długo? Oczywiście, że potrwa długo... Skończone, nieodwracalnie. Lyon, po którym teraz chodziła, był miastem otwartym.

Jutro pójdzie odwiedzić swoją matkę w Gerland. Do tego czasu jak inni uczestniczyła w kongresie. Przed chwilą, gdy zwracała się z wysokości trybuny do swych kolegów, ani przez moment nie pomyślała: jestem w Lyonie, w moim mieście, i to mnie, Jeanne Marsilly słuchają. Starła się tylko streścić rezultaty swojej pracy odpowiednio zwalniając rytm wypowiedzi, by ułatwić zadanie tłumaczom. Za każdym razem, gdy występowała na forum publicznym, doznawała zawrotu głowy wobec audytorium, które pożałowało jej słów. Wdychało jej idee, myśli, chłonęło

wszystko w ciszy, nic z tego jej nie zwracając. W słuchawkach echo jej słów, zwielokrotnione innymi głosami w różnych językach, rozbrzmiewało z opóźnieniem, przez co przepaść między salą a trybuną stawała się jeszcze trudniejsza do przekroczenia.

Mówiła już kwadrans, gdy zaczęła rozróżniać niektóre twarze w ciemności. Co ciekawe, nie szukała poparcia w spojrzeniach, które знаła najlepiej. Wydawało się jej, że — przychylna lub nie — ich opinia ukształtowana była z góry. Chciała wypróbować siłę swych argumentów na nieznanym. Przekonać ich, uwieść. Były to dziewicze ziemie do podbicia, a ich oddalenie jedynie dodawało wszystkiemu powabu.

Wśród słuchaczy wybrała mężczyznę, którego już rano odkryła w hotelowym hallu. Pytał po angielsku o pokój zarezerwowany na nazwisko José Tristan de la Vega, podając recepcjonistce peruwiański paszport. Śniady, ponury, o niemal fioletowych wargach, miał szeroką, krótką szyję, pamiątkę po Inkach, i długie, nerwowe ciało Hiszpana. Ze słuchawkami na uszach i rękoma splecionymi pod brodą siedział w środkowym rzędzie, zupełnie nieruchomy. Nie przestawał się jej przyglądać, gdy mówiła, a na jego ustach trwał na wpół ironiczny uśmiech. O czym myślał ten potomek kapłanów Słońca? Przypominał sobie starożytne ofiary? Czy przejął w spadku po swych przodkach umiejętność trzymania jedną ręką czarnego jagnięcia z głową zwróconą ku zachodowi, podczas gdy druga ręką jednym ruchem wrywała mu serce, płuca i przewód pokarmowy? Czy umiał dmuchać w trzewia, by wyczytać z nich przepowiednie? A jaki smak miał uśmiech na jego krwawych wargach?

Gdy Jeanne powróciła do hotelu, lipcowe światło przygasało, Lyon przybrał kolor bursztynu, albo mówiąc inaczej — dobrze wypieczonego ciasta. Już z pokoju połączyła się z telefonistką.

— Chciałabym mówić z panem José Tristanem de la Vega. Czy może pani podać mi numer jego pokoju?

— Proszę poczekać. 412. Czy mam połączyć?

— Nie, dziękuję. Sama zadzwonię.

Jak przewidywała, 412 nie odpowiadał. Włożyła do torebki książkę, zamknęła za sobą drzwi pokoju i podjechała windą na czwarte piętro. Korytarz był pusty. Z uwagą zbadła wszystkie kąty. Krając tam i z powrotem, natknęła się wreszcie na boya z tego piętra.

— Zupełnie zapomniałam! — zwróciła się do niego. — Tak się śpieszyłam położyć, że zapomniałam wziąć ze sobą klucz!

— Otworzę, żeby nie musiała pani schodzić. Pod którym numerem pani mieszka?

— 412.

— Proszę za mną. To proste.

José Tristan de la Vega zostawił na biurku swój bilet na samolot i kilka skoroszytów, na krześle marynarkę, na podłodze nie domkniętą walizkę, z której wystawały koszule i skarpetki. W koszu leżały amerykańskie i hiszpańskie gazety, a na łóżku dwie pocztówki z Lyonu.

Włamała się do jego życia, a on o tym nie wiedział. Miała nad nim przewagę zaskoczenia i żądy. Chciała tego mężczyzny, którego dopiero co zobaczyła. Weźmie go. Był już w pościeli, jak owad ciągnięty przez pajaka do kryjówki. Będzie go kochać, bo o nic nie pytał, bo nie było żadnego uzasadnienia dla ich przyjemności poza samą przyjemnością, bo nigdy już się nie spotkają, bo ta noc będzie jedyna.

Z bulwarów nad Rodanem wznosiła się fala wznieconego przez samochody hałasu. Jeanne lubiła miasta, których życie nigdy nie ustaje. Wkrótce już tam będzie i otoczy ją ten sam zgiełk.

Skąd pochodził mężczyzna, na którego czekała? Na pewno z Arequipy. Wszystko, co pochodzi z Peru, ma swe źródło w Arequipie. Jego ciało pozostawiło odcisk na poduszce i kołdrze. Jeanne, całkiem ubrana, się na nim wyciągnęła.

To „przed” było zawsze najlepszą chwilą. Niosło ze sobą emocję i nadzieję. Również obawę. Obawę, by nie zawieść. Obawę, by nie zostać zawiedzioną. Ranę, jaką sami sobie zadajemy, rozkosz, którą się obdzielamy, otwarte oczy. Nieznane wejście do tego anonimowego pokoju w zbyt dobrze poznanym mieście. Wymarzona przyjemność jest jak Wniebowzięcie, wielkie apostołskie i rzymskie uniesienie, które sublimuje rozkosz kobiety. Jeanne urodziła się 15 sierpnia. A więc kiedy zdarzy się to wielkie, cudowne przeżycie, cudowna lewitacja żądy? Jeanne uwielbiała to oczekiwanie, delektowała się każdą minutą, gdyż wiedziała, że dla niej nie będzie „potem”. Trzeba będzie podjąć drogę ku innemu mężczyźnie, który również będzie tylko kolejnym etapem.

Dywan wytłumił odgłos jego kroków i usłyszała dopiero zgrzyt klucza. Szukał po omacku. W prawo, w lewo, nigdy nie wiadomo, jak funkcjonują hotelowe zamki. Kiedy wreszcie otworzył drzwi i zobaczył światło, gwałtownie się cofnął, sądząc, że pomylił pokoje. Wymówił parę słów. Wahał się między zaskoczeniem a przeprosinami. Jeanne podniosła się i nic nie mówiąc, wskazała na skoroszyty i bilety lotnicze na stole,

płaszcz na krześle, zmięte w koszu gazety, nie domkniętą walizkę na podłodze. Nie było wątpliwości — był u siebie.

Zamknął drzwi i znów zaczął mówić. Najpierw po angielsku, następnie po hiszpańsku — Jeanne wciąż sprawiała wrażenie, że nic nie rozumie. Wreszcie po włosku. Przypadkiem nie znał francuskiego. Jeanne uraczyła go uśmiechem, uspokoiła spojrzeniem. Kładąc palec na usta, szepnęła: pssst... Nie działo się nic nadzwyczajnego i nie należało się dziwić. Trzeba zapomnieć o słowach. Byli kobietą i mężczyzną; gdzieś, wieczorem. Teraz rozpoznał ją i podszedł z uśmiechem. Dobrze zrobiła, nie rozbierając się. Mężczyźni nie lubią, gdy zdobywa się nad nimi dużą przewagę. W kostiumie i jedwabnej bluzce nic nie można było jej zarzucić. Brakowało jej tylko sznura pereł.

Które pierwsze odważy się dotknąć drugiego? Oczywiście ona. Człowiek z Altiplano, z twardą szczęką, ciemnym spojrzeniem i cieniem w głębi oczu już pogodził się z jej wtargnięciem. Jak wzorowy uczestnik kongresu nosił jeszcze identyfikator w kłapie marynarki: José Tristan de la Vega, wypisane czerwonymi literami. Odpięła zaczep i wrzuciła identyfikator do kosza. Jakby tym samym uwolniony od tożsamości, wybuchnął śmiechem, który odsłonił dziąsła, niemal równie fioletowe jak jego wargi, i białe, zaciśnięte zęby. Nie potrzebował już imienia, gdyż dał jej wewnątrz siebie samego.

Pieściła palcem jego usta. Miały kolor nie całkiem dojrzałych nasion muszkatu, które tak potrafią drażnić zęby. Pozwalał jej na to, ale wyczuła w jego wzroku pytanie, niemal zaniepokojenie, gdy musnęła palcem mięsz jego warg. Teraz jego oczy też się uśmiechały. Zrozumiał, zgodził się i jego głód dołączył do jej głodu, głód dawny i daleki, który pozbawia wszystkie ciała ostatnich obwarowań, jeden z tych okrutnych, a zarazem spokojnych głodów, które się żywią i sycą oczekiwaniem. Przed wzajemnym pożarciem należało się odkryć, a nieobecność słów przywracała gestom ich wartość i bezinteresowność.

Skórą, wzdzihami, oczyma przystępowali do gry, podczas gdy ich ubrania opadały jedno po drugim na podłogę. Pieścili się bez pośpiechu, patrząc na siebie z radością dzieci, które odnalazły wreszcie witrynę cukierni pełną wszelkich łakoci, o jakich marzyły, i które wkrótce zjedzą. Zapach mężczyzny, brązowe włosy porastające mu pierś, wilgoć pach, woń morza i mokrych liści, ciepło podobne do żaru pierwotnego oceanu, który pokrywał całą ziemię, nim narodziło się życie. Oryginalna potrawa.

Czasem wypowiadał słowo, które nic Jeanne nie mówiło, ale które instynktownie rozumiała. Każde doznanie rozprzestrzeniało się coraz

dalej i dalej po całym jej ciele. Już wkrótce ich krocza wchłoną w siebie wzajemnie całą swą energię, tak jak drapieżne rośliny, których wzrost dusi sąsiednie; na razie jednak ich pożądanie nie chciało się jeszcze ograniczyć do jednego miejsca. Był to moment doskonałości. Przed zasklepieniem się w swych ciałach i rozkoszy wyprzedzali się na zmianę w doznaniach — cali, radośni i jedyni na świecie.

Zaledwie kilka minut wcześniej nie znali się, a teraz wydawało się, że nie ma siły, która zdołałaby ich rozłączyć. Przywierając ustami do ust mężczyzny, który ją obejmował, Jeanne myślała o tej zimie, najmroźniejszej, jaka zdarzyła się w Lyonie, i o tym dziecku, które nie mogło oprzeć się pokusie polizania zamrożonej poręczy mostu de la Guillotiere. Jego język pozostał tam przymarznięty, zmieniając odtąd dziecko w niemowę. Wargi, które całowała Jeanne, miały barwę i smak niedojrzałego nasienia muszkatowca.

Wyciągnęli się na łóżku, zrzucając na ziemię poduszki. Jeanne pieściła tę skórę, brązową, elastyczną, ciepłą jak rozgrzana na słońcu cegła, z gęstym owłosieniem na piersiach, kędzierzawym i jedwabistym aż do fałdy pachwiny. Dłońmi odkrywała całą geografie mężczyzny. Zakątki i zakamarki, krzaki i sawanny, gąszcze i łysiny, lasy i pagórki, sutki i mięśnie, siłę i żywotność. Tak słodki, tak czuły, tak długi był członek unoszący się znad przełęczy nóg i szukający po omacku dłoni, która go pieściła. W dotyku przypominał trochę te nagie młode psy, tak uwielbiane przez mandarynów w starożytnych Chinach, psy, których życie poświęcano wraz ze śmiercią ich panów, by towarzyszyły im po tamtej stronie. Był potulny i gorący jak zwierzę bez sierści. Jego osłona nie miała chropowatości skóry, ale wyciągnięta i cienka — aksamitność błony. Długie owłosione uda, wonny zakątek w zaokrągleniu bioder, pobudzone mięśnie, rzeka opadająca od karku po pośladki, zaokrąglenie kształtów, delikatne ścięgna, och! godła kochanego ciała!

Wkrótce rozdzielią ich kilometry, oceany, strefy czasowe, a nawet pory roku. Latu odpowiadać będzie zima, nocy — dzień. Przyjdą inni i na czubkach palców i języka odżyją pieszczoty. Ale w tej chwili, w tym hotelu o tak podobnych pokojach, byli żywi i do siebie dostrojeni. Nad Lyonem wciąż utrzymywał się lipcowy upał, a oni ocierali się jedno o drugie, aby jeszcze choć trochę bardziej rozniecić żar nocy. Jeanne pragnęłaby podążać za latem z jednej półkuli na drugą, jak za miłością od jednego kochanka ku drugiemu. Odkrycia. Ciało. Iskierki dowcipu, ukąszenia, walka. Aż do śmierci, niech to trwa zawsze. Mój Boże, daj mi wszystkich mężczyzn, skoro każdego z nich uczyniłeś jedynym w swoim

rodzaju. Inka czy Hiszpan, jakie to ma znaczenie? Zwrotnikowe niebo czy południowe ziemie, po co wybierać? Czują dość sił, by kochać cały świat, a jej włosy rozlewały swe płomienie na brzuchu drżącego mężczyzny.

Za wiaduktem kolejowym Rodan przybliżał się do swojego dopływu. Na lewym brzegu przemysłowa dzielnica ze swymi halami i składami tak naprawdę nie była już Lyonem. Oczywiście i tam w bistro można było jeszcze pić jak w Perrache, la Guillotiere czy Terraux po proletariacku — cote-du-rhone zmieszane z nalewką na czarnej porzeczkę, ale klientela była taka, jaką się spotyka na przedmieściach wszystkich wielkich aglomeracji: ponure spojrzenia, chude twarze i radość przyklejona do zmęczenia jak źle zrobiony makijaż.

Gdy Jeanne była dzieckiem, nie było jeszcze jasne, czy dzielnica Gerland ma być wsią, czy miastem. Na wojennych gruzach, które miały zniknąć w piętnaście lub dwadzieścia lat potem, rosły krzaki. Było to kielkowanie równie gwałtowne jak na pustyni po burzy. Kamienie i poplątane belki pokrywały się roślinnością i kwiatami. Natura wydawała się mścić na ludzkiej głupocie. Sterty gruzów stroszyły się w przedziwne konstrukcje, które służyły Jeanne i paczce dzieciaków za pałace.

Na dawnych podmokłych terenach nauczyła się lubić zarośla i odkrywać tysiące ich odmian ukrytych pod ich pozorną jednorodnością. Ubóstwo stawało się bogactwem. Ja sieję wiatr, by zebrać burzę. Jeanne przypominała sobie zapachy ognia w zaroślach i woń suchych ziaren.

W tych czasach Rodan nie był jeszcze oswojony. Na skarpach jego stromych brzegów bawiono się w chowanego i berka. Przewoźnik miał odwagę przeciwstawić swą małą barkę rzece i jej wirom. Chyba tylko silny przybór wód pod koniec wiosny mógł powstrzymać jego wyprawę. Gdy wbrew wszelkim ostrzeżeniom kładła stopę na pokładzie czółenka, odczuwała technienie przygody i niebezpieczeństwa. Lyon stawał się Afryką, barka — pirogą, a pasażerowie wśród prądów rzeki — odkrywcami. Dzieci podczas rejsów śpiewały tak jak rybacy z Saint Louis, gdy kręcą sterem, ale na przeciwległy brzeg wychodziły na nieco drżących nogach.

Od dawna już rybaka nie było, a Rodan płynął między dwoma wałami. I nawet mgła, istniała już tylko w legendach. Szkoły, fabryki, koszary, stadiony wyrastały na dawnych ugorach. Po trochu zabetonowywano pamięć Jeanne i okratowywano wspomnienia. Z pejzażu, jaki zapamiętała z dzieciństwa, pozostało tylko parę wiekowych domów, w których stara powłoka pobrużdżona bardziej niż kora baobabu była

świadectwem minionych lat. W jednym z nich mieszkała jej matka. Jeanne na próżno starała się skłonić do porzucenia tej dzielnicy, matka niewzruszenie upierała się przy swoim. Nigdy, odpowiadała za każdym razem, tutaj rosłaś, tutaj umarł twój ojciec i nigdy, przynajmniej dopóki nie zburzą domu — a może nawet i wtedy — się stąd nie ruszę. Pomimo nalegań Jeanne zastygła w uporze. Jej matka rzadko zgadzała się przyjechać do Paryża. To należało do Jeanne — dzwonienie, pisanie, przemieszczanie się. Nie dlatego, by matka stworzyła między nimi coś w rodzaju hierarchicznych stosunków, w których młodsza powinna podporządkować się starszej, ale dlatego, że uważała się za jedyny stabilny element w życiu Jeanne. Jeśli chcesz się do mnie odezwać, możesz to zrobić o każdej porze. Jeśli chcesz mnie zobaczyć, przyjedź, nieważne kiedy. Twoja matka jest tu zawsze. To proste. Ty chcesz ze mną rozmawiać, ja odpowiadam. Jeśli chodzi o mnie, nigdy nie będę ci przeszkadzać. Matkę opanowywała bierność, bierność, z której wszystko się wywodzi i ku której wszystko z powrotem dąży.

Aby znaleźć się przy matce, Jeanne za każdym razem przemierzała dzielnicę, która zwracała ją ku dzieciństwu, mimo że przestała być podobna do tamtej z przeszłości. Od wiaduktu zanurzała się w tunel czasu. Obojętne, czy przejeżdżała taksówką, czy, tak jak dziś, siedząc za kierownicą własnego samochodu, matka oczekiwała jej w oknie, niemal bojąc się poruszyć choćby ręką, by tylko nie spłoszyć niebiańskiej zjawy. Wargi matki mówiły: Jeanne, moja Jeanne, ale głos pozostawał w ściśniętym uczuciu gardle. Jeanne wyskakiwała z wozu, śląc pocałunki ku trzeciemu piętru. Znow była małą dziewczynką.

Próbowała jednak jeszcze zatrzymać jedną chwilę ze swego obecnego życia. Myślała o milczącej sali, która przysłuchiwała jej się poprzedniego dnia o tej samej porze. Przypominała sobie ciało mężczyzny, którego kochała tej nocy, José Tristana de la Vegi, który już nigdy więcej nie będzie jej pieścił. Ku jakiemu czyścicowi zmiernają miłości, które opadły z nas jak zwiędłe liście? Była dr Jeanne Marsilly i miała 39 lat, na schodach, dla swojej matki, była tylko Jeanne, jej małą dziewczynką, która na zawsze pozostanie w sandałkach lub trepkach. Jej stopa odnajdywała swoje miejsce na stopniach wykrzywionych wieloletnim chodzeniem. Jej ręka ścisnęła jak w koszmarze metalową poręcz schodów, na której uniesiona rozpędem zjazdu rozdarła swoje majteczki Petit-Bateau. Właśnie w tym miejscu wymieniała kiedyś znaczki z sąsiadem Robertem. Trzymając na kolanach otwarte albumy oddawali się targom. Jeanne pragnęła znaczka z dalekiej wyspy, nie z powodu jego

pochodzenia, ale trójkątnego kształtu. Dam ci go, mówił Robert, jeśli zejdiesz ze mną na chwilę do piwnicy.

Powyżej jej matka przechylała się przez poręcz.

— Miałaś dobrą podróż — pytała z zaczerwienionymi policzkami.

Pani Hémard wyprowadziła się już dawno i na korytarzu między drugim a trzecim piętrem nie było już śladu po jej sałacie:

Pani skarola — wielka niedola. Liście sałaty to śmierć na raty.

Teraz okno było czyste i muchy nie przylatywały roztrzaskiwać się o szybę. A Pierre? Pierre? Po tym jak został najmłodszym profesorem we Francji, zrobił błyskotliwą karierę uniwersytecką. To właśnie wtedy, opuszczając go, Jeanne zrozumiała, że nie może oprzeć się tej sile ciągnącej ją ku pełni, ku linii horyzontu, który bezustannie ucieka. Czy należało kolekcjonować uczucia, tak jak kiedyś znaczki? To było jednak coś innego, bo posiadanie daje zbieraczowi poczucie ciągłości, podczas gdy Jeanne za każdym razem musiała zaczynać na całkowicie pustym polu, by się rzucić ku nowym rozkoszom. Jak miała się nauczyć żeglować od wyspy do wyspy w tym mieście w głębi lądu? Podobnie jak starożytni nie wiedziała jeszcze, że ziemia jest okrągła i że zawsze powraca się do punktu wyjścia.

— Jeanne. Jeanne, czy aby nie jesteś zmęczona? Wydaje mi się, że jesteś.

— Nie, mam. Wcale. Wiesz, że jesteś wspaniała?

— Chodź. Mam ci tyle do opowiedzenia. Za dużo pracujesz, córeczko.

— Wiesz, że to lubię.

— Po kim masz te włosy? Można cię poznać nawet od tyłu.

— Wolisz, żebym je chowała?

— Popatrz. Dziś rano poszłam do fryzjera wyłącznie dla ciebie.

Fryzura w fale i zbyt zimna barwa nadały jej wygląd tych amerykańskich wdów, które na place du Tertre kupują fałszywe poulbots.

Trochę mniejsza od Jeanne — choć twierdziła, że jest tego samego wzrostu co córka, miała podobny zielony odcień oczu, choć te wyraźnie różniły się swoim wyrazem. U Jeanne nakrapiana żółtymi cętkami zieleń wydawała się dzika, nieprzewidywalna, czasem ostra aż do okrucieństwa, czasem błada i rozmyta, ale zawsze zmienna. U jej matki była stała jak stojąca woda.

Skromność i potęgująca się z upływem lat potrzeba uznania, jaką czują ludzie, którzy ciężko pracowali, a wiedzą, że ich czas minął, doprowadziły jej matkę do strachu przed każdym objawem wylewności, nawet najbardziej naturalnym. Natura — oto co jest nienormalne!

Darzyła wręcz maniakalną troską każdy skrawek swego ciała. Żaden nie powinien być pozostawiony w swoim żalonym pierwotnym stanie. Pudrowała się, nacierała kremem, dezodorowała, polewała perfumami, lakierowała i całymi dniami pumeksowała nie dlatego, że była kokietką. W rzeczywistości matka Jeanne zachowywała się jak lady Makbet, której jedyną winą jest to, że żyje. Ciało z jego sokami, zapachami, wydzielinami — oto grzech pierworodny, który należy odkupić. Elegancja, córeczko, jedyne — co godne jest tej nazwy — polega na tym, żeby cię nie zauważano. Mężczyźni mają ciała zamknięte, podczas gdy kobiety muszą bardzo uważać, żeby zachowywać czystość, jeśli chcą pozostać czyste.

Kochały się. Zbliżały się do siebie z sercem pełnym czułości. Rozmawiały ze sobą, głaszały się wzajemnie, długo pozostając splecione, śmiały się i płakały jednocześnie, mówiły sobie słowa, których nigdy nie odważyłyby się powiedzieć, a także milczały, lecz nie była to cisza, ale komunია.

Stały naprzeciwko siebie. Mamo, mówiła Jeanne. Wstydlivość i zażenowanie powstrzymywały porywy matki. Ściszały się wówczas tak, jak należało w podobnych okolicznościach i już rozmawiały o upale i sąsiadach, którzy wyjechali na wakacje na południe. Matka dziwiła się, za każdym razem odkrywając, jak bardzo córka różni się od niej samej. Ta wysoka kobieta, która w najdroższych sukniach wyglądała jak na balu gałganiarzy, ubrana byle jak, ta twarz bez makijażu rozjaśniona błyskiem spojrzenia i płomienną fryzurą — jesteś coraz bardziej ruda, moja córko, co to ma znaczyć? — to wyzwanie, ta zuchwałość sprawiały, że doznawała uczuć, w których w równych proporcjach, mieszały się nieufność i podziw. Tak jak Bóg, pani Marsilly miała trudności z rozpoznaniem własnego dzieła. Niezbyt skłonna do wylewności czuła się zbита z tropu przez tę kobietę, która była jej córką i równocześnie kimś obcym.

Rozmawiały o wszystkim i o niczym, aby zapomnieć o tym, co zawsze stało między nimi. Jeanne szukała jednak ramion, szyi, piersi swej matki, która śmiała się, aby ukryć wzruszenie. Chciała jej powiedzieć obejmij mnie, mamo, uściśnij mnie mocno. Bądź ciepła. Owiń się dookoła mnie. Chciałabym widzieć twoje zmarszczki, chciałabym zlizać koniuszkiem języka łzę, która drży na skraju twojej powieki. Upiększasz się dla mnie, a ja chciałabym cię naga. Lubię starsze panie, lubię staruszki, które nazywają cię swoim dzieckiem, które chuchają ci na końce palców,

ponieważ jest zimno na dworze. Mamo, czy mogłabyś na kilka godzin stać się okrągłą, białoróżową mamą z bajek dla dzieci?

Nie mogąc sprowadzić matki do Paryża, Jeanne pomogła jej rozszerzyć swe terytorium. Kiedy sąsiadka, pani Hemard, wyprowadziła się, zwalniając mieszkanie przylegające do mieszkania matki, Jeanne kupiła natychmiast całe piętro. Wystarczyło usunąć jedną ścianę, aby matka poczuła się panią na włościach. W tym domu, z którego widać było szopy i magazyny, o ścianach popekanych i szarych od sadzy, pani Marsilly wykroiła sobie swoje własne imperium.

Każdy najmniejszy kącik ozdabiał bukiet suchych kwiatów, każdy stoliczek przykryty był koronkową serwetką, a każdy niemal kawałek ściany pokrywały zasuszone róże za szkłem. Nic nie zostało pozostawione przypadkowi. Każdy przedmiot, każda miniatura, każdy obraz wpisywał się w niezmienny porządek całości i kiedy Jeanne przynosiła matce kwiaty, miała wrażenie, że ofiarowany bukiet wprowadza do tego ustalonego na zawsze świata element nieporządku. Na zewnątrz burzono, przebudowywano, dorastały dzieci, ciężarówki przewoziły ładunki. Dalej były pociągi, zgiełk, pośpiech, nawoływania, zziębnięte oddechy, krzyki, wypadki i pory roku. Dom pani Marsilly zbudowany był jakby na urwisku, a świat zewnętrzny umierał u jego stóp.

Kiedy Jeanne była dzieckiem, mieszkanie było zaledwie załączkiem tego, czym miało się stać. Mniejsze, skromniejsze, wymagało wówczas mniej troski od matki, która pracowała w administracji i nie mogła poświęcić całego swego czasu domowym zajęciom. Potem Jeanne odeszła i w pustce, którą pozostawiła po sobie, zaczęło przybywać przedmiotów. Można by powiedzieć, że wychodziły z jej matki, która przechowywała je w sobie jak kałamarnica atrament. Były jej przedłużeniem; za obiciami, podwójnymi zasłonami i potrójnymi firankami pani Marsilly unikała świata i obcych spojrzeń.

Jej ciało i jej dom traktowane były identycznie: polerowanie paznokci i miedzianych naczyń, szczotkowanie dywanów i włosów, stałe tropienie po wszystkich najintymniejszych zakątkach i zakamarkach tak zwanych brzydkich zapachów. Pobrękiwanie jej bransoletek harmonizowało z dźwiękiem wisiorków u żyrandola. Wszystko to działo się bez cienia ostentacji: było skromne, dyskretne, wyważone. Tylko owe dodatki stwarzały wrażenie nadmiaru.

— A jak twoja praca? Jesteś zadowolona?

— Bardzo zadowolona.

— Czy to nie nazbyt trudne dla kobiety?

— Jestem silna, mam. Przypominasz sobie, jak byłam mała, ty często mówiłaś: to niesamowite, jak szybko wszystko się na tobie goi! Mam to szczęście, że łatwo odzyskuję siły. Cztery czy pięć godzin snu na noc mi wystarcza.

— Tak się tylko mówi, a potem pewnego dnia wszystko się wali.

Kochana mama, która zamartwia się o swoją córkę. Jak mówi, się o nią zadrecza. Gdybyż jeszcze Jeanne została pielęgniarką lub nawet anestezjologiem, to byłby w tym jakiś maleńki pierwiastek kobiecy, ale chirurg, a właściwie kobieta-chirurg — nawet nie wiadomo, jak to powiedzieć — to stanowczo za wiele! Otwierać ciała, miażdżyć serca, siedem, osiem godzin na nogach, noce w pogotowiu. Jeanne, dlaczego nie zdecydujesz się na małżeństwo? Powinnaś w końcu odpocząć. Zrobić coś dla siebie, żeby mieć piękne życie. Bez tej odpowiedzialności.

Piękne życie było dla pani Marsilly pojęciem, które łączyła z początkiem wieku, czasem, w którym piękne życie i piękna epoka tworzyły nierozzerwalną całość. Piękne życie to diamentowa egreta, muzyka Franciszka Lehara, upajający, wytworny walc... Niekiedy nie bojąc się pomieszczenia lat, dodawała do tego obrazu śpiewającego le Fou i jego skradzione pocałunki i, oczywiście, Grandę Mademoiselle. Kostium od Chanel, prawdziwy, zdobiony złotem, oto jedyny namacalny dowód powodzenia. Ach, gdyby Jeanne przyjechała do matki w takim stroju, matce nie przysłoby do głowy wypytywać jej o pracę i zdrowie! Zza zasłony takiego tweedu można było tylko patrzeć na świat i jego mieszkańców triumfującym wzrokiem. Piękne życie mogłoby wówczas rozsnuć rozkosze na tle indolencji innych.

Ale borykać się codziennie z cierpieniem i śmiercią, czyż nie było to jednocześnie i zarozumiałe, i niewdzięczne, oraz, co tu dużo mówić, mało kobiece. Zawód jej córki był wyjątkowy, a wyjątki przerażały panią Marsilly. Stale obawiała się, żeby Jeanne nie zapłaciła zbyt dużej ceny za swoje wysiłki, żeby Jeanne za jej starania nie odplacono szyderstwem. Jednocześnie nie brakowało jej związanych z córką ambicji. Gdy kiedyś w liceum sklasyfikowano Jeanne drugim miejscem w klasie, matka jej odczuła fakt, że ktoś ośmielił się pokonać jej dziecko jako osobistą zniewagę. Teraz nie mogła z kolei znieść, kiedy w gazetach lub magazynach pisano o zawodach, które nie miały nic wspólnego z zawodem jej córki. Jak to, dlaczego nie o tobie? Dlaczego o innych? Dlaczego stale tylko mężczyźni?

Ach, dość już tego! Teraz potrzeba dźwięku trąb, stukotu bębnow, zdjęć jej jednej, przepychu i złota, i krawca, koniecznie krawca godnego księżniczki krwi. Pani Marsilly nie wiedziała, że córka odziedziczyła po niej niechęć do rozgłosu oraz pragnienie uwolnienia się od obcych spojrzeń. Ale w okresie, kiedy robiono wiele hałasu o nic, milczenie Jeanne stanowiło zagadkę. Nawet kiedy gazety, ku wielkiemu zmartwieniu matki, zdawały się ignorować nazwisko i twarz córki, plotki, które dawały żer najdzikszyemu wyobrażeniom, jej nie oszczędzały. Ostrożność Jeanne obracała się przeciwko niej.

— Gdybyś wyszła za mąż, mogłabyś odpocząć.

— Nie potrzebuję ani męża, ani odpoczynku.

— Jesteś piękna, Jeanne, jesteś inteligentna. Wierz mi, mogłabyś uczynić mężczyznę szczęśliwym.

— Dlaczego, mamó, tylko jednego?

Gdyby była malarką, pisarką lub zajmowała się muzyką — czy wtedy również matka powiedziałałaby jej to samo: wyjdź za mąż, córko, i zostaw innym tę dziedzinę? Być może powiedziałałaby, trzeba się zawsze liczyć z najgorszym.

— Spotkałam na mieście Pierre'a. Przypominasz go sobie? Nic się nie zmienił.

Minęło dwadzieścia lat, a matka ciągle robiła jej wyrzuty: jeśli nie o Pierre'a, to o kogoś innego. Jeanne podniosła się i pochyłona, powiedziała matce do ucha:

— Mamó, czas przejść do wyznań. Powiedz mi, co przygotowałaś.

W wielkiej kwadratowej kuchni była szarlotka z czekoladą, ciastka z miodem, owoce kandyzowane, cieniutkie, niemal przezroczyste herbatniczki.

— Jedz, córeczko. Dobrze ci to zrobi.

Twarc matki nagle złagodniała i poweselała. Występowała znów w roli żywicielki — jedynej, w której czuła się dobrze. Po podróży przez pustynię, ziemie nawiedzone suszą, okolice dotknięte głodem jej córka wreszcie dotarła do rodzinnej oazy. Jedz, córeczko. Magiczna formuła mnożąca ciastka jak słodkie słówka.

W czasach, kiedy mieszkanie nie rozprzestrzeniło jeszcze swych jadalni i salonów na całe piętro, kuchnia była sercem domu i w niedzielne poranki przygotowywano w niej prawdziwe uczyty. Matka i córka łączyły się w pracy i przyjemności. Z rękami w mące wałkowały ciasto i dodawały drożdże. Jeanne przesuwiała tam i z powrotem ręce, które stawały się inteligentne, uczyły się drogi prowadzącej od materii do

człowieka: modelowania gliny, formowania mięsa, naprawiania serc, przedłużania życia... Być może to w tej kuchni przypominającej wiejską, przed tym kwadratowym stołem przykrytym biało-czerwona ceratą, poczuła w czubkach palców swój przyszły zawód.

Niegdyś zawsze nadchodził moment, kiedy matce pochylonej nad stołem zaczynał przeszkadzać wchodzący do oka loczek. Prostowała się wówczas, energicznie odgarniała z czoła kłopotliwy kosmyk i mówiła: „Twój ojciec, który na nas patrzy, powinien być zadowolony”. Sympatyczny duch straszył po mieszkaniu w dzień i w nocy. Przemawiał do pani Marsilly, kiedy śniła, i towarzyszył jej, kiedy czuwała.

W każdym pomieszczeniu było jego zdjęcie. Tego bruneta o wydatnej szczęce i wystających łukach brwiowych. Sprawiało to wrażenie siły i owa opiekuńcza moc niepodzielnie panowała nad tym miejscem. Niczym gromowładny Zeus unieruchomiony w zawsze w pozłacanej ramce posyłał poddanym swe wieczne błogosławieństwo.

Jeanne znalazła kiedyś na dnie szuflady dowód osobisty ojca i była zaskoczona faktem, że ten olbrzym mierzył tylko metr sześćdziesiąt osiem centymetrów. Miała sześć lat, kiedy umarł, i w jej wspomnieniach, podobnie jak w opowiadaniach matki, dominował nad całym otoczeniem.

Twój ojciec poradził mi tej nocy... zazwyczaj mawiała matka, kiedy miała podjąć jakąś decyzję: co do nowej fryzury, nowych zasłon czy wtedy, gdy chodziło o coś ważniejszego. Mąż był obecny w jej świecie do tego stopnia, że nie potrzebowała odwoływać się do wspomnień. Uczestniczył osobiście w jej życiu i nadal określał jego bieg. Miał nawet swoje humory. W ten sposób przejawiał satysfakcję lub niezadowolnienie. Poszłam ucałować twojego ojca, mawiała matka po powrocie z cmentarza, i powiedział mi, że nie lubi, kiedy wokół ciebie kręci się tyłu mężczyzn. Jesteś jego córką, Jeanne, nie zapominaj o tym. Wyrocznia przemawiała przez usta pani Marsilly.

Jeanne wiedziała dobrze, że wyrażenie „naprawić życie” jest pozbawione sensu. Nie można zmasać tego, co było, jednym ruchem i nawet jeśli uważamy, że o tym zapomnieliśmy, pamięć biologiczna w tajemnicy gromadzi osady przeszłości. Jeśli nie można naprawić swego życia, przynajmniej należy je kontynuować. Wiara jej matki, najwierniejszej z wiernych, była niezachwiana. Znałam tylko jednego mężczyznę, twojego ojca. Zapach innego, fu! co za ohyda!

Mijały lata, świat się zmieniał. Matka trwała w swojej miłości. Jej mąż nie zestarzeje się nigdy i po jakimś czasie może się nawet okazać, że połączyła swój los ze zbyt młodą mężczyzną. Stanie się jej synem, a

ona jedną z tych matek, które po dziesięć, dwadzieścia lub więcej lat czuwają nad dzieckiem pogrążonym w śpiączce. To czyściec medycyny. Módlmy się za dusze, które nie mogą umrzeć i ofiarujmy im zamiast pobłażliwości naszą wierność.

— Jeanne, mam ci coś do powiedzenia.

Zapominając wreszcie o upale, sąsiadach, plotkach i wszystkich tych słowach czerpiących rację bytu z bezużyteczności, patrzyła na córkę. Policzki poróżwiały jej pod warstwą pudru.

— Co takiego, mamó?

— Boję się, że będziesz zła.

— Ja? Opowiadaj. Zobaczymy.

Pani Marsilly opuściła wzrok i tym razem nie była już dorosłą kobietą rozmawiającą z córką, trzymającą ją w objęciach, lecz kimś, kto ma coś wyznać.

— Weź jeszcze trochę szarlotki, żeby mi sprawić przyjemność. Nie smakuje ci?

Odkroiła kawałek i podała Jeanne. Uchwyciła się gestów, które od zawsze tworzyły między nimi więź.

— A może kieliszek wódki? Mam tu zawsze przygotowaną butelkę. Tylko ty ją pijesz.

— Dobry pomysł, mamó. Nalej.

Przezroczystość i pieczenie. Magiczny filtr. Szalony płyn na wargach, w ustach, w gardle i po chwili w całym ciele. Absolutna rozkosz, jej jasne wrzące źródło jak ciało mężczyzny dostrzeżone w gmatwaninie snu.

— Słucham cię, mamó.

— Kiedy się boję.

— Odwagi! Narobiłaś mi apetytu. Wiesz, że nie lubię obywać się smakiem.

— Weź ciasteczek z miodem.

— Ale nie o taki apetyt mi chodzi.

Pani Marsilly zsuwała z przedramienia bransoletki, zwracając uwagę, żeby nie dzwoniły. Jeanne nie znosiła tego dźwięku.

— No więc dobrze. Wychodzę za męża.

— Ty...?

— To śmieszne, prawda?

— Wcale nie, mamó.

W pierwszej chwili Jeanne nie pomyślała nawet, żeby ją spytać, kogo mianowicie dotyczą te jej plany powtórnego zamążpójścia. Poczuli

jednocześnie osłupienie i ulgę. Myślała o ojcu, młodym mężczyźnie z fotografii, utrzymywanym przez lata między życiem a śmiercią. Na sali operacyjnej zdarzyło się jej wypowiedzieć kiedyś wyrok śmierci: odłączamy wszystko. Całymi godzinami zespół robił, co mógł, by przywrócić pracę serca pacjenta. Mimo impulsów elektrycznych, pozostawało ono nieruchome w kałuży krwi. Na jej oczach małe blade ciało stawało się kawałkiem mięsa. Elektroencefalogram sygnalizował niewydolność. Na zewnątrz mijały minuty i godziny. Na sali czas trwał w zawieszeniu aż do wyroku. Walczyć, robić jeszcze co w ludzkiej mocy. Nadzieja zmniejszała się z każdą minutą. Pozioma Unia przed klęską. Niskie ciśnienie przy Unii środkowej. Potem żadnej odpowiedzi. Cisza. Prawie wieczność. I śmierć, śmierć rodząca się z głosu Jeanne: zatrzymujemy wszystko. Ojciec, podłączony dotąd do pani Marsilly jak do utrzymującej go przy życiu aparatury, dziś ostatecznie przestał istnieć.

— Jeanne, nie pytasz mnie za kogo?

— Ależ tak, mam. Powiedz mi wszystko. Czy znam szczęśliwego wybrańca?

— Znasz go. To mój partner brydżowy, pan Binet. Paul Binet. Kiedy tu byłaś ostatnim razem, wpadł do nas na chwilkę. Przypominasz sobie?

— Oczywiście, bardzo dobrze pamiętam. Gratuluję ci, mam. Jeanne wstała i zmusiła matkę, by uczyniła to samo. Kiedy

wzięła ją za ręce, poczuła, że dłonie matki drżą. Obsypała je pocałunkami, ptasimi, jak je kiedyś nazywała. Pod wpływem wzruszenia pani Marsilly utraciła zwykłą sztywność, którą można by wziąć za obojętność, a która była jedynie oznaką zbytnej wrażliwości na konwenanse. Jeanne objęła matkę i zaczęła z nią wirować wokół stołu, śpiewając na cały głos: wspaniały walc upaja nas powoli...

Nagle poczuła, że w jej ramionach matka stała się niezwykle lekka. Czyżby radość dodała jej skrzydeł? A może to uczucie ulgi z wielokrotności siły Jeanne? Matka nie będzie już sama. Wydawało się, że teraz role się odwrócą i że to córka będzie się cieszyła, że matka się wreszcie złamała. Niebawem pani Marsilly schroni się ze swym towarzyszem w wilgoci szerokiego małżeńskiego łoża. Szczęśliwe są zaspokojone ciała, ponieważ łagodnie wchodzi w śmierć, cielesne pomniki nagrobne, ci, których zwą mądrymi, ubodzy wyobraźnią, ich będzie królestwo niebieskie. Po wszystkie czasy.

A pan Binet? Uroczy pan Binet, czyściutki jak nowy pieniążek, o równo obciętych włosach, o skórze staranniej natartej lawendą niż rondle jego przyszej małżonki proszkciem Miror. Widzisz, on ma bardzo dobrą

emeryturę. Bardzo dobrą. Był nauczycielem matematyki. To człowiek kulturalny. Natychmiast to spostrzegłam przy brydżu. Nawet nie marzyłam... Dżentelmen, prawdziwy dżentelmen, mówiła dalej, solidny, no i w ogóle, nie zwracałby jej głowy, gdyby nie miał poważnych zamiarów.

Oczywiście to nie namiętność skłoniła panią Marsilly do zawarcia powtórnego legalnego związku małżeńskiego. Zaczęła po trosze przypisywać swemu przyszłemu małżonkowi zalety, które ceniła u tego, którego pamięci strzegła przez ponad trzydzieści lat. Z tym pierwszym, ponieważ był na cmentarzu, i z tym drugim, ponieważ obiecywał, że będzie ją traktował poważnie, unikała tego, czego obawiała się najbardziej: przygody. Czyż nie należałoby umieścić na frontonach pałaców ślubów hasła: Bezpieczeństwo, Wierność, Szacunek?

W pokoju Jeanne nic się nie zmieniło. Kiedy tam weszła, jej wzrok nie zatrzymał się na przedmiotach i obrazkach na ścianach. Od razu podeszła do okna. Było wąskie i niskie jak w więzieniu, a dostęp światła ograniczał jeszcze blisko stojący dom po drugiej stronie ulicy. Z tego ciasnego zakątka wszystkie marzenia młodości się ulotniły. Widziała stąd balkon, z którego każdego wieczora Pierre dawał jej znaki. Wynaleźli wspólnie język kolorów i o zmierzchu rozmawiali ze sobą potrząsając w pustce chusteczkami.

Na ścianie z prawej strony przyczepiła kiedyś lusterko i często u schyłku dnia jej oczy śledziły swe własne odbicie tak długo, aż zagubiło się ono w półmroku. Niewyraźny zapach spalonego kauczuku, daleki odgłos lokomotywy. Jej twarz, jej ówczesna młodość i jej blask spychały to wnętrze w zapomnienie. Zapomniała o ruinach i opustoszałych terenach, nie słyszała już dzwonów Notre-Damedes-Anges, zniknął z jej myśli Pierre, który chciał jej poświęcić życie. Zapadała noc. Była sama. Pewnego dnia wyjedzie. Jak złodziejka. Docierało do niej tylko jej własne odbicie w lustrze i daleki gwizd lokomotywy.

Za każdym razem, kiedy Jeanne wyjeżdżała z Lyonu, jej ciało doznawało wrażenia, jakie daje kąpiel morska w środku zimy. Z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku łączyła się odzyskana swoboda zaspokajania pragnień według własnego uznania. Jej ciało czerpało z tej pewności pewne ożywienie. Świat był jeszcze większy niż to sobie wyobrażała w panińskim pokoju i dzięki Stwórcy był zaludniony. O, mężczyźni, mężczyźni, dlaczego jesteście tak godni pożądania? Mężczyźni-dzieci, mężczyźni-ojcowie, mężczyźni-oazy, mężczyźni-mężczyźni, tylko mężczyźni, po prostu mężczyźni, czy znacie

swoją moc? Dlaczego jesteście piękni jak żywe pomniki? Wszędzie dokoła ciało triumfowało w blasku lata, czystym jak nie kończąca się rozkosz.

Na wzgórzach wokół Lyonu Jeanne nauczyła się prowadzić samochód i z przyjemnością odnajdywała drogi wijące się wzdłuż dolin i wąwozów jak meandry pożądania. Za każdym zakrętem otwierała się na stoku za krzewami żarnowca nowa perspektywa. Jeanne naprawdę lubiła prowadzić tylko na wsi, na tych drogach, które zachowały jeszcze ślady dawnego układu i kaprysów starych ścieżek.

Jej samochód wyprzedził grupę młodych ludzi w szortach. Opalone nogi o dziecięcych jeszcze kostkach, skarpetki lekko przybrudzone ziemią — czasem machali ku niej ręką, a ona zwalniała, żeby ten gest odwzajemnić, kiedy oni szli dalej uśmiechając się do niej. Świat był więc niewyczerpany. Każde lato przynosiło nowy kontyngent młodych ciał. Brąz i miedź. Przy pierwszym słońcu zakwitli na stokach i wystarczyło się zatrzymać, żeby zebrać cały bukiet: brunetów, blondynów, słodkich, młodych, o skórze zupełnie nowej, jak płatek kwiatu, którą chciałoby się łakomie kąsać. Ale uwaga, uwaga, są to jednodniowe jętki. Macie tylko jeden sezon, żeby je zebrać, jeśli lubicie wziąć na ząb chrupiącą tę skórkę. Pod koszulkami kryją się piersi gładsze niż wygolone łydki kolarzy pedałujących pod górę.

W tym roku zbiory będą dobre. Wyrastają z każdej skarpy i nawet jeśli są w grupie, wydają się sami. Ta samotność jest ich triumfem. Żadnych ograniczeń. Plecaki pozostawiają im swobodę ruchów. Czasem zamienia między sobą kilka słów, ale każdy idzie własnym rytmem. Tylko deszcz mógłby zahamować ich marsz, ale niebo sprzyja temu nowemu kwitnieniu. Daje im szansę lata. Potem trzeba będzie wrócić do szeregu. Potem pojawiają się hamulce, okowy, więzi, zobowiązania, uczucia, zaręczyny, związki, małżeństwa.

Ileż to razy Jeanne widziała, jak więdły te tak wiele obiecujące pączki. Myślała wtedy o japońskich drzewkach skazanych przez ogrodników zen na to, by się zestarzały nie mogąc się rozwinąć. W ten sposób giganty stają się karłami, a piękne, dzikie kwiaty suchymi płatkami w zielniku. Mniejsza o to! Lato powróci i Bóg, który umie dostarczać przyjemności swym stworzeniom, znów wyśle na górskie drogi chłopców z opalonymi nogami. Wino będzie jeszcze lepsze. Podobnie jak ci młodzi ludzie, będzie dojrzewać w tajemnicy, by w pełnym rozkwicie trafić do naszych ust. Pierwsza pieszczota odkrywa natychmiast tajemnice młodości i dlatego jest najlepsza.

Jeanne zatrzymała się na chwilę, żeby sprawdzić na mapie, czy jedzie w dobrym kierunku. Nie popełniła błędu, zresztą rzadko zawodził ją zmysł orientacji. Pozostawało jej zaledwie pięćdziesiąt kilometrów i z góry uśmiechała się na myśl o tym, co czekało ją u celu podróży. Inne kobiety odwiedzają kochanków w koszarach i w więzieniu. Spotykają się z nimi w hotelach lub na nadbrzeżu portu, w którym kotwicę na dwie—trzy noce zarzuci jakiś włóczęga. Jeanne Marsilly nie śpieszyła na spotkanie z kochankiem, lecz z dzieckiem, które ledwo stało się mężczyzną, nie opierzonym jeszcze młodzieńcem. Mathieu, Mathieu Lorin. I to tę ważną osobę miała zaskoczyć w niewinnej scenerii kolonii letnich.

W Paryżu Mathieu próbował wszystkiego, żeby zobaczyć się z Jeanne. Zostawiał automatycznej sekretarce od siebie wiadomości i godzinami terkotał na motorowerze, zakreślając magiczny krąg wokół jej domu. Im bardziej się zapalał, tym bardziej Jeanne stawała się niewidoczna i milcząca, a chłopiec wpadał we własne sidła. Przyjęła na konsultację matkę Mathieu i pani Lorin, która odzyskała siły po operacji, rozplywała się w podziękowaniach. Może pani żądać ode mnie wszystkiego, powiedziała. Pani niczego nie odmówię. Zawdzięczam pani życie. Jeanne była przyzwyczajona do podobnych uniesień i wołała radość pacjentów od ich wdzięczności.

Skorzystała z okazji, żeby zapytać panią Lorin o syna. On panią tak uwielbia, pani doktor, wykrzyknęła matka, jakby zdanie jej syna w tej sprawie miało kapitalne znaczenie, po czym dodała, że Mathieu wyjeżdża na miesiąc na kolonie w miejsce odległe o sto kilometrów od Lyonu. Będę tam, powiedziała Jeanne. Na kongresie. Jakkolwiek nie odpowiadała przedtem na żadne apele Mathieu, teraz całkiem naturalnie zaproponowała pani Lorin, że złoży wizytę jej biednemu, osamotnionemu dziecku. Pani to zrobi! Zdziwiła się matka, rumieniąc się z radości i zmieszania. Jeanne poprosiła ją, by nic nie mówiła synowi. Nie należało ryzykować, że sprawi mu się zawód, gdyby w ostatniej chwili coś stanęło na przeszkodzie tym zamiarom. Zależy mi na tym, żeby sprawić mu niespodziankę, zakończyła ze śmiechem. Nie zastanawiała się, co ją bardziej bawi — mina matki wycofującej się tyłem z jej gabinetu czy wyraz twarzy Mathieu, kiedy ją ujrzy wyłaniającą się spomiędzy grup kolonijnych.

Zaraz po przyjeździe zorientowała się, że w tego typu instytucjach dawno temu zlikwidowano rozmównice, a różnica wieku między wychowawcami a ich podopiecznymi jest ledwie dostrzegalna.

— Przyjechałam do Mathieu Lorina. Zna go pan?

— Mathieu? Tak, oczywiście. Niech pani zaczeka. Mężczyzna, do którego się zwróciła, trzymał w jednej ręce

fajkę, a drugą za pomocą węża podlewał krzewy geranium i kaktusy. Poszedł zakręcić kurek, po czym wrócił do Jeanne, której dokładnie się przyjrzał ze zdziwieniem i rozbawieniem w małych niebieskich oczkach.

— Proszę za mną — powiedział. — Dobrze pani trafiła. Pewnie jeszcze nie poszedł na spacer.

Było to coś w rodzaju dworku, na wpół wiejski dom, na wpół zamek. Za zabudowaniami czuło się las, z którego poszycia krzyki dzieci wypłoszyły węża. Na podwórzu około dziesięciu chłopaków bawiło się z wielkim owczarkiem niemieckim, a inni, oparci o cembrowinę studni, przeglądali komiksy.

— Wiecie, gdzie jest Mathieu? — spytał ich człowiek z fajką.

— Na górze — odpowiedział blondynek o zaróżowionym od słońca torsie.

— Mathieu! — krzyknął wychowawca, zwinąwszy ręce w trąbkę wokół ust, wyjąwszy z nich przedtem fajkę. — Mathieu, czekamy, schodź szybko!

— Już idę — odpowiedział znajomy głos, w którym przeciągle „i” wskazywało na niechęć.

Mathieu Lorin niezbyt lubił, kiedy mu przeszkadzano, a jeszcze mniej — wykonywać polecenia.

— Najwidoczniej nie spodziewał się pani wizyty — skomentował wychowawca, jakby chciał chłopca usprawiedliwić.

— Jestem przyjaciółką jego matki. Zapewne powinnam uprzedzić państwa o moim przyjeździe.

— Skądże znowu. Nie jesteśmy w klasztorze.

— Szkoda. Jest to miejsce, gdzie można się skupić.

Pies przestał szczekać, a dzieci zaprzestały zabawy, kiedy z nadaśaną miną na ganku pojawił się Mathieu.

— Co jest? — spytał płaczącym głosem, przymykając oczy, aby uchronić je przed ostrym blaskiem słońca.

Młodzi ludzie odłożyli komiksy i zbliżyli się wszyscy, tworząc półkole za nowo przybyłą i jej przewodnikiem. Kiedy Mathieu otworzył oczy, nagle zbladł, cofnął się o krok i oparł o ścianę. Milczał, podczas gdy chłopcy za plecami Jeanne wpatrywali się w czubki stóp.

— Masz gościa — powiedział wychowawca.

Mathieu nadal nie ruszał się z miejsca. Był w szortach i kiedy Jeanne do niego podeszła, rzucił zrozpaczone spojrzenie na swe uda, których nagość degradowała go do godnego pogardy poziomu dzieciństwa. Im bardziej się zbliżała, tym bardziej umiłował ukryć zdradzające go ciało. Dla dopełnienia śmieszności miał jeszcze na prawym kolanie ślady gencjany i całkiem świeży strup, który co wieczór zdrapywał do krwi pod osłoną śpiwora. Jak mógł się jej zaprezentować w tak żalosalnej postaci? Krótkie spodenki, istne przekleństwo! Ona uśmiechała się tym uśmiechem wyższych istot, które pochylają się z wysoka, żeby nas ucałować. Dzień dobry, powiedział nagle podając jej rękę, która wysunęła się jak sprężyna nie po to, by powstała między nimi więź, lecz po to, by Mathieu mógł uchylić się od pocałunku tej kobiety, której przyjaźń nagle zaczęła mu się wydawać obsceniczna.

— Pójdę się przebrać — powiedział, wymykając się spod jej spojrzenia.

W kilka minut później wrócił w dzinsach i w tenisówkach. Widać było, że na próżno próbował uładzić ciemne loki, które opadały mu na czoło i przesłaniały oczy. Jestem, powiedział, jakby chciał zaznaczyć, że dziecko, którym był, zniknęło i że tym razem przedstawia się Jeanne jako mężczyzna. Uważała, żeby nie wypowiedzieć żadnego zdania, które mogłoby chłopaka spłoszyć. Żałowała jednak, że tak szybko straciła z pola widzenia jego nogi. Byłyby zapewne miłe w dotyku, chociaż wydawały się trochę wątle.

Obiecała wychowawcy, który o to nie pytał, że odprowadzi Mathieu wieczorem. Jedźmy stąd szybko, poprosił chłopiec. W każdym oknie dworku pojawiły się głowy i trudno byłoby powiedzieć, co bardziej zenowało Mathieu — poczucie, że wszystkie te spojrzenia skupiają się na nim, czy też myśl, że wpatrują się we fryzurę, piersi i nogi tej, która mu dziś towarzyszyła.

W samochodzie Jeanne podała mu paczkę, którą powierzyła jej pani Lorin. Mathieu odłożył ją natychmiast na tylne siedzenie, nawet jej nie otwierając. To bez znaczenia, powiedział i Jeanne zrozumiała, że znów jest gotów za jedną chwilę z nią publicznie wyrzec się całej rodziny.

— Urosłeś — powiedziała.

Wzruszył ramionami i zrobił się bardziej czerwony niż jego purpurowa koszulka Lacoste. Czyż ta uwaga nie była absurdalna? Już od dłuższego czasu twierdził, że osiągnął swój dorosły wzrost.

— Masz rację — dodała. — Ale za każdym razem dziwię się, że jesteś taki wysoki. Lato dobrze ci robi, Mathieu. Czy wiesz, że jesteś bardzo piękny?

Jeanne położyła dłoń na przedramieniu młodego mężczyzny. Opalona skóra pokryta była delikatnym meszkiem niemal zupełnie przezroczystym wskutek działania promieni słonecznych. Jeanne przypomniała sobie, że pewnego razu w pociągu wystarczyło, by siedzący naprzeciwko niej mężczyzna przeciągając się pokazał swe złociste ramiona pokryte jasnymi włoskami, by natychmiast go zapragnęła, choć przedtem nie zwróciła uwagi na jego twarz.

— Niech pani szybko rusza, jedźmy — powiedział chłopiec drżąc i odwrócił się, by sprawdzić, czy nie śledzą ich nadal spojrzenia jego przyjaciół.

Za pierwszym zakrętem zniknął dworek, a wraz z nim niepokój Mathieu. Pozostały już tylko dwa profile i młody mężczyzna umiał skorzystać z okazji, aby z boku podglądać Jeanne, w chwilach, kiedy prowadzenie wozu wymagało od niej skupienia całej uwagi.

Zatrzymali się pod zajazdem, który widzieli z daleka i którego taras dominował nad całą doliną. Ledwo odkryli około pięćdziesięciu samochodów parkujących na tyłach budynku, kiedy Mathieu ogarnęło przemożne pragnienie ucieczki. Mało brakowało, by chwycił Jeanne za mankiet, ale była głodna i Mathieu zrozumiał, że nie jest w jego mocy pohamowanie apetytu tej kobiety.

W gospodzie ludzie potracali się przy dźwiękach katarynki i od czasu do czasu wszyscy podskakiwali do taktu. Jeanne poprosiła o stolik. Odpowiedziano jej, że wszystkie są zajęte. W gospodzie odbywało się wesele i przez cały dzień wszyscy tańczyli do utraty tchu. Już mieli wracać i Mathieu nie ukrywał ulgi, kiedy za nimi odezwał się miły głos: zapraszam państwa, bądźcie moimi gośćmi.

Był to mężczyzna około trzydziestki w dobrze skrojonym smokingu, jedwabnej koszuli i w muszce z takiego samego materiału. Z elegancją jego manier i powierzchowności kontrastował ciemny żar spojrzenia i nieoczekiwany błysk kolczyka w lewym uchu. Mathieu pomyślał od razu o młodym włóczędze, który sterroryzował wszystkich gości w restauracji Nadege, i to wspomnienie zwiększyło jeszcze jego obawy. Dlaczego nakładały się na siebie wyobrażenia tych dwóch mężczyzn? Subtelność jednego nie miała nic wspólnego z łachmanami drugiego. Kloszard miał wygoloną czaszkę, a ten bujną grzywę.. Być może to ten złoty krążek w lewym uchu tworzył między nimi więź pokrewieństwa.

Nie przejmując się zastrzeżeniami Mathieu, Jeanne natychmiast przyjęła zaproszenie. To moje wesele, powiedział mężczyzna, i chciałbym, żebyście się do nas przyłączyli. Śmiał się i pod wpływem tego śmiechu zamykały mu się oczy, jakby blask spojrzenia nie chciał konkurować z bielą zębów. Miał na imię Raphael, lecz Mathieu nie dosłyszał jego nazwiska, tak głośna bowiem była muzyka. Idąc za gospodarzem, torowali sobie przejście wśród gości.

Sala gospody przypominała włoski teatr z antresolami i balkonem. Scenę zajmowały mechanizmy i arlekiny ogromnej katarynki, podczas gdy mnóstwo mniejszych katarynek umieszczono na parterze. Okolicznych łąk i lasów można się było tylko domyślać, a zamiast przepaści otwierających się pod tarasem zawrót głowy wywoływały pomieszane dźwięki muzyki Verdiego i Lehara, „Viens Poupoule” i walców Johanna Straussa. Kiedy oszołomieni tancerze wychodzili na taras zaczerpnąć powietrza zwieszali się oparci wpół na barierce, która chroniła ich przed upadkiem w pustkę.

Był to kolorowy rozochocony tłum, którego pochodzenia społecznego i geograficznego nie sposób się było domyśleć. Wydawało się, że każdy na ten jeden dzień swoistego karnawału pozbył się tożsamości, co nie wymagało nawet włożenia maski. Pomiedzy kolejnymi melodiami było zawsze kilka chwil wytchnienia, kiedy nakręcano korbę innej katarynki. Był to moment ciszy między dwiema burzami. Mężczyźni ocierali pot z czoła, kobiety pudrowały nos. Niektórzy wracali do stołów, przełykali w pośpiechu parę kęsów i na dźwięk pierwszych taktów powracali na parkiet, inni spieszyli do bufetu, żeby tam przegryźć coś lub wypić kieliszek szampana, który znów wyczuliłby ich na muzykę.

Raphael, który zachowywał się jak pan domu, podał Jeanne i Mathieu wysokie szampanki. Wyjaśnił im, że właściciel restauracji zakupił i zgromadził na tej sali wszystkie katarynki z okolicy. Wygrzebywał je ze strychów, z wnętrza różnych szop na przedmieściach Roanne i Lyonu, Villefranche i Vienne. Większość z nich wydobywała dźwięki ze swych cylindrów w okolicznych burdelach. Każdy z tych domów miał własną melodię. Zdarzyło się czasami, że bawiący przejazdem starszy pan rozpoznawał muzykę młodości i pogrążał się we wspomnieniach. Raphael mówił, a Mathieu ogarniała wściekłość, kiedy widział, jak Jeanne wraz z szampanem pije słowa tego mężczyzny. Nic z tego nie rozumiał. Dlaczego Jeanne przyjechała do niego, chociaż w Paryżu stale go unikała? Dlaczego instynktownie cofnął się, kiedy do niego podeszła? Dlaczego, kiedy zaczęła się od niego oddalać, stała się jeszcze

piękniejsza i bardziej pociągająca? A teraz ofiarowywała swój śmiech innemu. Bezwstydny i namiętny śmiech. Nie był to zwykły grzeczny śmiech. Nie, śmiech Jeanne był głębszy. Wydobywał się z piersi, brzucha, jej wola ustępowała przed narastającą przyjemnością. Przypominała te orchidee, które, czekając na zapylenie, wydzielają silny zapach, żeby przywabić owada. Wszystko wskazywało na to, że owad pragnie jedynie poddać się temu czarowi. Już brzęczał, połyskiwał wszystkimi refleksami spojrzenia, poruszał łapkami i wkrótce porwałby Jeanne do tańca, wchłaniając przy tym cały ów śmiech.

Przedstawiam pani Cecile, moją żonę, powiedział Raphael. Była bardzo młoda i miała bardzo jasne włosy przyozdobione wiankiem z kwiatów pomarańczy. Bez uśmiechu i prawie mechanicznie ucałowała Jeanne, tak jak musiała całować dziesiątki innych osób tego ranka. Była dopiero zadatkami na kobietę. Gdyby jej twarz nie wyrażała nic, byłyby poważne powody, by twierdzić, że to tylko pozory. Można byłoby powiedzieć, że jej rysy, zbyt lekkie, zbyt delikatne, są niezdolne do wyrażania uczuć. Później zapewne ta twarz nabierze wyrazu, co zakłóci jej obecną kruchą doskonałość. Wydawało się, że jest coś bolesnego w skrzywieniu drobnego noska i bardzo wąskich warg. Na razie jednak pod przezroczystą skórą Cecile nie wyczuwało się życia.

Znów zabrzmiała muzyka. Zatańczymy, powiedział Raphael i położył dłoń Cecile na ramieniu Mathieu, korzystając z okazji, by pociągnąć za sobą Jeanne. Mathieu zdążył jeszcze usłyszeć, jak Raphael mówił do Jeanne, że katarynki nie są bynajmniej rozrywką barbarzyńców, że w rzeczywistości ich francuska nazwa pochodzi od zdeformowanego nazwiska Barberi, najsławniejszego ich producenta. Mathieu bezskutecznie zapewniał, że nie umie tańczyć. Cecile nie zamierzała się z tym liczyć. Panna młoda powinna zatańczyć z każdym gościem, zareplikowała z rozsądkiem w głosie i Mathieu musiał poczekać, aż objęły ją inne ramiona, by móc się wycofać i rozpocząć odwrót w kierunku bufetu.

Raphael i Jeanne nie uznawali odbijanego. Tańczyli, niemal przywarci do siebie. Od razu rozpoznali się, tak jak zwierzęta wyczuwają na odległość osobniki tego samego gatunku. Tkwiąc przy bufecie Mathieu usiłował obserwować ewolucje tej pary i, tak jak żeglarz, który miotany przez fale zwraca wzrok w kierunku dalekich błysków latami morskiej, chłopiec potrącany przez tańczących starał się nie stracić z oczu fryzury Jeanne. Wszystko, co jeszcze mu z niej pozostało, to kaskada płynnego metalu, której blask ożywiał jeszcze czerwono-złoty wystrój sali.

Niekiedy partner Jeanne, pochylając się ku niej, zasłaniał jej twarz, i Mathieu wspinał się na czubki palców. Kiedy inna para pojawiała się na linii jego wzroku, czekał z niepokojem, aż usunie się na bok. Kiedy Jeanne znów znalazła się w polu jego widzenia, na czoło występowały mu drobne kropelki potu. Dlaczego inni tancerze nie zatrzymują się, żeby na nich popatrzeć? Dlaczego nie wytykają ich palcami? Jak długo będzie trwał ten skandal? Czyż Raphael nie jest panem młodym? Czy wypada, aby na własnym weselu afiszował się z inną? A Cecile, Cecile, czemu jej puste oczy nie są w stanie spostrzec, na co się zanosi?

Na początku Mathieu miał nadzieję, że po zakończeniu pierwszego kawałka Jeanne zostawi Raphaela i wróci do niego. Szybko został wyprowadzony z błędu. Muzyka umilkła, lecz oni nadal tańczyli, tylko trochę wolniej, korzystając z okazji, żeby zamienić kilka słów, ledwo poruszając przy tym wargami. Wokół nich przechodzili ludzie. Kiedy zabrzmiała muzyka, utworzyły się nowe pary. Wszyscy ruszyli znów do tańca, kiedy mechanizmy uderzyły po raz kolejny młoteczkami w miedziane płytki. Mathieu pomyślał wówczas, że pozostaje mu tylko jedna szansa, by odzyskać Jeanne. Głód i pragnienie skłonią ją, by wróciła do bufetu, i to tu należy na nią oczekiwać. Ta ostatnia nadzieja również okazała się płonna. Pod koniec melodii kelner utorował sobie przejście między tancerzami. Podał Jeanne i Raphaelowi dwa kieliszki szampana, które wychylili jednym haustem. Połknęli również kilka kanapek, jak foki, którym rzuca się rybę między jednym a drugim numerem w cyrku. Mathieu dostrzegł nawet, jak Jeanne usunęła palcem okruszek przylepiony do wargi jej towarzysza. Śmiali się do siebie na cały głos i ta zażyłość wydawała się nikogo nie dziwić. Dla Mathieu tego było już stanowczo za wiele. Postanowił odwrócić się tyłem i nie patrzeć na to przedstawienie i samemu pochłonąć wszystko, co było w jego zasięgu. Później połykając pospiesznie, uciekł z dłońmi pełnymi ciasteczek, których krem przeciekał mu między palcami. Na podwórzu gospody z niesmakiem porzucił swój łup i produkty pracowitych zakonnice pokryły ziemię kawą i czekoladą. Postanowił zemścić się na tej kobiecie. Porzuci ją. Nigdy więcej jej nie zobaczy. Gdyby nawet używała podstępów, gdyby nawet się skradała, to go nie dosięgnie. Wyobrażał już sobie, jaka będzie zmieszana i zawiedziona, kiedy zobaczy, że go nie ma. Będzie go wypatrywała, chodziła od stolika do stolika, potrącała tańczących, pobiegnie na taras. A Mathieu zniknął, jakby dostał skrzydeł. Odchodził. Żadna siła go nie powstrzyma od powrotu autostopem.

Usiadł na słupku kilometrowym, żeby oblizać palce zasmarowane kremem. Przejechał jeden jedyny samochód, lecz Mathieu nawet nie próbował go zatrzymać. Czuł, że jego determinacja słabnie. Czyż jego koledzy nie będą się śmiać, kiedy wróci z niczym? Cóż są warte ich kpiny. Odtąd nie należy już do ich świata. Jeanne zepchnęła go na stronę dorosłych, oszustwa, kłamstwa, szaleństwa i miłości. To ją kochał. Tak, kochał ją i nie pozwoli, żeby mu się jeszcze raz wymknęła. To ku niej pobiegł. Nie wiedział już nawet, czy jest piękna. Była jego kobietą, wyłącznie jego. Teraz już miał odwagę. Jak mógł się obawiać jej pocałunków i pieszczoty jej dłoni na swoim ramieniu? To tylko jego niezręczność skłoniła Jeanne, by zatańczyła z innym. Odszuka ją, wydrze Raphaelowi, pokaże swoją siłę.

W sali tanecznej podrygiwano przy dźwiękach charlestona, a podłoga, kieliszki i głowy podskakiwały do taktu. Jak statek z „Fitzcarraldo” restauracja kołysała się na szczycie góry. Wysokie tony podnosiły się jeszcze wyżej wraz z obrotami cylindrów i stukaniem młotków automatów. Coraz głośniejsze, coraz silniejsze. Twarze się ziewały, usta zastygały w wysiłonych uśmiechach, maratończycy ciężko dysząc zmierzali ku nieskończoności. Było oczywiste, że nawet w tym tłumie spojrzenie Mathieu wyłowi natychmiast spojrzenie Jeanne. Nie wymagało to wielkiego wysiłku. Wystarczyło poddać się prawu przyciągania. Podobnie jak gwiazdy pulsary, których gęstość i prędkość obrotów zawrotnie rosną, Jeanne przyciągała wszystkich, którzy znaleźli się w jej polu działania, a tym razem Mathieu pozwalał się przyciągać bez najmniejszego oporu. Teraz także uwierzył już, że odnalazł złotawy połysk, dzięki któremu błyszczały jej zielone oczy i czarne otwory źrenic, za którymi odnalazłby wreszcie drugą stronę świata.

Cecile, w pomarańczowym wianku, którego nie zdołało przekrzywić taneczne szaleństwo, zbliżyła się do Mathieu. Chodź, powiedziała podając mu rękę, której Mathieu, będący myślami gdzie indziej, nawet nie zauważył. Nie udawaj głupiego, chodź. Jej małe blade palce wczepiły się w jego nadgarstek. Drugą swobodną ręką, Mathieu uwolnił się brutalnie z tego uścisku. Paznokcie Cecile wryły się mu w skórę aż do krwi. Po raz pierwszy widział, jak się śmieje. Nic nie rozumiesz, powiedziała mu jeszcze, po czym odwróciła się tyłem i zniknęła w fali tańczących.

Jak Mathieu mógł do tej pory nie dostrzec Jeanne? On, który nauczył się wyczuwać ją z daleka, niczym pies wyczuwający na odległość zająca. Zaczął systematycznie przeczesywać wzrokiem całą salę, od lewej strony

do prawej i od prawej do lewej. Dlaczego jej fryzura nie pojawia się ponad tłumem? Nagle ogarnęła go wściekłość. Jeanne nie zniknęła sama. Raphaëla, mężczyzny z kolczykiem w uchu, także nie było wśród tańczących. Mathieu biegał od stolika do stolika, ale ich nie odnalazł, więc pośpieszył na taras, gdzie słoneczny żar spotęgował jeszcze jego wściekłość. Kiedy spojrział na przepaść pod stopami, stało się dla niego jasne, że uciekinierzy nie mogli się wymknąć z domu tą drogą. Podobnie nie mogli wyjść przez drzwi na parking, tak aby Mathieu ich nie spostrzegł. Przypomniawszy sobie wtedy o schodach, które prowadziły z hallu na piętra i przeszedł przez salę nie zwracając najmniejszej uwagi na tańczących. Strzałka u dołu wskazywała drogę do części hotelowej. W ogarniającej go rozpacz Mathieu czuł, że tym razem się nie myli. Koniec z dziecinadą. Nie myślał już o zemście. Choćby miał siedzieć u stóp schodów całymi godzinami, choćby miał tam utracić tak nieważne drobiazgi jak dom, śmiech, nadzieję — będzie czekał. Nienawiść i złość zniknęły. Pozostało w nim tylko szalone pragnienie ujrzenia jej u szczytu schodów i uchwycenia jej spojrzenia, kiedy zobaczy go siedzącego na dole z twarzą zwróconą ku niej, zastygłego w niecierpliwym oczekiwaniu i miłości.

Gotów był przyjąć z jej strony nawet okrucieństwo. Niech mu coś rozkaże, on posłucha. Niech go strątuje, schodząc z góry, on wstrzyma oddech, żeby się nie potknęła. Niech się z niego śmieje, widząc, jak na nią czeka niczym wierny piesek, on będzie lizał jej stopy. Zaczynał rozumieć teraz słowa innego mężczyzny z kolczykiem. Czyż nie powiedział on, widząc ich obok siebie za stołem w restauracji Nadege: „Morderca i jego ofiara, cóż za piękny obrazek”? Nie tylko zgadzał się na cierpienie, jakie mu zadawała, ale wręcz go pragnął. Czyż nie to ich łączyło? Kiedy ją ujrzy pojawiającą się znów w chwale, podziękuje za szczęście, że znów może z nią być. Jeśli bardziej niż inni umiałby cierpieć, połączyliby się na zawsze.

Ledwo spojrział na schodzącego Raphaëla. Nie chciał się niczego domyślać z jego spojrzenia i uśmiechu. Wystarczyło, że jego powrót zapowiadał pojawienie się Jeanne. Zatrzymała się na chwilę u góry i chłopiec pomyślał, że być może między nogami, na wargach lub we włosach ma jeszcze jego spermę. Zrobiła, co mogła, żeby doprowadzić do porządku fryzurę, ale jej loki błyszcząły jak las dębu korkowego rano, kiedy gąsienice snują między gałęziami pasemka śluzu. Spojrzenie Jeanne natrafiło na Mathieu i ze zdziwienia jej oczy zogromniały pod ciężkimi powiekami. Chłopiec zrozumiał, że o nim zapomniawszy. Nie był

więc nawet psem u jej stóp, dywanem, po którym chodziła. Zrozumiawszy to uciekł.

Mathieu! Zawołała. Przebiegł przez parking i przez drogę, wspiał się na porośniętą trawą pochyłe zbocze i u szczytu rzucił się na ziemię. Musiała zdjąć pantofle, żeby go dogonić. Mathieu, powiedziała jeszcze i opadła obok niego. Chłopiec skurczony szlochał leżąc twarzą do ziemi. Między koszulką a dżinsami ukazała się brązowa skóra. Jeanne dotknęła jej wargami. Chłopiec odwrócił się, ukazując twarz, która nosiła na sobie ślady ziemi, trawy i łez. Gwałtownym ruchem zmusił ją, by się wyciągnęła i jednym obrotem ciała położył się na niej. Mocnym uściskiem unieruchomił jej rozkrzyżowane ramiona i łkając ocierał się policzkami o jej bluzkę a brzuchem o uda. Zdawało się, że wciąż jeszcze płacze, ale ostatnie łkanie wydłużyło się w przeciągły jęk. Owładnięty tym krzykiem, podniósł głowę i jeszcze mocniej przytłoczył ciało Jeanne. Potem oderwał kępkę trawy, ścisnął ją zębami i wreszcie, cichy i uspokojony, ześlizgnął się na ziemię.

RS

Rozdział IV

Martin czekał na Jeanne w bistro naprzeciwko szpitala. Nie miał zwyczaju wstawać rano, chyba że musiał dokądś jechać. Praca w wydawnictwie nie wymagała, by wstawał o brzasku, i to spotkanie było zamachem na wszystkie jego przyzwyczajenia. Już samo to, że musiał przekroczyć Sekwanę, było równoznaczne z ekspedycją na obcą ziemię. Potem zagubił się w tej dzielnicy na prawym brzegu, przez którą wcześniej nigdy nie przejeżdżał, nawet w pełni dnia.

Nic tu nie przypominało znanego mu świata. Kloszardzi, bistro i jego klientela, wszystko było inne. Nie jadało się śniadania od niechcenia, czubkami warg, po to tylko, by usunąć ślady porannego absmaku. Zęby pograżały się głęboko w wielkich sandwiczach, a najdelikatniejsi potrzebowali trzech lub czterech rogalików, by zaspokoić głód. W szpitalu, podobnie jak w fabryce, dzień zaczyna się wcześniej.

Punktualność Jeanne mniej go zdziwiła. Martin rozumiał, że dzięki niej wkracza do świata, w którym nie narusza się przyjętych reguł. Kiedy tylko dostrzegł jej samochód, odszedł od baru i ruszył do drzwi kawiarni. Zwolniła i opuściła szybę. Zostań tutaj, powiedziała. Zaparkuję na dziedzińcu i przyjdę do ciebie. Upięła włosy w mały kok, co nadawało jej twarzy pozbawionej wszelkiego makijażu poważny i zarazem dziecinny wyraz. Kawa, jak zwykle? Spytał pro forma barman. Zanim Jeanne odpowiedziała, włączył już ekspres. Jeanne jadła śniadanie u siebie, ale do jej porannego rytuału należała obowiązkowa filiżanka espresso. Był to zwyczajny etap na drodze do sali operacyjnej.

— Jesteś spięty? — spytała Martina, którego milczący uśmiech nie zdołał ukryć niepokoju.

— To nie ma wielkiego znaczenia, ja jestem tylko widzem podczas gdy ty...

— W porządku. Potrójne zwarcie. Przyzwyczaiłam się. Już czas. Chodźmy.

Gdy tylko przeszli przez bramę, Martin poczuł, że nie może się już wycofać, i w miejsce jego lęku pojawiło się coś w rodzaju fatalizmu. Jeanne stała się jego jedyną przewodniczką i on pójdzie za nią do końca. Znalazł się już pod jej wpływem i słyszał tylko odgłos jej szybkich, odmierzonych kroków na kamiennych płytach posadzki.

Ci, którzy nie widzieli mnie nigdy w sali operacyjnej, zupełnie mnie nie znają, powiedziała mu pewnego dnia i za tymi słowami kryła się lekka prowokacja. Pójdzie za nią do końca, za wszelką cenę. Martin bał

się krwi i również to oddalało go od kobiet. Ale Jeanne, która całymi dniami nurzała w niej ręce, mógł być tylko posłuszny. Widzisz, Martin, nigdy nie będziemy się kochać, dodała. Czy z tego powodu mamy się unikać? Mężczyźni, którzy myślą, że mnie zdobyli, sądzą również, że uzyskali do mnie jakieś prawa. Szybko ich, biedaków, wyprowadzam z błędu. Wziąć moje ciało, cóż to za zasługa? Zobaczyć, jak przenikam do innego ciała, to już bardziej interesujące. Chodź ze mną do szpitala, Martin, jeśli chcesz mnie poznać.

Szare, ciężkie jesienne niebo zawisło nad dziedzińcem i ruch ambulansów nie zakłócał spokoju pięknej siedemnastowiecznej fasady. Wielka, sklepiąta galeria przypominała klasztor, ale nie słychać było szurania sandałów, szeptu modlitw i spokojnego oddechu ani śpiewów gregoriańskich. Tylko krążenie wózków, stukanie drzwi i obcasów. Każdy odgłos odbijał się echem i te metaliczne odbicia dopełniały wizji.

W podziemiach nie było już śladów poprzednich stuleci. Na ścianach mnożyły się napisy z zakazami. Koniec z klasztorem. Przez ciąg ognioodpornych drzwi wchodziło się do czegoś w rodzaju schronu atomowego.

— Przebierz się u mężczyzn, Martin, spotkamy się przy wyjściu.

Po zdjęciu zwykłego ubrania, Martin oglądał w świetle neonów swoje trupioblade ciało. Wydało mu się ono nagle bardziej wrażliwe na ból. Pomyślał, że jest to dopiero pierwszy etap inicjacji. Kiedy zawiązywał wokół kostek sznurowadła płóciennych trzewików, Jeanne jednym ruchem pchnęła drzwi szatni. Między maską a czepkiem śmiały się jej oczy. Trzeba obedrzeć ze skóry pewnego młodego człowieka, zawołała, i pomogła mu się przeobrazić, tak troskliwie jak matka owija w pieluszki noworodka. Od tej chwili, dodała, wszystko co zobaczysz, jest chronione tajemnicą lekarską. Musisz przysiąc, że będziesz jej przestrzegał.

— Zabrałem już tak daleko, że przysięgnę wszystko, co mi każesz.

— Ja nie żartuję, Martin.

— Niech ci będzie, przysięgam — odpowiedział natychmiast, podnosząc rękę. — Ale jest tu zbyt czysto, żeby splunąć przez ramię.

— Nie wymagam aż tyle. Uzyskać od ciebie przysięgę to już nieźle.

Jeszcze jedne schody, tablice, zakazy i drzwi. A potem mężczyźni i kobiety ubrani na zielono. Przychodzi oddychać dziwnym powietrzem. Jest zimno, ale nikt nie drży. Dzień dobry pani. Każdy jest na swoim miejscu, świat zewnętrzny nie istnieje. Jesteśmy w innym czasie. Zmieniliśmy nie strefę czasową, lecz układ słoneczny. Jeanne ścisła wyciągające się dłonie. Dzień dobry pani. Ona zwraca się do wszystkich

na ty, do niej wszyscy per pani. Martin Muller jest przyjacielem. Zgodziłam się, żeby dziś rano nam towarzyszył. Zanim zajrzy do wnętrza, myje ręce, nadgarstki, ramiona. Podczas tych ablucji wydaje polecenia, zadaje pytania. Odpowiedzi są krótkie, precyzyjne, zrytmizowane słowem „pani” na końcu każdego zdania. Dwie młode kobiety podają jej rękawiczki, zawiązują jej na karku tasiemki podtrzymujące maskę.

— Martin, przedstawiam ci dwie nasze nierozłączki. Nigdy się nie rozstają, więc nazwaliśmy je Diastole i Systole. Możesz je rozpoznać nawet w tym przebraniu. Diastole ma oczy niebieskie, a Systole orzechowe.

— Prawie już nie ma bielizny — zaczyna Systole, nie troszcząc się o prezentację. — Jeśli tak dalej pójdzie, zabraknie nam jej, proszę pani.

— Co mam ci powiedzieć? Ciągłe się upominam. Przez ten brak pieniędzy będziemy grać w pokera, zamiast operować, jeśli im na tym zależy.

Na sali czeka pacjent. Blade, wygolone, opędzlowane i opuszczone ciało. Jego ciężar rozpląszcza je na stole. Nie podtrzymują go mięśnie, jest bezwolne, a klatka piersiowa w świetle reflektorów zdaje się rozsadać skórę. Od głowy, tak jak czułki i wąsy u skorupiaków i owadów, odchodzą liczne przewody i anteny. Na końcu każdego przewodu znajduje się naczynie lub monitor, nad którym czuwa osoba w zielonym stroju. Dwóch anestezjologów siedzi obok siebie na ławeczce za menzurkami wypełnionymi krwią.

Rytualny gest. Kiedy Jeanne wchodzi do sali operacyjnej, najpierw podchodzi do uśpionego człowieka, nietkniętego jeszcze w powłoce ciała, i głaszcze go delikatnie po czole. Wkrótce jego życie, które na pewien czas znajdzie się w stanie zawieszenia, schroni się tam — pod czaszką. Jeśli mózg będzie działał, reszta pójdzie za nim. Muska z czułością czoło skazańca. Chwila skupienia przed walką. Wszyscy pacjenci noszą imię Łazarz. Móc jeszcze raz przejść przez życie i śmierć i na końcu drogi powiedzieć po prostu: wstań. Jeanne zwraca się do asystenta: możesz zaczynać.

Elektryczny nóż chirurgiczny nacina nogę, żeby wyjąć żyłę. Między głową a korpusem pacjenta, Systole kładzie prześcieradło, które odtąd będzie wyznaczać granicę między człowiekiem a polem operacyjnym.

— Kiedy zaczną się rzeczy poważne — mówi Jeanne do Martina — każę postawić ci krzeselko zaraz za głową pacjenta. Stamtąd będziesz mógł trzymać rękę na pulsie wydarzeń. Zgoda?

— W porządku — zgadza się Martin — który chciałby stać się niewidzialny, tak bardzo boi się zakłócić ten obcy mu ceremoniał.

— Czy Haendel zainspiruje was dzisiaj? — pyta Jeanne. Mężczyźni i kobiety w zieleni wyrażają aprobatę ruchem

głowy lub mrugnięciem powiek. Jeanne odwraca się do Distole:

— Może być Haendel, włącz kasetę z „Water Music”. Uwertura „Suity fis mol” z largo ? la française zdaje się

otwierać na pewien czas ściany tego zamkniętego w sobie świata. Martin chwytą się znajomych nut, podczas gdy na ekranach migoczą nic nie mówiące mu cyfry, a ludzie w maskach wymieniają uwagi, których nie rozumie.

Asystent wyciąga z nogi długą żyłę podobną do olbrzymiej dżdżownicy, a Martin wpatruje się w wygolone łono pacjenta, jego żalony penis, którego kształt, skrępowany, związany, obwisły, zanegowany, ledwo można odróżnić pod warstwą plastra.

— Siadaj na krześle, Martin — rozkazuje Jeanne. — Teraz zaczyna się podróż do wnętrza człowieka.

— Proszę pani — mówi młody sanitariusz, który niemal biegiem wpadł na salę operacyjną — telefon do pani.

— Telefon! Dobrze wiesz, że nie odbieram, wszystko jedno kto dzwoni. Niech się ode mnie odczepią!

— To mężczyzna, proszę pani. Nalega. Mówi, że jest pani mężem.

Distole i Systole patrzą na siebie szeroko otwartymi oczyma. Nogi siedzącego na krzeselku Martina drżą. Czy odgłosy świata zewnętrznego, jeśli już dotrą do tego azylu, dochodzą zniekształcone? Jej mąż? Co to ma znaczyć? Czyżby Jeanne Marsilly miała męża? Pytanie wydawało się pozbawione sensu, a jednak wszyscy zwracali się do Jeanne „madame”.

— Zajmie mi to sekundę — mówi Jeanne. — Laurent, poczekaj na mnie z otwarciem.

— Dobrze, proszę pani.

Wszyscy wstrzymują oddech, wpatrują się w wykresy i ekrany, sprawdza się kartę chorego, lekarze i pielęgniarki przygotowują się do czynności znanych, a jednak za każdym razem nowych. Zapominając na kilka minut o tym, który leży u jego stóp, Martin się zastanawia. Jak Jeanne mogła ukryć swoje małżeństwo? Czy kiedy mu mówiła, żeby przyszedł do szpitala, by lepiej ją poznać, miało to znaczyć, że chciała mu się zwierzyć również z tego sekretu?

Lecz oto Jeanne już jest z powrotem, wyraz jej oczu, bardziej zielonych niż czepek i maska, jest taki sam jak przedtem.

— Tym razem nic nam nie przeszkodzi, ani pożar, ani trzęsienie ziemi. Wydałam polecenia. Zaczynaj, Laurent.

Skóra ustępuje pod nożem, który zaznacza krwawą linię, po czym zagłębia się w ciele. Odcina kolejne warstwy człowieka. Najgłębsze warstwy skóry, tkanka tłuszczowa, mięśnie? Martin nie wie. Widzi tylko człowieka, którego na jego oczach rozłupuje się na dwoje jak orzech kokosowy. Czuje już tylko swąd przypalonego mięsa, zapach opalanego kurczaka. Na brzegach rozległego rozcięcia skóra marszczy się i zwija, coraz bardziej przypominając stronicę pożółkłych ze starości ksiązek, wystrzępione wskutek długiego użycia.

Martin wpatruje się zafascynowany we wnętrze człowieka. Ranę rozszerza się za pomocą haków operacyjnych. Metal rozrywa tkanki i je odpycha. Kapłani pochylają się jeszcze głębiej, aby odkryć wnętrze. Tu jest życie, ptaszek drżący ze strachu, różowe, wibrujące osierdzie. To człowiek poddawany torturom. Martin tego nie zapomni. Jego kolana niemal muskają głowę pacjenta, z którego ust i nosa wychodzą liczne rurki.

Ponad prześcieradłem — pole operacyjne; mężczyzna z zamkniętymi powiekami. Spojrzenie Martina wędruje od jednego ku drugiemu i rodzi się w nim дума. Z kolei osierdzie rozrywa się jak burzowe niebo i, nasiąknięte krwią, samo, jedyne, czerwone, zaciekle, silne i zagrożone, choć nadal nie zwyciężone, uparte, wytrwałe, wybijające w nieskończoność rytm czasu — ukazuje się serce.

Jeanne go dotyka, obmacuje. Ręce kobiety na sercu mężczyzny, wamp obciągnięty aż po pachy w satynę, wrywający swym ofiarom jelita. Czubki jej palców są już różowe. Jej dłoń ślizga się, pieści, otula, waży. Jak uspiońy kochanek, którego członek podnosi się w nocnych marzeniach, otwarty człowiek ofiarowuje Jeanne swoje serce. Krew napływa i odpływa. Jestem twoim więźniem, mówi, biję tylko dla ciebie i odrodzę się tylko dla ciebie.

— Odważne serce — szepcze Jeanne — wszystko będzie dobrze.

Rogi Haendla triumfują w allegro, gdy tymczasem wokół Martina narasta rytm. Szybkie i precyzyjne polecenia, ruchy. Ręce wyciągają, ręce biorą, ręce przecinają, ręce zatykają. Instrumenty krążą. Lśni metal. Połyskuje krew.

— Widziałeś już kiedyś podobną czerwień, Martin? — pyta Jeanne, nie patrząc na niego. — Nie ma piękniejszego koloru. Dla niego gotowa jestem uwierzyć w Boga. — Martin milknie. Jak mógłby mówić, on, który żyje ze słów? Mógłby tylko przeczyć, gdy nieznajomy rozwarł się

przed jego oczami, gdy płatały się kontury, gdy zanikały granice, gdy zimno parzyło, gdy gorąco mroziło, gdy świat otwierał się jak te rosyjskie lalki zawierające jedna drugą, co sprawia wrażenie nieskończoności. Całe ciało Martina się wzburzyło i było po trosze tak, jakby jego żyły wypełnił zmrożony eter wódki. Czerwone są ręce Jeanne, a zielone jej oczy. Jej spojrzenie iskrzy się jak metal w czubkach jej palców. Wszyscy mężczyźni, których Martin kochał, mieli siedem wejść. Liczba siedem: symbol pełni i doskonałości.

Siedem otworów mężczyzny, jak siedem dni tygodnia, siedem planet, siedem płatków róży, siedem darów Ducha Świętego, siedem ramion świecznika, siedmiu archaniołów, siedem wrózek, siedem nut, siedem kolorów tęczy. A ten, tu u jej stóp, istnienie sprowadzone do kawałka mięsa, miał szeroką ranę od piersi do pępka, ósmy otwór. Ani kobieta, ani mężczyzna, a jedynie więź łącząca Jeanne i Martina. Wampire, wampirze, czyją to spijasz krew? Serce już nie bije, a jedynie tylko drży. Wojownik utracił swą wspaniałość. Kurczy się. Jest jak kawałek mięsa na ladzie u rzeźnika. Krew, jego wspaniała krew opuszcza go. Krąży dalej poza nim. Blade, miękkie serce, przypominasz już tylko członka po akcie miłosnym. Jeanne wyssała ci duszę. To kobieta, Jeanne, pokazuje Martinowi, jak się zdobywa władzę nad mężczyzną.

Nić po nici, punkt po punkcie, Jeanne tka swe płótno wokół uśpionego organu. Praca koronczarki, myśli Martin. Jeanne odrzuciłaby to porównanie. Pewnego dnia powiedziała mu: „Ja też, Martin, wierzyłam w świetlaną przyszłość, a czasem jeszcze odczuwam ból, kiedy myślę, że Rewolucja, Społeczeństwo Bezklasowe i Równość to pojęcia tego samego rodzaju co Duch Święty, Niepokalane Poczęcie i Eucharystia. Wierzyłam w idee, marzenia, utopie. Wierzyłam w Człowieka przez duże „C”. Teraz już tylko w zwykłych ludzi i otwieram ich jednego po drugim. Reperuję ich mechanizmy. Bóg jest właścicielem warsztatu, a ja jego mechanikiem. To wszystko i to wcale jeszcze nie jest tak źle. Możesz mi wierzyć”. W końcu co to za różnica, czy jest się Parką, prządką czy Bożym mechanikiem, gdy chodzi o pośrednictwo między życiem a śmiercią?

Muzyka umilkła wraz z ostatnimi uderzeniami serca. Musiało to się stać przed chwilą. Jak to poznać? Na ekranie prążki. Umysł Martina unosił się nad otchłanią.

— Encefalogram? — spytała Jeanne.

— W porządku, proszę pani.

— To tutaj — powiedziała do internisty — jeszcze parę miesięcy i rozpadłoby się na kawałki. Uwaga, Laurent, dobrze sprawdź zapisy.

— Tak, proszę pani.

Z całej twarzy Jeanne Martin widzi tylko oczy i część czoła. Ale wie, co ukrywa maska: silnie zarysowany podbródek, mocno nakreślone, doskonale symetryczne policzki, delikatne wargi i między nimi, jak u dziecka, niewielka rozchylna przestrzeń. A gdy górę bierze niecierpliwość — zęby przygryzające górną wargę. Zna każdą jej minę, grymas, każdą różnicę w mimice, poczynając od szalonego śmiechu po niedostrzegalne zmarszczenie brwi. I właśnie to ma mu za złe Paul: „W jej obecności, zachowujesz się jak dzieciak, gapisz się wybałuszonymi oczyma, tak bezwstydnie, że aż budzi to sprzeciw. Wyglądasz jak Czerwony Kapturek, który marzy o tym, by pożarł go wilk”. W obecności Jeanne Paul starał się zawsze ruchem, spojrzeniem bądź pieszczotą dać do zrozumienia, co łączy go z Martinem. Wilczycy to jednak nie zrażało.

— No. Wszystko w porządku. Dzięki nam ten pan ma serce młodego człowieka. Mogę się założyć, że będzie mógł znów uganiać się za dziewczkami. Zaczynamy próbę. Laurent, Michel, Claire, Raymond, Diastole, Systole, jesteście gotowi? Właśnie ładujemy.

— Tak, proszę pani.

— Zaczynamy.

Gdy ręce ożyły, spojrzenia powędrowały ku ekranom. Ściągnięte brwi i milczenie wszystkich obecnych wskazywały, że nikt nie ma prawa się przestraszyć. Za każdym razem wynika! ten sam problem: czy to połatane serce, którego wszystkie niewydolne tętnice wieńcowe zostały zastąpione pociętą na malutkie kawałki żyłą, znajdzie dość siły, by znów ruszyć? Czy bęben będzie zdolny wytrzymać werble? Czy tajemniczy dobosz zgodzi się podjąć rytm dokładnie w miejscu, w którym został on przerwany? Czy ten biedny skrawek mięsa zanurzony we krwi, której nawet ciągle wyżymana gaza nie jest w stanie wchłonąć, zgodzi się podjąć swoją życiodajną pracę?

Wloką się minuty. Czas w sali operacyjnej płynie inaczej. To czas organiczny. Jego słońcem jest serce. Jego rytm dopasowuje się do rytmu krwi. Igła elektrokardiogramu waha się i opada.

— Zaczynajcie — mówi Jeanne.

Czasem pracuje maszyna, czasem seret samo rusza do próbnego galopu. Po wpływie impulsów elektrycznych drży, marszczy się, szaleje.

— Zwolnijcie — mówi Jeanne.

Przestrzeń się kurczy. Serce staje się centrum świata. Serce bije i świat się odradza. Serce milknie i świat chwieje się w posadach. Tyle troski, tyle wiedzy, tyle miłości dla jednego serca. Gdzie indziej zabija się, ginie, zdycha. Tu serce dyktuje światu swoje prawa. Nadyma się i różowieje.

— Zaczynam — mówi Jeanne.

W jej głosie nie ma śladu zmęczenia, tylko wola i radość.

— No proszę — szepcze.

Spod igły wychodzi nowa, rytmiczna partytura. Kawalek mięsa staje się znów człowiekiem. To bije, to się kurczy, żyje. Jeanne wyciąga rękę. Zdejmują jej rękawiczki.

— Poczekaj parę minut i zszywaj, Laurent.

Z rękami wspartymi na udach prostuje się i przeciąga jak praczka nad balią.

— Ma na imię Antoine i wraca z daleka.

Martin odczuł coś w rodzaju ulgi, gdy Jeanne uwolniła swoje włosy, przeobrażając się z zielonej rnniszki w znaną mu zdobywczynię.

— Zgłodniałam przez to wszystko — powiedziała. — Chodź ze mną coś zjeść.

— Obiecałem Paulowi...

— Powiedz, żeby do nas dołączył. Zafundowałam cię piękne widowisko, prawda? Teraz twoja kolej.

Zadzwoił do Paula ze szpitala i wielka niespodzianka: jego przyjaciel od razu przyjął zaproszenie. Zrozumiał wtedy z rozbawieniem, że zapewnienia przyjaźni między Paulem i Jeanne szybko przemienia się w próbę sił.

— Dlaczego nie powiedziałaś mi, że miałaś męża? — spytał Martin, gdy wóz opuszczał szpitalny dziedziniec.

— Formalnie mam go nadal. Po co się rozwodzić? Nie wierzę w małżeństwo. Nie zrywa się czegoś, co nie istnieje.

— Kto to jest?

— Nigdy nie mówię o mężczyznach, których znałam. To mój sposób okazywania im szacunku.

Dodała jednak, że ze swoim mężem żyła tylko przez parę miesięcy, ale z przyjemnością go zawsze potem spotykała. Później umilkła, a Martin uszanował jej dyskrecję. Wiedział, że tajemnice, którymi się otacza, zawierają nawet wbrew jej woli wiele legend. Niektórzy wyśpiewywali hymny pochwalne ku czci Jeanne — cudotwórczyni. W dniu koronacji

królowie Francji uzdrawiali chorych na skrofuły. Czy Jeanne codziennie nie czyniła cudów? Jej ręce posiadały dar dotykania serc i przywracania im pierwszej młodości. Inni widzieli w niej kogoś w rodzaju krwawej hrabiny, Elżbiety Batory spragnionej krwi swoich ofiar. Powiedz sam, czy to jest zawód dla kobiety? Zresztą ta Jeanne nie jest kobietą, a potworem. Podczas schadzek doprowadzała swych kochanków do skrajnego wyczerpania, później zwracała im akurat tyle sił, by móc ich wysysać od nowa. Chyba nie sądzisz, że to takie łatwe? spytała któregoś dnia Martina. Chirurgia kardiologiczna jest sprawą mężczyzn, dotyczy to zarówno lekarzy, jak i pacjentów. Nikt nie lubi przecież okazywać obcemu swoich dolegliwości.

Nie sprawiała wrażenia kogoś pragnącego rewanzu. Tylko raz, właśnie tego dnia, Martin pochwyił błysk triumfu w jej oczach, było to w chwili, gdy serce chorego powróciło do normalnego rytmu. Była w tym triumfie radość, duma, przyjemność i jeszcze coś nieokreślonego, w czym mieszały się jakby zmysłowość i nadzieja. Tak naprawdę mężczyźni, którzy potrafili doprowadzić do rozkoszy jego przyjaciółkę, nie wiedzieli o niej nic, jeśli nie poznali tego spojrzenia. Śmierci, gdzie jest twoje zwycięstwo? Wyzwanie jedyne w swoim rodzaju. Co do reszty, Jeanne wolała się z niej śmiać, a jeśli czasem odwracała się ku przeszłości, by ocenić przebytą drogę, rozbawienie przeważało nad oburzeniem. Czy wiesz, że w średniowieczu, mówiła, Kościół zabraniał sekcji. Pierwsi, którzy odważyli się złamać tę regułę, zaczęli od zwłok kobiet. Oczywiście nie mieli racji, okazując takie skrupuły jako że uważano, iż biedaczki nie mają duszy.

Samochód zanurzył się w podziemny parking, Jeanne mogła wracać do siebie, nie ryzykując spojrzeń zza wszystkich drzwi w kamienicy. Dzięki temu sekret jej powrotów i wyjść wydawał się jej lepiej strzeżony. Anonimowość, na którą uskarżają się mieszkańcy wielkich miast, nie była dla niej ciężarem, ale ochroną. Metro, ścieki, pasaż, lubiła te bulgoczące wnętrza miasta, zwłaszcza gdy dzięki jednemu naciśnięciu guzika w windzie można przenieść się spod ziemi aż pod niebo.

Jeanne obserwowała Martina ustawiającego zegar postojowy na parkingu. Wiedział, że dostęp do jej fortecy wcale nie jest taki łatwy i że jej kochanków z rzadka spotyka taki zaszczyt.

Jedynie jej przyjaciółka Victoire, mieszkająca w tym samym budynku na czwartym piętrze, miała dość odwagi, by dzwonić do drzwi Jeanne bez wcześniejszego uprzedzenia.

— Jama bestii — oświadczyła Jeanne.

Pośrodku pokoju stał kominek z miedzianym okapem, na którym leżały szczapy i drewnienka oczekując na zapalki, które Jeanne rzuci, jeszcze zanim pozbędzie się torby i kurtki. Podniosły się płomienie i Jeanne gestem zaprosiła Martina, by rozsiadł się między poduszkami otaczającymi palenisko. Jeszcze się wahał, czy posłuchać jej rozkazu. Przez szerokie balkonowe okna przenikało szare i brudne światło jesieni. Ale w samym sercu domu magia ognia przeistaczała je w rudy snop zapalający miedź okapu, włosy Jeanne i cegły schodków prowadzących do pokoi i na taras. Martin zatrzymał spojrzenie na tym, co znał najlepiej, próbując odczytać tytuły książek; ściany od podłogi po sufit zastawione były półkami.

— Sam widzisz, że ich nie palę! — wykrzyknęła ze śmiechem.

Czyż nie posunął się podczas tych kolacji na mieście, kiedy to wygłasza się oszczerstwa głosem szalbierza, do zarzucenia Jeanne, że w swoim niszczyielskim szale pali książki po przeczytaniu, tak jak pozbywa się dawnych kochanków?

— Od kiedy znasz Paula?

— Nicco ponad rok.

— Cholera, prawdziwe małżeństwo.

— Zamknij się, Jeanne.

— Daję słowo, jesteś zakochany!

— Przede wszystkim się boję.

— Paula? Nie chcesz chyba, żebym uwierzyła, że boisz się Paula?

— Nie Paula. Samotności.

Dlaczego oni wszyscy przyznają się, że to nie żądza, pasja ani magnetyzm wywierany przez jedno ciało na drugie sprawia, że się wiążą, zrastają jak syjamskie bliźnięta? Strach, nic innego niż strach przed pustką i jej groźba. Nawet Martin ze swym dziecięcym, niebieskim spojrzeniem, nawet on ze swoją świeżą, nie głaskaną przez żadną kobietę skórą, był niemal martwy ze strachu. Jeanne przypomniła sobie sylwetki młodych ludzi z plecakami, maszerujących pod słońcem lata. Byli wolni, byli razem i byli samotni. Nie znali jeszcze więzów ani okowów. Trzeba ich ujeździć na oklep. Czy dziś wstąpili już do szeregu? Pograżyli się w przyzwyczajeniach? Znikanie jesienią należało bez wątpienia do ich natury. Inni przyjdą następnej wiosny i ich zastąpią. Ale jak te wszystkie młode serca mogą być tak szybko obłaskawione? Jak może się w nich na zawsze zagnieździć strach? Nawet Martin, nawet Paul, wszyscy marzyli o własnym kącie bądź jęgo namiastce. Zimni mężczyźni, czy nie wiecie,

że wszędzie są gałązki gotowe zapłonąć? Nie wiecie, że wystarczy zapalka, by wzniecić pożar? Widzieliście jak baobab wykręca w płomieniach swe gigantyczne ramiona? Czego się boicie dmuchając do utraty tchu w nędzny płomyczek, niezdolny nawet ogrzać waszych dłoni?

— Samotność, Martinie, myślisz, że unikniesz jej dzięki namiastkom? Po co przed nią uciekać? Twoje pisanie żywi się samotnością.

— Nie, ono mnie wysysa.

— Ale twoje książki?

— Moje książki! Kiedy widzę to wszystko — powiedział wskazując ręką dzieła w bibliotece — czuję się jeszcze bardziej samotny, samotny pomimo dwóch książczyn, które udało mi się z siebie wykrzesać. Nawet nie wydarłem ich sobie z bebechów. Wiem o tym, Jeanne.

— Nie opowiadaj literatury, ja ją wolę czytać.

— Nie, naprawdę nie pochodziły ze runie i wiem to dzięki tobie.

— Dlaczego akurat dzięki mnie?

— Dzięki tobie zobaczyłem, jak otwiera się człowiek. Widziałem wewnątrz człowieka. Wewnątrz człowieka żywego, potem martwego, potem od nowa żywego. Przeprowadziłaś mnie przez granicę. To zasługuje na uczczenie. Jak dawniej na statkach przekroczenie równika: Zaczynaj, kapitanie! Nalej wódki! Moje pióro nigdy nie będzie skalpelem. Chciałbym ciąć żywe ciało, Jeanne, czerwone, ukrwione. Nigdy nie będę mógł tego robić.

— Mylisz się, Martin.

W końcu co dzień docierała wprost do serca, ale obnażała tylko jego mechanizm. Jakiegokolwiek były jej starania, wiedza i wola, nigdy nie uda się jej całkowicie uniknąć nieprzewidywalnego. Czy to biedne serce zgodzi się odżyć? Odżywało niemal zawsze, ale niemal zawsze była to tortura. Jakiemu panu podlegało to niemal? Czy wolno się było nim bawić? Pij, Martin, pij, nie wolno się zatrzymywać w pół drogi, pij. Wódka jest mroźna i paląca jak ostrze. Wdychaj ją. Ma cudowny zapach szpitalnego poranka. Otwórz serca, Martin, nie trać odwagi i pomóż mi odczytać przepowiednie.

Jeanne podgrzewała bliny, gdy zadzwonił Paul.

— Byłem u Vic — powiedział, całując Jeanne. — Wie pani, że się mną zajmuje?

Jak mogłaby nie wiedzieć? Sama zachęciła Paula po ich pierwszym spotkaniu, aby zdał się na Victoire. Było to niedługo po tej kolacji u Baccaratów, gdzie oczekiwano na Jeanne. Paul bardzo nalegał na Martina, aby się zgodził poznać go ze swoją przyjaciółką. Miał nadzieję,

że zazdrość, która starała się nieznośną torturą za każdym razem, gdy wymawiano przy nim nazwisko Jeanne Marsilly rozplynie się cudownym sposobem w zetknięciu z realną postacią. Wierzył, że Jeanne rozczaruje go. Jednak już pierwsze spojrzenie wystarczyło, by zrozumiał, że sprostą swęj legendzie, mimo że się z nią nie stopiła. Paul wrócił do ironii. Lepiej było układać się z wrogiem, by skrzyżować szpady w odpowiednim momencie.

— Vic to prawdziwa perła, od początku tygodnia załatwiła mi już dwa wywiady — wykrzyknął z emfazą. — Muszę dodać, że moje sprawy mają się doskonale. Co mówię? Wręcz świetnie.

Miał zwyczaj uprzedzania komplementów, i utrzymywał się w pół drogi między szyderstwem a błazenadą. Trzeba przyznać, że ten ton często robił wrażenie na jego rozmówcach, a Victoire zachęcała do systematycznego używania go podczas wywiadów.

— A co ze sztuką? — spytała Jeanne. — Czy wciąż zachwycacie tłumy?

— Triumf! Gramy przy zamkniętej kasie. Bilety wyprzedane. Wystartowaliśmy dobrze i to na dłuższy czas. Założę się, że Martin jeszcze długo będzie spędzał wieczory w samotności.

Osunął się między poduszki, pociągając po drodze Martina, którego objął w pól. Niższy od przyjaciela i tylko nieco szerszy w ramionach sprawiał jednak wrażenie silnego. Była w nim żywotność, rodzaj zwierzęcej radości, która zadziwiła Jeanne, gdy zaciągnięta przez Martina i Victoire poszła zobaczyć, jak gra w teatrze. Wkraczał na scenę jak bokser na ring, niespokojny, z rozgrzanymi mięśniami, gotów do walki. Pierwsze kwestie błysnęły jak prawe i lewe proste; później bardzo szybko przyjemność zatarła napięcie i Paul bawił się trudnościami jak krótkimi, dobrze wymierzonymi hakami. Był piękny, gdy wychodził się kłaniać, ze swoimi ociekającymi potem wąsami, twarzą skąpaną w lubieźności. Składał się w pól równocześnie sprężony i skaczący, nie widział już schylających się wraz z nim pod burzą oklasków kolegów, nie widział już ciasnoty teatru ograniczającej jego zwycięstwo. Był sam i wyobrażał sobie tłum ogarnięty szaleństwem. Przed ostatecznym zniknięciem za kulisami rzucił spojrzenie w kierunku Martina i uśmiechnął się do przyjaciela.

— Zrobi karierę — przyznała Victoire, której wypowiedzianie takich opinii nie przychodziło z łatwością.

— Tak sądzisz? — dążył Martin z nadzieją, że usłyszy potwierdzenie tego, co już przyniosło mu zadowolenie.

— On tego chce, wierz mi, ale nie można przeskakiwać szczebli. Widziałam aż za dużo takich, co po trzech małych wyjściach z oklaskami myśleli, że to już to. Piano, piano. Z głową na karku, a jeśli to możliwe jeszcze z czymś w głowie. Zajmę się tym młodym człowiekiem i mogę się założyć, że za rok będzie znany.

Victoire dotrzymała słowa i Paul nigdy nie żałował powierzenia jej swojej zawodowej kariery. Powodzenie mu sprzyjało i po każdej nowej recenzji oczy mu odżywały, a wąsy prężyły się bezczelnie. Te fanfaronady małego, jarmarcznego siłacza bawiły Jeanne, ale czasem zauważała rozdrażnienie Martina. Obawiał się, czy Paul nie ośmiesza się w oczach Jeanne, z której opinią tak się liczył.

— Dołóż sobie śmietany, Paul. Należy nią całkiem przykryć twój naleśnik. — Podobały jej się kolory na talerzu: jasność blinów, biel śmietany i lśniąca czerwień łososia i jego ikry. Z pełnymi ustami ucałowała Martina. Czy ślina nie była doskonałym dodatkiem do tego jedzenia z dzieciństwa? Aż do głębi gardła ciepła lepkość. I, całkiem na podniebieniu, niezliczone małe kuleczki świeżości, która eksploduje, twarde i naprężone, uwalniające swoje zarodki. Organiczna papka o smaku oceanu. Paul się wyprostował. Wąsy miał niemal obwieszane sopłami śmietany.

— Dobrze — spytała Jeanne.

— Więcej niż dobre — odpowiedział Paul, smarując drugiego blina.

— Kochasz Martina? Czy go kochasz?

Martin, a jego błękitne, oszalałe oczy stały się jeszcze bardziej wzruszające.

— Nie bądź taki nieśmiały — Paul podniósł poprzeczkę. — Jesteśmy między swoimi. Prawda, Jeanne. Wszyscy tutaj kochamy mężczyzn, a może nie?

— Bardzo słusznie — przyznała Jeanne. — Jesteśmy między swoimi. Trochę wódki?

— Och, jeśli chcesz mnie brać na uczucia...

Jeanne dorzuciła do ognia dwa polana, które spotkały się w sypiącym iskrami pęku. Było gorąco, ale Jeanne nie pomyślała o otwarciu okien. Jesień znikła. Zapomniane zostało górne piętro mieszkania, pokoje, łazienki i wielki taras z widokiem na miasto. Był tylko ten kominek na środku, który pożerał wszystko.

Martin zdjął kurtkę i sweter, podwinął rękawy koszuli. Pokazał długie ręce o nabrzmiałych żyłach, a migotanie płomieni podkreślało jeszcze bladeść jego skóry. Delikatność tego ciała przyciągała Jeanne, jego

kruchosc budzila w niej ządę miłości, jego sekret powodował, że zaciskała zęby. Jak tu nie pragnąć kogoś, kto ma tyle do ukrycia? Co się chowa za zbyt niebieskim spojrzeniem jej przyjaciela? Odkryła w książkach Martina, że ich autor ukrywał pod swą piękną powierzchownością, gładkością, spokojem i ucywilizowaniem kilka potworów, które nie tak łatwo dadzą się zdemaskować. Paul, zbyt zajęty swoją sławą, nic z tego nie rozumiał. W swej olbrzymiej naiwności i nie mniejszym zarozumiałstwie myślał, że może dostarczyć Martinowi na zawsze pożywki dla jego pragnień i snów. Jak można sobie wyobrazić określenie raz na zawsze losu istoty ludzkiej? Czyste szaleństwo, wobec którego dogmat o Niepokalanym Poczuciu wydaje się czymś po prostu oczywistym! Jeanne przyglądała się gierkom Paula i Martina. Jako dziecku, podczas przerwy w szkole, zdarzało się jej stawać na czubkach palców, aby sponad murku patrzeć na podwórze chłopców. Już wtedy lubiła podglądać ich figle. Spod rozpiętej koszuli Martina wychyłała jasna gęstwina. Paul przesunął po niej ręką, z lekko zgiętymi palcami. Nie chodziło tylko o pieszczotę, ale o zaznaczenie swojej władzy. Jeśli Paul na scenie zachowywał się jak na ringu, można było bez większego ryzyka przyjąć, że w miłości również starał się zapewnić sobie dominację. Wyczuwał, że uległość Martina jest tylko pozorna. Co wieczór Paul musiał uwodzić publiczność. Co wieczór musiał od nowa podbijać swego przyjaciela. I tu, wobec Jeanne, której siły się obawiał, musiał bardzo prędko narzucić swoją wolę. Jeśli ciało Martina odpowiadało na jego ciało, zwycięstwo było pewne. Jeśli był to tylko epizod — tym gorzej. I tak pokona to kurewskie przeznaczenie.

Z odblaskiem tańczących płomieni na twarzy Martin wydawał się młodszy. Miał łagodne, a zarazem niezadowolone spojrzenie człowieka, którego zbyt długo otaczała miłość macierzyńska i który wszędzie poszukuje jej namiastki. Pod spodniami rysowało się nabrzmienie jego członka. Jeanne lubiła pieścić swych kochanków przed ich rozebraniem i przewidywać ich kształty pod napiętym materiałem. Czyż pod jednorodnością odzieży nie kryła się zawsze nowa przygoda? Jej ręce miały własną pamięć. Jej ręce nie pomijały nic z prężności skóry, suchości serży, sztywności płótna, plastyczności dżinsu, aksamitności welwetu. Jej ręce potrafiły rozpoznać te przekłete materiały, które elektryzują czubki palców i których można się pozbyć tylko jednym gwałtownym ruchem. Ale te ręce wołały długie zbliżenia i pozwalały się unosić przykryte materiałem; była to rozkosz niemal nie do zniesienia.

Jak dawne bigotki, Jeanne ubierałaby posągi, by przywrócić ich męskości cały jej bezwstyd.

Dlaczego mężczyźni zakazani zawsze wydawali się jej bardziej pociągający? Pomyślała o Mathieu, tym pół dziewiczym chłopcu, którego doprowadziła do rozkoszy, nawet go nie dotykając. Zamęt jego zmysłów wzruszył ją przez chwilę. Ale teraz, gdy zawarł się, by ją dopaść, jakże przypominał tych, którzy sądzili, że uda się ją zniewolić. Codziennie zastawała nagrany na sekretarce automatycznej od niego wiadomość. Pikietował wręcz wejście do jej domu i Victoire, bardziej litościwa niż Jeanne, przyjęła go u siebie któregoś wieczoru i stała się jego orędowniczką. Żebyś go widziała, Jeanne, był nieprzytomny, całkiem nieprzytomny. Nie powinnaś być wobec niego tak brutalna. Nie powinnaś... Tylko Victoire mogła tak występować w obronie miłości sprzecznej z naturą. Jeśli dzieciak wyraziłby chęć, bez wątpienia sama ofiarowałaby mu to, czego odmawiała Jeanne. Ale Mathieu chciał tylko Jeanne...

Usta i ręce Paula stawały się coraz bardziej natarczywe. Wódka i ogień nie były tego jedyną przyczyną. Każdy z jego gestów zawierał w sobie prowokację. Miał nadzieję narzucić Jeanne rolę świadka, pokazując jej wszystko to, co dzieliło ją od Martina. Była kobietą, kobietą i tylko kobietą, to słowo oznaczało granice jej władzy. Pozbawi ją słodkiego, ciepłego, zmysłowego ciała Martina — niech się dowoli napatrzy, co straciła.

— Kochasz mnie? — pytał Paul. — Kochasz? Powiedz, że mnie kochasz, Martin. Kochasz mnie? — Ilu mężczyzn stawiało Jeanne to samo pytanie? Nigdy nie mówili o swojej miłości. Zbyt na to niespokojni, żądali miłości od kobiety, jakby tylko ona mogła potwierdzić ich prawo do istnienia, jakby od niej zależała ich własna tożsamość. Oczywiście, że ich kochała. Kochała ich szaleńczo. Gdyby groziło niebezpieczeństwo, czy nie rzuciłaby się zasłonić sobą mężczyznę, którego dopiero co poznała? Czyż nie odczułaby pustki w życiu, gdyby ten, którego spotykała od miesięcy i który nie został jeszcze jej kochankiem, zdecydował się pewnego wieczoru nie przyjść na spotkanie? I czy śladów tego, który nigdy nie zatarł się w jej pamięci, nie szukała poprzez tygodnie i pory roku w wielu krajach? Czy nie kochała go nawet w snach? Znała wszystkie pułapki miłości. Wiedziała, że rozkosz ukrywa ból, tak jak zewnętrzna piękność okrywa brzydotę wnętrzości. Zbyt dobrze znała wnętrze ciała, głębię istot, miąższ, by zadowalać się naskórkowymi doznaniem. Jakiego więc wspaniałego

koszmaru chciałyby dostąpić? Tak, kochała ich wszystkich na swój sposób. Ale czy można kochać inaczej niż na swój sposób? Kochała ich, polowała na nich, marzyła o nich. Każdy mężczyzna był jedyny w swoim rodzaju tak długo, jak trwało oczekiwanie. Najmniejszy unik, najkrótsza zwłoka pobudzały jej głód i bestia żądy umacniała się bez przerwy. Olbrzymia i ruchliwa, zasiedlała całe jej ciało. Można powiedzieć, że nigdy nie przestawała warczeć. I rzeczywiście, rozrastała się aż do granic wytrzymałości, dopóki nie osiągnęła najwyższego punktu. Rozbłysk tej chwili czynił coraz bliższym to, co następowało po momencie niesmaku. Bestia umierała w ramionach tego, który ją żywił. Być może odżyje w innych. Zaledwie rozkosz wyciekła z rany, już trzeba było biec ku innym, którzy znów ją rozkrwawią. Dlaczego bestia nie знаła innych panów niż tymczasowi, których władza ulatniała się w chwili spełnienia? Tylko zakazani mężczyźni unikali masakry. Jeanne sądziła, że jej mąż być może uniknie zwykłego losu. Ale jej mąż nigdy nie był jej kochankiem. Zadzwonił tego ranka do sali operacyjnej, by uprzedzić o swoim przyjściu. Wkrótce tu będzie go oczekiwała, jak dawniej, jak zawsze. Niespełniona miłość jest straszna, bo trwa wiecznie. A czy jej mąż nie był mężczyzną, którego znała gorzej niż innych?

— Kochasz mnie? — upierał się Paul.

— Zostaw mnie w spokoju — odpowiedział Martin, gwałtownie wyzwalając się z uścisku. — Mówisz o miłości, a wyglądasz jak ludożerca — dorzucił.

Paul podniósł się jednym skokiem i grając na przemian młodego chłopca i dziewczynę wykrzyknął:

— Popatrzcie, moi państwo! Wiarygodna i współczesna historia Czerwonego Kapturka. Międzynarodowa dystrybucja! Zjedz mnie, mówi holenderska studentka. Pycha! odpowiada Japończyk — student. I właśnie tak, moi drodzy państwo! Tylko kanibale potrafią kochać. Zmysłowość jest formą pożerania.

Wpół satyr, wpół faun Paul rzucił się na Martina.

— Nie robisz tyle ceregieli, gdy jesteśmy sami — powiedział.

— Właśnie. Nie jesteśmy sami.

— Piękna sprawa! Jeanne, nasz przyjaciel jest wstydlivy jak prawiczek.

Dźwięk dzwonka przerwał te przekomarzania.

— Kto to? — spytał Martin.

— Jesteś zbyt ciekawy — odpowiedziała Jeanne.

— Wyrzucasz nas?

— Zejdziecie służbowymi schodami.

Zapięli się i włożyli kurtki. Jeanne śmiała się z ich wygniecionej odzieży i niezaspokojonych chęci.

— Nawet w teatrze — zrzędził Paul — nikt się nie odważa wystawiać takich wyjść.

Popchnęła ich ku schodom.

— Zadzwoń do ciebie dziś wieczorem — powiedział Martin.

— Chodź — rzucił Paul — nie widzisz, że nas wykopuje. Popchnęła drzwi, nie zadając sobie trudu, by je zamknąć na klucz, i przed wpuszczeniem gościa nie próbowała nawet przywrócić porządku w mieszkaniu.

Był w jasnoszarym doskonale skrojonym garniturze z pięknej wełny. W rozcięciu marynarki widać było wyhaftowany na jedwabnej koszuli monogram. Na woń jego ciała — co nie było trudne do odgadnięcia — nakładały się zapachy starannie dobranych perfum. Błyszczały mu oczy. Nieruchomo patrzył na Jeanne, powstrzymując śmiech.

— Wejdz, Philippe, wejdz — zapraszała Jeanne. — Jestem taka szczęśliwa.

Oczy mężczyzny były bardzo ciemne, ale w brwiach, a przede wszystkim we włosach, widać było białe pasemka, które łagodziły wyraz twarzy.

— Ile to już lat — zdążyła jeszcze powiedzieć.

Ze śmiechem chwycił Jeanne w pól i okręcił ją wokół siebie. Będąc dzieckiem zazdrościła rówieśnikom mającym ojców, którzy mogli ich brać na ręce i unosić aż ku niebu w wirze czułości.

— Jeanne, Jeanne, moja mała, moja duża, ty istniejesz! Znalazłszy się z powrotem na podłodze, Jeanne przesunęła dłonią po skroniach Philippe'a. Przypomniała sobie kręcone krótkie kosmyki. Posiwiwały, ale nadal były równie twarde i tak samo kłuły jej dłoń.

— Mój stary mężu — powiedziała.

— Moja stara żono — odpowiedział.

— Wyrzuciłam przyjaciół, żeby cię mieć tylko dla siebie, dodała, sadzając go koło kominka, wśród poduszek, między porzuconymi talerzami i szklankami. Jej spustoszony salon przypominał salę operacyjną po walce. Kompresy i tampony rozwleczone na podłodze. Pielęgniarki nie miały jeszcze czasu na odniesienie masek i fartuchów rzuconych na taborety. W ustniku aparatu do sztucznego oddychania pieni się brunatny płyn, a kubły wypełniają odpadki. To pobjowisko zrodziło życie.

— Jesteś głodny? Napijesz się czegoś? — pytała Jeanne. Z uśmiechem odmówił.

— Nie jest ci ciepło? Za ciepło? Może otworzę okno? Wciąż to samo nie, bez spuszczenia z niej oczu.

— Dlaczego tak mi się przyglądasz? Zmieniłam się, Philippe? Czy tak trudno mnie poznać?

Wciąż przeczył. Zmieniasz się w każdej sekundzie, dorzucił, w zależności od światła, płomieni. W ciągu ostatnich pięciu minut zmieniłaś się dla mnie bardziej niż przez te wszystkie lata, bo patrzę na ciebie od nowa. Jesteś życiem. W mojej pamięci twój obraz był zbyt nieruchomy.

Lubiła, gdy na nią patrzył. Przypominał jej te postacie z płócien Maneta, których czarna tęczówka pochłania całe białka oczu. W jego zachowaniu i sposobie bycia było coś zbyt cywilizowanego, jakby się obawiał swojej prawdziwej natury. Łatwo było wyobrazić sobie wokół niego korowód fryzjerów, manikiurzystek i krawców. Ale szczotka, gąbka i kosztowne tkaniny nie były w stanie ugasić błysków w oczach ani ukryć siły muskulatury. Spod dandysa wyzierał barbarzyńca. I Jeanne od dawna podejrzewała, że Philippe mógłby bez trudu obyć się bez tych wszystkich akcesoriów cywilizacji, do których okazywał tak ostentacyjne przywiązanie. Większość ludzi pozwalała się omamić jego przesadnemu wręcz wyrafinowaniu. Przypominała sobie przerażenie matki, gdy Philippe zgodnie ze wszystkimi zasadami bon tonu, ucałował dłoń pani Marsilly na samym środku kuchni.

— Kogo mi tu sprowadziłaś, Jeanne? — spytała ją po odejściu intruza. — Nie widzisz, że on sobie ze mnie zadrwił tym swoim pocałunkiem?

— Chcemy się pobrać, mamó.

— Jesteś szalona, córeczko. To nie jest człowiek z naszego środowiska. Wierz mi, Jeanne, trzeba znać swoje własne miejsce. A zresztą dopiero co zaczęłaś studia medyczne i chyba nie chcesz ich rzucić dla tego... człowieka, który mógłby być twoim ojcem. Bóg raczy wiedzieć, o ile lat jest od ciebie starszy.

— Czternaście.

Jeanne nie chciała obrączki. Tak się oznacza bydło, powiedziała i Philippe już się przy tym nie upierał. Razem wyjechali do Paryża. Trwało to kilka miesięcy, może pięć, może sześć. Mała prowincjuszka odkryła wielkie miasto i zaczęła grać rolę wielkiej damy! Miesiące szaleństw i bólu. Mieć mężczyznę, swojego jedyne go mężczyznę a zarazem nie

mieć. Być obok siebie, krzyczeć o tym przez całą noc i nigdy nie móc sobie tego powiedzieć. Nieme, spocone ciała.

— Za bardzo cię kocham, Jeanne. On płakał, ona go kołysała.

— Przysięgam, że to się zdarzyło pierwszy raz. Z innymi..

— Nie obchodzą mnie inne, Philippe.

— Nie rozumiem. Nigdy nie pragnałem żadnej kobiety tak jak ciebie.

— Powiedziałeś mi: muszę cię poznać tylko dla siebie. Gdy zostaniesz moją żoną, wszystko będzie dobrze. Jestem twoją żoną. Zgodziłam się na coś, co uważałam za niemożliwe. Jakiego jeszcze chcesz dowodu? Zapłaciłam za wszystko. Teraz kiedy już cię poślubiłam, nie możesz wciąż odmawiać mi swojego ciała.

— Jeanne, chciałbym zniknąć...

— To byłoby zbyt łatwe. Ale zrób coś, zrób na Boga! Mamy wszystko, wszystko...

— Wszystko by być szczęśliwym. Tak, wszystko. Nie chcę więcej robić z siebie widowiska. Nawet dla ciebie.

— Nie obchodzi mnie to. Chcę tylko ciebie.

Zdarzało jej się go nienawidzić, gdy budziła się z krzykiem w środku nocy. Młoda żona stawała się megierą. Rankiem zataczała się, a podczas wykładów widziała profesorów jak przez mgłę. Minęło od tego czasu prawie osiemnaście lat.

W tym czasie włosy na czubku głowy Philippe'a nie były jeszcze przeredzone; przeciwnie, skarżył się, że nigdy nie może dotrzeć do szczytu tej kędzierzawej gęstwy. Miał już najlepiej jak można skrojone garnitury, ale jego fryzura była jeszcze zbyt obfita, a szeroki uśmiech pod powierzchownością światowca pozwalał dostrzec korsarza. Mówił, że robi interesy i można odnieść wrażenie, że przynoszą mu spore pieniądze. Kupował, sprzedawał, albo raczej wydawał innym polecenia, by kupowali i sprzedawali. Męskie spotkania, dym cygar. Jeanne nie brała poważnie spraw, które się decydowały w takie wieczory. Wiedziała, że z obawy przed nową porażką nie odważy się jej obudzić wracając. Philippe pokładał w swojej męskości całą swoją dumę i całą nędzę. Ona poznała tylko to drugie. Czasem w restauracji, gdzie jedli obiad we dwoje, Philippe w samym środku posiłku mówił nagle: „Płacę i wychodzimy”.

— Ale zamówiliśmy...

— Nie obchodzi mnie, co powiedzą. Chodź, Jeanne. To będzie dziś, albo się zabiję.

Zaciągał ją biegiem do taksówki, w której kazał palić światło. Najczęściej wpadali do najbliższego hotelu. Za każdym razem w takim miejscu bez przeszłości i przyszłości Jeanne oczekiwała cudu. Recepcjonista podawał im klucze.

— Nie mają państwo bagaży?

— Nie — odpowiadał Philippe — ale chcę zapłacić z góry.

— Jak pan sobie życzy.

Krata windy jak filmowy klaps; Philippe i Jeanne, ujęcie 728. Trema i moc wzbierają szybciej niż strach. Żądza. Żądza nie do zaspokojenia. Dłonie, pocałunki, ślina, włosy, gorąco, łyż. I to kochane wielkie ciało, które pachnące i ciepłe, wymyka się, mięknie i kurczy. Promieniujący głód, a w rękę to małe coś, martwe, a zarazem wrażliwe. Mężczyzna, mężczyzna, który sądzi, że rządzi światem, a nie potrafi nawet kierować swoją żądzą. Biedna, czuła miłość, z jakiego stopu zrobiono oddzielający nas miecz Tristana? Chciałeś, bym była dziewicą, prawda? Chciałeś, bym była dzieckiem i idiotką. Teraz się boisz mojej pamięci. Wokół nas widzisz mężczyzn, których poznałam przed tobą. I oni kpią. Mówią, że mają większego i twardszego niż twój. Mówią jak kumple w ubikacji na dużej przerwie. Wyjęli centymetr i grożą, że ci zmierzą. Biedna, czuła miłość. Na kapie na łóżku wspomnienia innych kochanków. My nie zostawimy ich, mój kochany. W lustrze szafy odbija się moja zaróżowiona pragnieniem skóra, która powoli przygasa. Zanika twój zapach. Dlaczego ubranie jest zawsze cięższe, gdy się je z powrotem nakłada? Krata windy. Końcowy klaps.

Philippe się nie zabił, ale pewnego dnia znikł. Jeszcze długo potem, co miesiąc regularnie, przysyłał jej czek na opłacenie studiów. Dzięki różnym drobnym pracom udało się jej przeżyć za własne skromne środki, nie ruszając pieniędzy, które uparł się jej przysyłać. Gdy po latach znów się spotkali, poprzysięgli sobie przyjaźń, której czystość dorównywać miała czystości ich miłości.

Nie było już między nimi ani urazy, ani złości. Lecz poczucie beznadziejności, jakie odczuwała Jeanne po fiasku ich związku, było znacznie trwalsze niż gniew i znacznie silniejsze. Niemniej trzeba było zeszyć ranę i Jeanne zaczęła wypróbowywać siłę swoich wdzięków, zdolność uwodzenia. Mężczyźni, uwiodła ich tyłu. Ich liczba i różnorodność nie zaspokoiły pragnienia. Co do tajemnic męskiego ciała, pogłębiały się one, pozostając nie rozwiązane. Jeśli nawet nie znalazła do nich klucza, to przynajmniej zrozumiała, że sami mężczyźni nie potrafią dojść z nimi do ładu. Jakie zniechęcenie, jaki niepokój ukrywali pod

wspaniałością swych słów i postaci? Wyczuwała skargę skrywaną pod bufonadą, dekoracjami, mundurami, a w rezerwie miała skarb wyrozumiałości. Czy nie łatwo było zranić tych zdobywców świata? Czy nie popełnili nieostrożności, umieszczając swą dumę i prestiż w tym, co w największym stopniu zależało od przypadku? A obecnie, gdy kobiety nie zadowolają się tylko jednym mężczyzną w życiu, czy nie byli aż nadto narażeni? Wysyłano na rzeź wojowników, którzy utraciwszy zaufanie do broni, zdali się na zawsze niepewną walkę wręcz.

Jeanne i Philippe nigdy nie myśleli nawet o rozwodzie. To małżeństwo, które nim na dobrą sprawę nie było, stanowiło rodzaj zabezpieczenia przed innymi zagrożeniami. Ani jedno, ani drugie nie wyobrażało sobie drugiego ślubu. W istocie nie było dnia, by Jeanne nie miała ochoty dziękować za to Philippe'owi. Kiedy wreszcie cierpienie zelżało, zrozumiała, że porzucając ją, ofiarował jej cały świat. Każde ciało mogło się stać jej pożywieniem. Im lepiej poznawała mężczyzn, tym większa okazywała się ich ignorancja, a pole doświadczalne rozszerzało się bez końca. W gruncie rzeczy w każdym uścisku kryła się część tajemnicy. Jak odtworzyć gigantyczną mozaikę? O mężczyźni, mężczyźni o tak różnych odcieniach pod jednorodnością ubrań, kiedy wreszcie odsłonicie tajemnicę, której nosicielami jesteście i o której sami nie wiecie? Z wszystkich, których kochała i opuściła, tylko jej mąż zachował mimo upływu lat swą obcość. Nieznane przyciąga, a Philippe był najbardziej nieznanym z nieznanym.

— Ładnie się starzejesz — powiedziała. — Zawsze kiedy się widzimy, dziwię się, że mam tak pięknego męża. Znasz piosenkę: „Nie wybierałem, ale wzięłem najpiękniejszą”. Ja wybrałam i wzięłam najpiękniejszego.

— Każdy pochlebca żyje na koszt...

— Dopóty dzban...

— Od rzemyczka...

— Lepiej późno niż wcale!

Po każdym nowym przysłowiu, zdejmowała jedną z części ubrania. Teraz już była naga wobec płomieni, przy mężczyźnie odzianym w jedwab i wełnę, którego pieściła poprzez tkaninę. Pozwolił zsunąć się marynarce. Szykował się do zdjęcia koszuli, gdy go powstrzymała.

— Dlaczego? — spytał. Nie chcesz, byśmy byli równi?

— Równi? Ty mówisz o równości? Zmieniłeś się.

— Uznałem, że doktor Marsilly nie jest mi równa, ale mnie przewyższa. Jej dyplomy, sława, talent... I jej ręce, jej piękne ręce, które

umieją panować nad życiem i śmiercią. Staram się zmierzyć, jak bardzo jestem niegodny.

— W rozkoszy nie ma miar, Philippe.

Teraz wspinałemu mężczyźnie leżało na sercu pokazać, że rozumiał tę nauzkę. Wiele kobiet musiało się przyłożyć, by ją wreszcie pojął. Dawniej, jeśli mówił o równości, to tylko po to, by wygłaszać opinie w rodzaju: To wszystko głupstwa! To nic nie oznacza dla ludzi mojego pokolenia. Myśl, że kobieta nie jest stworzona wyłącznie po to, by poświęcać się najpierw mężowi, później dzieciom, wprawiała go w osłupienie. To, że odważała się znajdować swoją korzyść i radość w czymś innym niż miłość, odbierało mu mowę. Czy to w ogóle możliwe, że mogła wypełniać inne obowiązki niż zaspokajanie potrzeb męża? Kilkanaście lat wcześniej całkiem mu odpowiadało odgrywanie roli autorytarnego starca. Przynieś koszulę, bezceremonialnie rozkazywał i był zdziwiony, gdy jego polecenie nie było natychmiast wykonywane. Jego matka i siostry nie miały zwyczaju się przeciwstawiać. Nie rozumiał więc odnowy Jeanne i na wszelki wypadek bił się w piersi i błagał o wybaczenie za winy, których znaczenia nie rozumiał. Czy nie była jego świętą madonną, bóstwem? W dymie kadzidła narastała żądza, ale nigdy nie została zaspokojona. Dziś udawał, że obserwuje okiem współnika nowe kobiece hordy. Byłaby to prawda, gdyby nie pragnął w głębi duszy ich rozbicia. Nie pójdziemy w bój. Wawrzyny zostały już rozdane zwycięzcom... Diablice. Nie mylą się. dodawał. Ale czy nie znajdą się nowe wawrzyny dla młodszych? Nie szkodzi, że dziś ponosimy koszty, niedługo już będziemy czerpać zyski.

— Na jak długo przyjechałeś do Paryża? — spytała.

— Na pięć dni.

— A później?

— Wracam do Nowego Jorku.

— Lubisz jeszcze Paryż?

— Tak. To mój sposób okazywania wierności. A ty?

— Ja? Dobrze się tu czuję. Póki są szpitale, kina, bistra... Nie była już jego żoną. Była kobietą. Czowała na nagich piersiach dotyk jedwabiu. Opadając, jej ręka przesunęła talerz, który poniewierał się na podłodze. Były na nim resztki ciepłej i gęstej mazi. Jeanne pogrzebała palcami w ikrze łososia zmieszanej ze śmietaną, by następnie je oblizać, ssała drogocenne jedzenie. Philippe ją pocałował i, dokładnie jak przed chwilą w ustach Martina i Paula, smak śliny połączył się ze smakiem potrawy. Jej mąż stawał się nieznajomym, którego wkrótce pozna. Jakie

oczekiwanie i jakie odkrycie! Już nie pamiętała jego ciała pod ubraniem i po omacku je odnajdywała. Czy to nie cud, że po tylu latach może objawić się jej coś całkiem nowego?

Czekałam na ciebie Philippe, czekałam całe lata. Ale nie jak westalka. Gdy byłeś nieobecny, tuczyłam się wszystkimi mężczyznami. Czy jednak jestem niewierna? Piłam przypadkowo. Ale kto odważy się powiedzieć, że pijana kobieta nie odczuwa już pragnienia? Karmiłam moje pragnienie, by rosło i opanowało mnie całą. I bestia z wysuszonym językiem zgwałciła całe me jestestwo. Poznałam, Philippe, niemal wszystkich mężczyzn. A teraz pora, byś przyszedł na przygotowane przez nich miejsce. Twoje miejsce. Trzeba wierzyć w Boga, by popełnić świętokradztwo. Trzeba wierzyć w miłość, by rzucić jej wyzwanie.

Nareszcie widział Jeanne w tej jedynej wizji ciała, poruszonego aż po głębię duszy; nie zapomni tego nigdy.

- Teraz mogę umrzeć — powiedział.
- A trzeba żyć.
- Co za różnica, Jeanne?

RS

Rozdział V

Minęła jesień. Od dawna już trwała zima. Philippe odleciał do Nowego Jorku. Nie prosił Jeanne, by mu towarzyszyła, wiedział, że nie pojedzie. Przed czternastu laty opuściła Lyon i matkę, by żyć razem z nim. Skorzystał z tego wyjątkowego przywileju. Od tego czasu Jeanne nie poszła za żadnym z kochanków. Oczywiście polowała na wielu mężczyzn, ale w tej obławie bez przyszłości tylko pożądanie stało na czatach. Po pożarciu ofiary, jeśli żądza nie wygasła, trzeba było wytropić kolejną zwierzynę. Każda z tych efemeryd zdychała pod koniec miłosnego tańca. Była wyjątkowa i niezastąpiona, tylko dopóki się broniła i jak długo wyobraźnia dodawała jej atrakcyjności, po pierwszym uścisku stawała się po prostu banalna. Przecież był to tylko mężczyzna. Tylko mężczyzna. Tajemnica męskości wcielała się w następny rzadki okaz i tylko jego niedostępność podtrzymywała przez pewien czas złudzenie. W tym polowaniu bez końca wygrywał ten, kto przegrywał. Niepokonana przeszkoda pozwalała przetrwać marzeniom.

Mężczyźni, nazbyt pożądani mężczyźni, dlaczego jesteście tylko mężczyznami? Dlaczego nie stapiacie się z mirażem pierwszego spojrzenia? Dlaczego jesteście piękni, tylko wówczas gdy nie ulegacie? Dlaczego zwodzicie jak ciało Chrystusa, stające się zwykłym chlebem w ustach wiernych? Zjedz mnie, mówi Bóg i daje kanibalom do połknięcia tylko mąkę bez smaku. Hostia? Czym jest hostia, gdy pożera nas głód? Mężczyźni, mężczyźni, co zrobicie, by nas nasycić? I czy trzeba nas nasycić?

Nie, Philippe nie poprosił Jeanne, by mu towarzyszyła. Nawet nie wpadł na ten pomysł. Obojgu wydałby się absurdalny. Czyż nie było Paryża, szpitala, chorych i Jeanne, Jeanne, która potrafiła lepiej niż ktokolwiek inny powiedzieć: nie? Mówiąc szczerze, sam mógłby pozostać, albo przynajmniej przedłużać swoje pobyty we Francji. Miał we zwyczaju przeskakiwać z kontynentu na kontynent. Ale to też okazałoby się niepotrzebne.

Przez lata mąż był dla Jeanne nietykalny i daleki. Ponieważ nie mógł jej zdobyć, jego męska duma popchnęła go do ucieczki. Teraz kiedy się połączyli — a czas i przeszkody uczyniły ten moment czymś wyjątkowym — nie można było, powtarzając go, popaść w przeciętność. Kto przegrywa — wygrywa. Philippe zdobywszy Jeanne, pogodził się z jej utratą Umrzeć, powiedział, teraz mogę umrzeć. Tymczasem to nie życie się od niego oddalało, gdy ją przenikał, to Jeanne, jego żona,

znikała w momencie poznania. Odkrył ją w rozdzierającym krzyku, który trwał, przedłużał się i rozbrzmiewał aż do ostatniej sekundy z niemal nadludzką siłą. Jeanne wyła z rozkoszy, krzycząc, żegnaj, żegnaj już, poślubiając na zawsze jego ciało i duszę. Ten krzyk dobiegł końca. Nie odpowiedziało mu nic poza ciszą. Cóż mogło wydarzyć się więcej? Banalność rozpoczęcia wszystkiego od nowa? Tylko od nich zależało, by przedłożyli nad nią wyjątkowość tej chwili. Pożegnali się kochając i nie pozostawało im nic poza rozstaniem. Philippe wyjechał, a Jeanne nie próbowała go zatrzymać. Wyszeptała mu tylko: dziękuję.

Przed szczególnie skomplikowaną operacją Jeanne miała zwyczaj zniknąć na dwadzieścia cztery godziny z Paryża i powracać w ostatniej chwili. Zawiadamiała o swojej nieobecności personel szpitala i Victoire. Przez tydzień, a czasem nawet dłużej, mogła nie spotykać przyjaciółki i jej córki Vivy. Kiedy jednak miała wyjechać, choćby na bardzo krótko, odczuwała potrzebę ucałowania obojgu.

Tego dnia drzwi otworzyła jej Viva.

— Mama rozmawia przez telefon ze swoim facetem. To jeszcze chwilę potrwa.

— Jakim facetem?

— Markiem. Robi mu awanturę. Zresztą, wiesz, to taki codzienny cyrk.

— Twoja matka jest bardzo uczuciowa.

— Ee, ty to nazywasz uczuciem! Ona ma gdzieś uczucia, nie sądzisz?

— Nie lubisz Marka?

— Och, Marc, Sebastien, Jerry, Ivan i wszyscy ci Jean — coś tam dalej... tyłu już tu widziałam! Mam ich gdzieś, wszystkich. Najbardziej to chciałabym być córką prowincjonalnego notariusza. Spokojne życie...

Po raz pierwszy Viva nie rzuciła się w ramiona Jeanne. Zwykle obdarzała ją wszelkimi możliwymi pieściami. To dobrze, że nie malujesz ust, dzięki temu mogę cię polizać, miała zwyczaj mówić, nadstawiając swe grube, purpurowe wargi, które nadawały jej wdzięk rozmarzonego, kapryśnego dziecka. Śliczna Viva, w pół drogi między dzieckiem a kobietą. Wkrótce będzie miała piętnaście lat i obudzi się w niej młodzieńczy gniew, powstrzymywany, który namaluje jej pod oczami brązowe kręgi i sprawi, że zbladną jej policzki. Gniew, który wybucha w tornadzie słów, głos, który jednym tchem rozbrzmiewa we wszystkich rejestrach — od tonów niskich aż po pisk. I ogromne zielone oczy, które błyszczą i wzywają pomocy, dłoni z paznokciami

obgryzionymi aż do krwi, zwichrzona czupryna, pod którą ukrywa się wypukłe czoło.

Gdy Viva wybuchała, to zawsze przeciw matce. Wyrzucała z siebie wszystkie żale zbierane w ciszy przez miesiące i lata: jej ojciec, którego nawet nie potrafiła sobie przypomnieć, jej przechodni ojcowie, którzy znikali, ledwie zaczynała ich traktować jako swoich, jej zapomniane urodziny, długie wieczory spędzane samotnie z automatyczną sekretarką, która do znudzenia powtarzała głosem matki: w lodówce znajdziesz wszystko, czego potrzebujesz. Śpij dobrze, dziecinko. Wrócę późno w nocy.

W dni wielkich burz, po krzykach i łzach, Viva trzaskała drzwiami i biegła schronić się u Jeanne. Czy mogę rozpalić w kominku? — pytała. Zapalała zapalnik i po chwili zafascynowana wpatrywała się w płomienie. Można byłoby powiedzieć, że unosiły się z jej serca; widząc je pełgające, czuła, jak ból powoli ustępuje.

Chodź, moja Jeanne. Chodź, usiądź przy mnie, mówiła. Kładła jej głowę na kolanach i wstrzymywała oddech. Viva mruzczała jeszcze chwilę, jej długie rzęsy drżały, potem usta zatracaly wyraz goryczy, a zbyt mięsiste wargi spokojnie zwieraly się w nadąsanym grymasie.

Gdy Viva była jeszcze dzieckiem, Jeanne brała ją na ręce i zanosila uspioną do swego pokoju. Wchodząc po schodach z tym ciężarem, nie mogła powstrzymać drżenia na myśl o tej małej przesadnie wrażliwej dziewczynce. Czy nie czekają jej zbyt wielkie cierpienia? Z potrzeby miłości ten kobiecy pączek nie wyleczy się nigdy.

Viva urosła i dziś Jeanne nie mogłaby już jej podnieść. Niemniej jednak w burzliwe dni Viva nada! przychodziła do Jeanne, a nawet zdarzało się jej usnąć przed żarem kominka.

— Jeanne, dlaczego mama mnie nie kocha?

— Nie mów głupstw. Wiesz sama, że cię kocha. Tylko że ty nigdy nie jesteś zadowolona.

— Czy to kiedyś minie? Czy się z tego wyleczę?

— Z tego nie można się wyleczyć.

Dziś, gdy Viva otworzyła drzwi, Jeanne wyczuła zmianę w jej zachowaniu. Była wściekła już nie tylko na matkę. Wydawało się, że po raz pierwszy jej dezaprobata obejmowała także Jeanne. Ani pocałunku, ani uśmiechu. Nie tylko, że nie rzuciła jej się w objęcia, ale stanęła naprzężona w drzwiach, jakby chcąc skłonić Jeanne do odwrotu.

— Do jutra mnie nie będzie. Mniej więcej do południa.

— Dobrze, powtórzę matce.

— Coś nie tak?

— Wszystko w porządku. To ona użera się ze swoim gachem.

Zza drzwi wychyliła się ręka trzymająca słuchawkę i zakutana w ręcznik frotte głowa Victoire.

— Siadaj, Jeanne, zaraz przychodzę.

Obojętne, czy zwracała się do dziennikarzy, aktorów, reżyserów, czy chwilowych przyjaciół, Victoire zawsze przybierała ton równocześnie kategoryczny i złośliwy, który sprawiał, że rozmówca wolał nie ryzykować i zgadzał się od razu z jej opinią. Jej zawód polegał na sprzedawaniu jednych i podbechtywaniu innych, brała udział w licytacji obietnic i nie obawiała się ani eskalacji pochlebstw, ani uczuciowego szantażu. Mogła sprawić, by uwierzono w talent najnędniejszego komedianta, i uwiarygodnić po pewnym czasie jego legendę. To prawda, że w jej stajni kompletne miernoty zdarzały się rzadko. Victoire, umiając upiększać prawdę, sama nigdy nie dawała się oszukać, w czym pomagał jej własny instykt pozwalający na bezbłędne wykrywanie talentu.

Uważano ją za jednego z najlepszych agentów reklamowych w Paryżu, nie musiała więc zadawać się z miernotami, a wszyscy sądzili, że produkt wypuszczony na rynek przez Victoire nie może być pozbawiony zalet.

Na kochanków wywierała taką samą presję jak na dziennikarzy, bezustannie szarżując, dręcząc telefonami, zwiększając częstotliwość podarków i telegramów, dorzucając do każdego zdania wykrzyknik, a do każdego nazwiska nadmiar epitetów. Sądziła, że mężczyźni to lubią, czują się pewniej, gdy są podziwiani. Oni jednak dają się porwać wirowi pochlebstw, ale później ich to nudzi.

Odwiesiła słuchawkę i z zaróżowionymi policzkami rzuciła się na Jeanne.

— Wy tłumacz mi. Powiedz mi, dlaczego wszyscy oni mają żony, które zapadają na ciężką chorobę akurat tego dnia, kiedy chcą je puścić kantem?

— Marc?

— Tak - Marc. I wielu przed nim. To remake, wieczne remake!

Viva wzruszyła ramionami, minę miała przegraną, a smutek zmącił rysy jej twarzy. W jej oczach był ból i nieco zrezygnowana mądrość, która nagle ją postarzyła. W tej chwili to właśnie Viva patrzyła na Victoire z niepokojem i dezaprobatą: spojrzeniem matki, która obawia się wybryków swego dziecka. Jakby to wyczuwając, Victoire podeszła wesprzeć się na Vivie, która czule objęła ją ramieniem.

— Nic się nie stało, mamoo...

— Oczywiście, że nic, kochanie.

Gdzieś zniknęła ironicznie uśmiechnięta Victoire, ucinająca każdą kwestię tonem pogroźki. Rozpłynęła się w ramionach Vivy. Jej skóra błyszcząca i aksamitna jak bok fok i lśniła od olejków. Zmarszczki wydawały się mniej wyraźne. W krótkowzrocznych oczach pojawił się wyraz bezbronności. Nie uciezka kochanka, ale poczucie winy poszerzyło w niej ranę. Jak Viva mogła zapomnieć o zwykłych wyrzutach i okazać tyle wspaniałomyślności?

Czy jej córka nie była ostatecznie jedynym prawdziwym związkiem, który zacieśniał się coraz bardziej z każdym straconym kochankiem?

— Wyjeżdżasz?

— Tak, wrócę jutro przed południem. Mam skomplikowaną operację. Muszę się przygotować.

— Masz treść?

— Trochę, ale to przejdzie, gdy tylko wkroczę na arenę. Każdy gest powodował następne i nie miała ani czasu, ani ochoty analizować swoich uczuć. Wygrać. Tylko to było ważne. Oczywiście wygrać ze śmiercią. Tak można było określić jej walkę, jeszcze zanim się rozpoczęła. Później, w trakcie, życie, śmierć i inne wielkie słowa rozmywały się. Pozostawało tylko następstwo krótkich, precyzyjnie odmierzonych chwil, które należało wyłuskać z wprawą i pokorą. Za taką cenę osiągało się wynik. Co do dumy, obudzi się ona dopiero w momencie zdejmowania szpitalnego kitla.

— Jeanne — wykrzyknęła Victoire, której oczy znów rozbłysły — mam kogoś dla ciebie.

— Dla mnie?

— Załóżę się, że cię zainteresuje. Przynajmniej na jeden wieczór. Kiedy się dowiedziałam, że przyjeżdża do Paryża, od razu pomyślałam o tobie.

Viva rozluźniła już uścisk, a teraz gdy matka wpadła w wesoły ton handlarza zwierząt zawierającego transakcję, opuściła wolno rękę wzdłuż ciała. Odsuwając się od matki, zrobiła krok do tyłu. Jeanne wyczuła, że tym razem wzbierająca od nowa wściekłość Vivy obróci się przeciw niej.

— To amerykański reżyser — ciągnęła Victoire.

— Tak jak tatuś? — spytała Viva niewinnym tonem, który nie zmylił nikogo.

— Młodszy od twojego ojca — sprecyzowała Victoire mimo wszystko.

— O! Więc niech się strzeże, Jeanne załatwi go jednym kłapinięciem! Czyż nie tak nazywacie to między sobą?

Victoire i Jeanne spojrzały na siebie w milczeniu. Viva przypomniała sobie o ojcu — Latającym Amerykaninie. Każdego lata spędzała wakacje u dziadków na równinach stanu Arkansas. Ale ojca widywała tylko na lotnisku, w przerwie między jednym a drugim lotem. Podchodził do niej obładowany górą prezentów. Po paru godzinach wyczerpywał się zapas błazenady. Viva podejrzewała, że te wszystkie śmiechy i gestykulacja pozwalały mu uniknąć rozmowy. Gdy przyzwyczajala się już do niego i pojawiały się słowa, Latający Amerykanin znikał.

— Nie jesteście zmęczone tymi waszymi historiami z facetami? — spytała.

Jeanne szykowała się do odpowiedzi, od której wybawiło ją nagle wtargnięcie Mathieu. Współprzymny wynurzył się z jednego z pokoi. Ciemny puch niechlujnie pokrywał wychudzone policzki. Viva wyczuła w spojrzeniu Jeanne, że to Mathieu zbliża się do nich, i nagle się zaczerwieniła. Nie odwracając się przemówiła do niego stanowczym tonem. Po próbie wyrzucenia Jeanne, spróbowała teraz oddalić Mathieu. Za wszelką cenę należało przeszkodzić spotkaniu chłopca z Jeanne. Obawiała się tego od początku.

— Obiecałeś mi, Mathieu, pokazać twój nowy program — powiedziała. — Pośpiesz się. Zostało ci tylko pięć minut. O dziesiątej mam lekcję.

Wiele razy Victoire zastawała Mathieu czatującego przed drzwiami jej domu. Chłopak godzinami czekał na Jeanne. Victoire nie miała serca zignorować jego nieszczęścia. Przygarnęła go. Później Viva przejęła pałeczkę. Dotrzymywała mu towarzystwa pod nieobecność matki. Zgodziła się nawet spać w sąsiednim pokoju. Wymusiła tylko na nim obietnicę, że nigdy nie będzie mówił o Jeanne.

Mathieu zaraził Vive pasją do informatyki i oboje spędzali całe wieczory pochyleni nad klawiaturą komputera. Z dnia na dzień Viva stawała się coraz bardziej zazdrosna i gdy Mathieu zdarzało się zaryzykować pytanie o Jeanne, natychmiast groziła mu wyrzuceniem z domu. Mathieu znikał czasami na cały tydzień. Później powracał, nieco chudszy, smutniejszy i Viva rzucała się z płaczem w jego ramiona.

— Pośpiesz się, Mathieu — powtórzyła, a wokół jej zielonych oczu zaznaczały się już ciemne obwódki. — Mama i Jeanne mają sobie do powiedzenia rzeczy, które nie powinny cię obchodzić.

Mathieu nie odważył się podejść do Jeanne i powiedzieć jej dzień dobry. Opierał się o futrynę i przyglądał jej, nie bacząc na wściekłość Vivy ani nie zwracając uwagi na trzy spojrzenia, które skupiły się na nim. Od przyjscia Jeanne musiał łowić jej słowa, zerkać z ukrycia na jej włosy, na ciało, a teraz, gdy porzucił swoją kryjówkę, nie starał się nawet ukryć przepelniającej go fascynacji. Bezwiednie opanowała go żądza i wydawało się, że nic i nikt nie mógłby odwrócić jego wzroku od Jeanne.

Żądza. Jego twarz wyrażała żądzę aż po wyuzdanie. Jeanne przypomniała sobie nagle bazar w Istambule i mężczyznę, który stojąc nad ściekiem patrzył na nią takim samym wzrokiem, nie przerywając masturbacji. Tłum nie reagował, płynąc chodnikami i ulicą.

Mężczyzna ukradł jej obraz, jej ciało i pojękiwał cicho, gdy przechodziła obok. Mężczyzna zawładnął nią. Co można było powiedzieć? Co zrobić? Nie był to gwałt, ale magiczny gest wzięcia w posiadanie. Jeanne odczuła pokusę ucieczki, ale opanowała się i poszła dalej, nie przyspieszając kroku. Czowała, że jej zniknięcie w niczym nie umniejszy rozkoszy mężczyzny. On już utrwalił w sobie jej wizerunek i Jeanne nie miała sposobu, by go mu odebrać. Można rozbić aparat fotograficzny. Ale z kolei gwałtowność zaognia żądzę. Aż do wieczora Jeanne krążyła po uliczkach Istambułu z uczuciem zarazem niesmaku i żalu. Było na całym świecie tyle korzeni, których monstualnego rozkwitu nigdy nie pozna.

— Mathieu! Słyszysz mnie, Mathieu?

Nie. Mathieu nie słyszał Vivy. Słyszysz mnie? Powiedz, słyszysz? — powtarzała potrząsając nim z całej siły. Nie odrywając oczu od Jeanne, Mathieu usiłował się uwolnić, ale Viva trzymała go mocno.

— Nie będziecie chyba w waszym wieku tarosić się jak szczeniaki? — krzyknęła Victoire, podejmując ostatnią próbę sprowadzenia namiętności do poziomu dziecinady.

— Słyszysz mnie? — wyła Viva. Mathieu oderwał od swoich ramion jedną po drugiej jej rękę, później, wciąż na nią nie patrząc, odepchnął z taką siłą, że potknąwszy się upadła u stóp matki. Jeanne rzuciła jej się na pomoc. Jak dawniej, chciała wziąć ją na rękę i zanieść do swojego łóżka. Gdy Viva zobaczyła pochylającą się Jeanne, znów wybuchnęła krzykiem:

— Wynoś się! Wynoś! Nie chcę cię więcej widzieć! Nigdy więcej!

Zwijiała się na podłodze i spod jej białej sukienki wychynęły długie uda. Jeanne nie czuła się zaatakowana. Nie czuła też nienawiści, jaką pulsowała Viva. Widziała tylko przed sobą to nie będące jeszcze kobietą

dziecko, które nie poznawszy jeszcze rozkoszy miłości, już doświadczało wszystkich jej cierpień.

— Powiedz im! Powiedz, Mathieu, że kochasz tylko mnie — szeptała Viva na poły rozkazująco, na poły błagalnie.

Mathieu wciąż milczał. Nie słyszał krzyków, płaczu i wezwań Vivy. Z pewnością nie zdawał sobie sprawy ze swego okrucieństwa. Odepchnął Vive, bo stanęła między nim a Jeanne. Widział w niej tylko przeszkodę. Teraz, gdy leżała na podłodze, mógł już o niej zapomnieć. Czy to jest miłość, czy podniecenie? Czy raczej rodzaj szaleństwa, które go opanowało, czyniąc głuchym i ślepy m na wszystko, co nie było Jeanne?

Z twarzą pobrużdżoną zmęczeniem i policzkami pokrytymi brzydkim puchem, w parę miesięcy pozostawił poza sobą dzieciństwo. Jego nieobecne spojrzenie przypominało młodego kloszarda, który zakłócił im kolację u Nadege. Co pozostało z miłego chłopca, który troskliwie czuwał nad powracającą do zdrowia matką? Jeanne odnajdywała w jego oczach cały jego urok. Pożądania i głodu, deformujących mu rysy, można było nie nazywać miłością i widzieć w nich tylko szaleństwo zmysłów, ale Jeanne się nie myliła. Lepiej niż ktokolwiek znała ich nieskończone wymagania.

— Jeanne, spóźnisz się na samolot — powiedziała Victoire. — Nie martw się o nic. Wszystko się dobrze ułoży.

— Wracam jutro, lotem z Nicei o trzynastej.

Jeanne zniknęła, zawsze gdy rozciągnięty m na ziemi ciałom nie mogła już ofiarować ani rozkoszy, ani uzdrowienia.

Jak zawsze André oczekiwał jej na lotnisku w Nicei.

— Siądę koło ciebie — powiedziała Jeanne.

— Pan nie będzie zadowolony.

— François nie martwi się tak jak ty o wymogi protokołu. Pozwól, André, że będę robić, co zechcę, a obiecuję, że wszystkie winy wezmę na siebie.

André był szoferem, lokajem i mlecznym bratem François de Remiremonta. W towarzystwie ceremonialnie nazywał go „Panem” i zwracał się do niego w trzeciej osobie. W domowym zaciszu „Pan” natychmiast stawał się Françoisem. Niemniej André, od kiedy stali się dorośli, to znaczy od około pięćdziesięciu lat, odmawiał swojemu panu mówienia per ty. Byli swego rodzaju współnikami, a używanie trzeciej osoby nadawało temu posmak ironii. André wiedział o François de Remiremoncie niemal wszystko. François udawał, że nie wie, co wie André.

— Czy puścić muzykę? — spytał André przy wyjeździe z lotniska.

— Oczywiście. Jak zwykle Luise Miller odpowiedziała Jeanne.

Przymykała już oczy, gdy André włączał kasetę. Jeanne nie mogłaby operować przy muzyce Verdiego, ponieważ jego opery, pełne trucizn i nagłych zgonów, kojarzyły jej się z rozkoszą, jej nadejściem i spełnieniem. Niby cudowne oszalałe sanie obite aksamitem czerwonym jak krew, Verdi szybował ponad przepaściami, wspinał się coraz to wyżej i wyżej z rosnącą gwałtownością, by osiągnąć wreszcie wyżynę nie kończącą się rozkoszy.

Kiedy otworzyła oczy, dostrzegła na niebie zapowiedź lata. Za każdym razem, gdy przyjeżdżała do Francois, Verdi i słońce stawali na wysokości zadania. Nawet jeśli kalendarz wskazywał jeszcze zimą, przed walką w sali operacyjnej szare chmury rozsuwały się na chwilę, ukazując światło.

Lubiła te drzewka z wyciągniętymi ku niebu, poskręcanyimi gałęziami. Nie było to jeszcze święto wiosny, początek szybkiego krążenia soków, lecz tylko oczekiwanie. Oczekiwanie skurczone, a jednak aktywne. Dęby i oliwki jak chorzy gromadziły siły, by zwyciężyć śmierć. Ponad białymi willami i pałacami drżały pagórki, a wysuszone drzewa skręcały się w spazmie bólu i nadziei. Wkrótce krajobraz zacznie rodzić. Na każdej gałązce wyrosną lepkie pączki. Każde uszkodzenie kory nasączone zostanie sokiem i żywicą. W swoich ciśnieniowych alembikach Francois zgromadził kwiaty i wszystkie wydzieliny przyrody. Na samym końcu procesu otrzyma ich istotę i esencję, które są duszą tego, co nie ma duszy.

Francois de Remiremont posiadał jedną z największych wytwórni perfum w okolicach Grasse. Nie zadowalał się kierowaniem fabryką i eksportowaniem jej wyrobów; był również nosem. Wynałazł dwa lub trzy słynne zapachy, a dla przyjemności komponował zapachowe koktajle dla swych najlepszych przyjaciół. Jeanne miała swój własny, którego składników nigdy jej nie wyjawiał ani nie pozwolił go zabrać ze sobą. Jest to do użycia na miejscu, mówił. Miał nadzieję, że wspomnienie zapachu nie pozwoli Jeanne zapomnieć o jego twórcy. Nie mylił się. Kiedy go już uwiodła i zdobyła, Jeanne nigdy nie odczuła potrzeby opuszczenia go na zawsze. Może właśnie dzięki nawrotom pamięci? A może dzięki sile przyjaźni, zarazem zmysłowej i magicznej? Od z górą dziesięciu lat składała wizyty człowiekowi, którego nazwała między krzakami jaśminu i tuberozy rycerzem aromatycznej esencji.

Dawniej urządzał przyjęcia. Najwonnejsze w noc świętojańską. Przed przyjęciem każda z kobiet musiała udać się do jego laboratorium, gdzie, jakby grając na organach, Francois komponował dla niej oryginalny zapach. Niektóre były ulotne jak najkrótsza noc w roku. Inne bardziej odurzające niż gaj palmowy w porze sjesty. Siedząc nad całą gamą fiolek, Francois mieszał esencje anyżu, wanilii i abisyńskiego opoponaksu. Czasem wystarczyła kropelka ekstraktu opuszczona u nasady włosów, odrobina rozcieńczonej esencji w zagłębieniu dekoltu lub na rąbku sukienki. Po paru godzinach tańca, gdy naturalny zapach skóry zdążył się zmieszać z aromatem skomponowanym przez Francoisa, André zawiązywał oczy bratu mlecznemu, który rozpoznawał zaproszone kobiety. Obwąchiwał ciała i tkaniny, muskał ramiona i krągłości, smakował fluidy jak krople starych win, zbyt cennych, by je po prostu pić. Wtykał nos w rozrzucone włosy, wilgotne od potu i przyjemności. Bardzo rzadko popełniał omyłkę. Tańce wznawiano, gdy w ten sposób zidentyfikował już każdą kobietę. Od alkoholu, muzyki i wszystkich tych zapachów zwielokrotnionych poceniem się ciał, zaproszonym kręciło się w głowach. O brzasku schodzono nad morze, by zmyć z siebie ślady nocy. Mimo to na twarzach pojawiały się cienie pod oczami, zmarszczki i wyrzyta rylcem życia rzeźba zmęczenia. Na plaży żegnano się w pośpiechu, ukrywając znużenie pod okularami słonecznymi. Do przyszłego roku, powtarzano przed rozstaniem. I nie odwracając się już, goście rozbiegali się, by w oddali ukryć swój smutek.

Jeanne opuściła szybę. Samochód przekroczył jakby linię graniczną. Opary fabryki docierały do tego miejsca nawet w te dni, w które nie było najmniejszych powiewów mistralu. Natychmiast rozpoznała wilgotną i stężoną woń leśnego podszycia i ten osobliwy zapach, ciepły i słodki zarazem, który zawsze kojarzył jej się z brodą ojca. Tam wysoko wszystkie soki życia wyzwały się z połączonych ekstraktorów i gorących aparatów destylacyjnych. Codziennie wrzucano do nich całe wywrotki kwiatów, zrywanych ręcznie o wschodzie słońca.

Jeanne poprosiła André, by stanął; dalej pójdzie piechotą.

— Powiem panu, że pani idzie. Wyjdzie na spotkanie

Lubiła tak samotnie iść do celu. Sama? Tak całkiem sama nie była nigdy. Czuła, że jej krokom zawsze towarzyszy pożądanie.

Najczęściej miało się jak pijany płód w brzuchu Jeanne i zmuszało ją do szybszego marszu. Czasami kapryśna bestia o różnobarwnym upierzeniu dawała się poskromić różnymi zapachami. Opuszczała wówczas łono Jeanne i jak papuga siadała jej na ramieniu. Pozostawała

tam rozbudzona, lecz spokojniejsza, i Jeanne ledwie czuła jej ciężar. Mogłaby pomyśleć, że się od niej uwolniła. Bestię — żądzę odurzały opary eteru. W szpitalnych korytarzach, w miarę jak Jeanne przybliżała się do bloku operacyjnego, bestia oszołomiona zapachami uspokajała się i w uśpieniu przeczekiwała całą operację, by ponownie rozwinąć skrzydła, gdy tylko Jeanne rozwiązywała tasemki fartucha. W okolicach fabryki unosiły się niekiedy podobne opary, kiedy Francois używał eteru do ekstrakcji koncentratu z majowych róż, jaśminu, kwiatów pomarańczy, porzeczek czy narcyzów. Nosem i czubkami palców Jeanne czuła, że praca nad materiałem roślinnym i materiałem ludzkim łączy się przez tę samą alchemię. Bestia również nie miała co do tego wątpliwości i tortury, które zwykle zadawała Jeanne, tu stawały się łagodne jak pieszczoła.

Jeanne myślała o chorym, który w Paryżu liczył godziny dzielące go od spotkania z dr Marsilly. Mężczyźni i kobiety — przede wszystkim kobiety — przygotowywali go do tego wydarzenia. Nie szczędzono mu starań, rad, wyrazów otuchy. Zarzucano kwiatami i życzeniami. Obnażano go, epilowano, pędzlowano. Obiecywano mu szczęście i spokojną starość. Ten człowiek stanie przed nią czystszy i strojniejszy niż w dawnych czasach panna młoda oczekująca małżonka przed nocą poślubną. Jeanne nie miała prawa zmarnować tej nocy między życiem i śmiercią. Zawsze było to wszystko lub nic, ale zdarzały się chwile, gdy wszystko było mniej dostępne, a nic groźniejsze. Za niecałe dwa dni otrze się o niemożliwe i jak Cygan kradnący konia, spróbuje wykraść mężczyznę śmierci.

Francois de Remiremont wyszedł na jej spotkanie. Tak szczupły, że prawie suchy, miał na sobie granatowy blezer, jasną koszulę, jedwabny fular i skrywające oczy okulary słoneczne. Zdejmował je rzadko, nawet wtedy gdy nie było słońca. Jeanne lubiła dystans, jaki narzucał rozmówcom. Znajdowała w tym również swój komfort psychiczny. Zbyt dużo spojrzeń usiłowało ją pożreć. Spotkała już tylu czułych mężczyzn o oczach drapieżników, którzy chcieli zawładnąć nią wbrew jej woli. Niewiele brakowało, by, zafascynowana, na zawsze stała się ich ofiarą. Skąd czerpała siły, by rozwijać skrzydła i zawsze się jakoś uwolnić? Od czasu gdy się kochali. Francois nigdy nie próbował zatrzymać jej przy sobie. Wystarczało mu, że czasem wracała.

— Jeanne — powiedział rycerz esencji murek jest cały rozgrzany od słońca. I, podobnie jak mnie, jego żywych kamieni nie zaskoczył dziś

rano twój telefon. Wiedziały, że przyjedziesz. Pochłaniały promienie z nadzieją, że już wkrótce przekażą ci ich ciepło.

Francois de Remiremont ucałował kostki jej palców, wewnątrz dłoni, zgięcie ręki. Tak jakby trzymał rączkę dziecka, z której wdychał woń snu, letnią i słodką. Te palce z krótkimi paznokciami, te palce, których nigdy nie zgadzała się ozdobić pierścionkami, nie obawiające się ani zimna, ani gorąca, palce, których nigdy nie chroniły rękawiczki, poza tymi chwilami, gdy krajała serce i otwierała drzwi drugiego życia, te palce zostały ofiarowane wargom Francoisa i tylko jeden mały palec niewinnie odgiął się do tyłu.

Rycerz esencji nigdy nie zadawał Jeanne pytań, a ona telefonowała do niego tylko po to, by podać godzinę swojego przyjazdu. Między ich spotkaniami była zawsze cisza albo rodzaj nicości, która wraz z okruciami wrażeń wyczerpywała się aż do całkowitego zniknięcia, gdy znów byli razem. Tak więc film ich życia zawierał tylko sekwencje, które ich łączyły. Ledwie przeniknąwszy do kręgu zapachów, Jeanne zapominała nagle o tym, kim była wczoraj i kim będzie jutro, zapominała o całym otaczającym ją świecie i o tej walce, jaką będzie zawsze prowadziła z małym kojotem z Doliny Śmierci.

Po prawej stronie minęli wytwórnię perfum, wspinając się ku szczytowi pagórka w stronę domu. Francois ujął rękę Jeanne. Jednakże nie opierał się na niej ani nie podtrzymywał jej. Była to po prostu ręka mężczyzny, trzymająca rękę kobiety przy łokciu, i zgodne kroki ich obojga, wynik zażyłej znajomości. Były też wszystkie te zapachy, które zdawały się wydobywać z wnętrza ziemi, jakby całe wzgórze było jednym ogromnym piecem, wielkim czarodziejskim tygłem, w którym alchemik Francois de Remiremont zmusił przyrodę do spowolnienia procesu spalania i do wydzielania tej jedynej esencji, która nie ma ceny, esencji życia.

Gdy dotarli do podjazdu, André zdążył już wprowadzić wóz do garażu i oczekiwał ich z zimnymi napojami na srebrnej tacy.

— Zanieść to do ogrodu, proszę pana?

Francois skinieniem głowy wyraził zgodę i zwrócił się ku Jeanne.

— Chcesz odpocząć? — spytał.

— Na murku — odpowiedziała — jeśli będziesz mi towarzyszył.

Kamienny murek tworzył na szczycie pagórka rodzaj balkonu, zbudowanego nie po to, by podtrzymywał skarpe, ale by służył spacerującym za balustradę, o którą mogliby się oprzeć. Stamtąd jak okiem sięgnąć rozciągały się wzgórza, których rdzawość była na północy

przyczerniona niedawnym pożarem i które po stronie południowej opadały aż ku morzu. Całe ciepło kończącej się zimy skupiło się na tym tarasie pod gołym niebem. Aby wygodniej było z niego korzystać, ustawiono tam ogrodowe krzesła i stół, na którym pyszniły się wysokie szklanki oranżady przygotowanej przez André.

Jeanne wyciągnęła się na murku.

— Chcesz poduszkę? — spytał Francois.

— Dobrze wiesz, że nie.

Kamienie były ciepłe, a ich brzegi ostre. Jeanne starała się dokładnie przylgnąć do ich chropowatych kształtów. Lubiła czuć wzdłuż pleców, bioder i nóg te nagrzane krawędzie, które przypominały jej prążki światła słonecznego przenikające przez żaluzję. Rozpięła stanik, podciągnęła do góry spódnicę i nie rozbiegając się dalej poczuła się naga, tak naga jak jeszcze nigdy, u boku tego mężczyzny, który odmawiał rozpięcia koszuli czy rozwiązania apaszki.

Przed sześcioma laty Francois de Remiremont uznał z żalem, że nie jest już dość pociągający, aby obnażać swoje ciało przed kobietą. W tych sprawach ustanowił się jedynym sędzią. Ta decyzja nie została podjęta spontanicznie. Nie została spowodowana ośmieszeniem, raniącym docinkiem czy miłosnym niepowodzeniem. Sam, naprzeciw swego odbicia, Francois doszedł do wniosku, że jego ciało nie odpowiada już temu, czego od niego oczekiwał. Musiał więc ukryć je przed spojrzzeniami, zupełnie tak samo jak wycofywał z rynku perfumy, które nie zaspokajały oczekiwań klientów.

Jego pożądanie bynajmniej nie wygasło. Tak jak wizerunek Chrystusa ze śladami świętego potu, tylko że na odwrót, odżyło ukryte pod tkaniną, od chwili gdy Jeanne wyciągnęła się na rozgrzanym słońcem murku. Francois usiadł przy niej. Z ciałem lepiej chronionym ubraniem niż mumia bandażami, pieścił ją tak długo, aż zaakceptowała jego ręce. Jego ręce na niej. Jego ręce w niej. Wkrótce, powiedział, zakryję je również. Brązowe plamy, ta szkaradna pleśń cmentarzy, powiększały się z każdym dniem. Rozprzestrzeniały się, grubiały, pojawiało się ich coraz więcej. Było to bezgłośnie nocne kielkowanie. Ledwie się urodzimy, już trąd śmierci zaczyna swoją pracę. Będę musiał nosić rękawiczki, ciągnął, by ukryć te kwiaty jesieni. Będzie mi ciężko, Jeanne, nie móc cię więcej dotykać. Czemu nie opuścić życia, zanim ono nas opuści? Po co te fałszywe wyjścia? Ukrywać swoje ciało? Chować swoje ręce? Zgadzać się, by życie pomału zaczynało sprowadzać się do pozorów? Nie lepiej od razu z tym skończyć?

Jednakże gdy Francois mówił o śmierci, jego usta nie wyrażały wcale goryczy. Przeciwnie, igrał na nich łakomy półuśmiech, dolna warga wezbrała rozkoszą. Pieścił Jeanne. Pomrukiwała łagodnie i przymykała oczy jak tenor podczas oklasków. Ręce Francoisa, podobnie jak ręce widzów, istniały w tym momencie wyłącznie dzięki gestowi ofiary. Rozdawały rozkosz, z której Jeanne starała się nie uronić żadnego odcienia. Tenor zbierał ze sceny rzucone przez wielbicielki róże. Jeszcze, jeszcze. Niezależnie od ciała, które nimi poruszało, te ręce burzyły jej krew, a z jej brzucha, jak z wyżymanej gąbki, spływał płyn płaczu i rozkoszy. Miłość na odległość, miłość pełna przestrzeni i snów, napięcie, które mordercze ręce zwiększały poza granice wytrzymałości, i nagle na murku, którego aż nazbyt żywe kamienie drobno siekają ciało, rozlega się krzyk, krzyk, który nigdy nie jest końcem, lecz zawsze wezwaniem. Rozprzestrzenia się między wargami sromu i ust i powraca natychmiast echem, jakby chciał powiedzieć: to wszystko. Czy jest bardziej stroma droga prowadząca na dach świata? Gdzie się kryją łady sytości? Czy naprawdę tak wysoko i daleko? Kiedy tam dotrzemy? I gdzie dotrzemy?

— Zimno mi — powiedziała.

— Chodź, Jeanne. Wracajmy.

Wkrótce zapadnie noc i zmniejszy się intensywność aromatów wokół uspionych alembików. Woń brody ojca już się rozproszyła i w powietrzu pozostała sfermentowana i wilgotna nuta leśnego podszycia, która pochodzić mogła tylko z wytwórni. Wyszuszone zimą i pożarem okoliczne lasy same nie byłyby zdolne wytworzyć takiego koktajlu.

— Jutro, Jeanne, przed wyjazdem, dam ci twoje perfumy. Możesz je zabrać.

— Myślisz, że nie wrócę? Uważasz, że już umarłam? Musisz mnie szybko zabalsamować, Francois. Nieczyste ciało prędko się psuje.

W dużym salonie wisiały rzędem portrety przodków. Francois de Remiremont kpił sobie z tej parodii nieśmiertelności, ale nigdy nie przewiesił żadnego obrazu. Popatrz na nich, mówił, nawet jeśli istnieje między nimi jakieś rodzinne podobieństwo, ich głowy są całkiem różne. I myślisz, że są z tego zadowoleni? Chcieliby tego, czego, czasem nieświadomie, chcemy my wszyscy: podobnych do siebie klonów, które powielająby nasz wizerunek ze stulecia na stulecie i raz na zawsze zanegowały śmierć. Klonów, mówię ci. Jeden portret na dom po wsze czasy. Koniec z galeriami. Jeden portret od początku do końca świata. Wiesz, Jeanne, że kiedyś byliśmy nieśmiertelni? Dawno, bardzo dawno temu. Nie byliśmy jeszcze kobietami i mężczyznami. Nie byliśmy

ssakami ani kręgowcami. Ale byliśmy żywi, żywi na zawsze. Rozmnażaliśmy się przez podział. Ojciec dawał dwóch identycznych z nim synów. W tamtych czasach jeden był równy dwóm, jeden był równy nieskończoności. Ale Bóg, zazdrosny o naszą nieśmiertelność, wynalazł płęć i śmierć. Raj się skończył. Trzeba było we dwoje wziąć się do roboty, by dać życie trzeciemu; który — ni pies, ni wydra — nie był już portretem ani jednego, ani drugiego z rodziców. Nasza płęć jest naszą śmiercią. Dawne cywilizacje, które uważały się za nieśmiertelne, ukrywały pod tą samą zasłoną nagość i swoich zmarłych. Dziś nie wierzymy już w naszą długowieczność i kiedy koniec się zbliża, ofiarowujemy sobie sami przyjemność, która jest naszą ucieczką.

Nie wierzysz mi, Jeanne? Oczywiście, że mu wierzyła.

Oczywiście, że wiedziała o tym wszystkim od lat. Być może od momentu, w którym otworzyła swojego pierwszego mężczyznę. Nauczyła się czytać w ciepłych wnętrzościach. Lecz czy nie należało nadal postępować tak jakby...?

Nazajutrz François po raz pierwszy chciał sam odwieźć ją na lotnisko, nie powierzając tego zadania André. Gdy usiadł za kierownicą i kiedy opuścili pachnące pagórki, Jeanne miała uczucie, że magiczny krąg już nigdy się wokół niej nie zamknie. Już w samolocie znalazła w torbie flakon perfum, który bez jej wiedzy wsunął tam rycerz esencji.

Mathieu przybył na lotnisko Orly-Zachód dobre dwie godziny przed Jeanne. Z obawy, że się mogą minąć, kręcił się koło sklepów, zanim jeszcze ona dotarła na lotnisko w Nicei. Po sprawdzeniu, że w toaletach słychać zapowiedzi lotów, kupił jednorazową maszynkę do golenia i zabrał się do usuwania zarostu, a wraz z nim śladów nocnego zmęczenia. Spał tylko parę godzin na ławce w poczekalni. Na Dworcu Lyonskim. Wybrał go spośród wszystkich paryskich dworców, bo niemal fizycznie odczuwał, że odjeżdżające stamtąd pociągi ze względu na stację przeznaczenia podtrzymają swego rodzaju więź między nim a Jeanne.

Co mogła tam robić? Spytał o to Victoire. Z kim miała się spotkać!? Z kim? Nie wiem, odpowiedziała Victoire, a nawet gdybym wiedziała, chyba nie myślisz, że bym ci powiedziała? Mógłby przysiąc, że wiedziała. Na każdym kroku odkrywał specjalnie piętrzone przeciwności i pogardliwe uśmieszki. Czy nie odmówiono mu prawa do miłości? Śmiano się z niego otwarcie, nawet nie usiłując zamaskować drwiny. Mówiono, że jest zbyt młody, by odczuwać namiętność. Idiota, krzyczała Viva, ty nic nie rozumiesz! Nie rozumiesz, że nie wolno kochać Jeanne. Przede wszystkim nie kochać! Spytaj mojej matki, ona ci wytłumaczy

dlaczego. Nie, nic nie wytłumaczę, odpowiedziała Victoire. Po prostu tak jest i już.

Wyszedł i kiedy zamykał drzwi, zobaczył Vive, małą, śliczną Vive, która wstała i patrzyła na niego tak samo nieruchomym wzrokiem, jakim on przed chwilą musiał patrzeć na Jeanne. Nagle poczuł żal, ulotny żal, który trwa akurat tak długo, jak zwija się w ogniu wrzucona tam fotografia. To było skończone. Już nigdy jej nie zobaczy.

Szedł i szedł nie patrząc na nic. Jedyna troska: zachować pieniądze, które pozwolą mu jutro pojechać autobusem na Orły. Miał w kieszeni na udzie kilka monet, które dadzą mu jutro prawo zobaczyć Jeanne. Zobaczyć ją z ukrycia. Po prostu zobaczyć. Nic więcej. Kilka sekund. Może minuta, przy odrobinie szczęścia, przy dobrze wybranym punkcie obserwacyjnym. Nie chciał nic więcej. Moje życie za minutę. W zamian za tę minutę nie miał do zaoferowania nic poza własnym życiem. Na taki spektakl powinien się wybrać jeśli nie piękny, to przynajmniej czysty. Pozbyć się tego puchu, który nie był jeszcze męskim zarostem i miał w sobie coś obscenicznego. Gwałtownie prowadził ostrze, jakby chciał ukarać własną twarz. Dlaczego nie potrafił jej się spodobać? Dlaczego? Nie uważał swego wieku za okoliczność łagodzącą, za przyczynę usprawiedliwiającą obojętność Jeanne. Podejrzał tylko, że zna ona wiele spraw, o których on nie ma pojęcia, i czuł się tym bardziej niegodny.

Koło kącika ust zalśniła kropelka krwi; nie próbował jej zetrzeć. Miał nawet nadzieję, że nie wyschnie, że zachowa najżywszą barwę i powiększy się do rozmiarów rany, jaką zadała mu Jeanne. Tylko wówczas odważyłby się jej pokazać. Byłby już tylko pacjentem, a ona musiałaby się nim zaopiekować. Do jej zielonych oczu, których twardości tak się obawiał, wślizgnęłyby się litość, a długie rude włosy nie płonęłyby już dookoła jej twarzy. Widział ją przy łóżku matki. Czyż nie była czuła? Nie wypowiadała podnoszących na duchu słów? Sądząc po słodczy głosu i spojrzenia, można by powiedzieć, że była matką jego matki. Czy nie potrzebował bardziej niż ktokolwiek jej opieki?

Gdy ogłoszono przylot, Mathieu zajął pozycję za witryną, dokładnie na wprost drzwi, o których wspomniała hostessa. Ukryty za kartonami gorzkiej czekolady patrzył na Jeanne, nie podejrzewając nawet, że tu jest. Zaczajony w zasadzce, miał ochotę dokonać na nią zamachu. Dlaczego więc nie zaopatrzył się wcześniej w broń? Dlaczego nie zabije tej kobiety, która bez najmniejszych skrupułów pozwala mu umierać?

Czy nie tak właśnie dzieje się w kinie i w książkach? Czyż nie wygrywa ten, kto strzeli pierwszy?

Pojawili się pasażerowie. Przede wszystkim mężczyźni. Szare garnitury, dyplomatki, szybki chód, wypięte torsy, nieruchome spojrzenia. I między nimi kobieta. Wyraz oczu równie zdecydowany, a jednak sylwetka, włosy, spojrzenie zupełnie inne. Wszystko w niej poruszało się nie tak jak u idących obok biznesmenów, ale zgodnie z jej własnym rytmem. Z tej odległości Mathieu na nowo odkrył Jeanne. Zbliżała się obca mu bardziej niż kiedykolwiek. Zieleń oczu przysłonięta była ciężarem powiek, kosmyk włosów muskał policzek, kuszyła biel wyprostowanej szyi.

Błyskawicznie zapomniał o wszystkich swoich postanowieniach, marzeniu o zamachu i o decyzji pozostania w ukryciu. Nie był już panem własnego ciała. Bez udziału świadomości nogi same niosły go ku niej. Witryna z gorzką czekoladą już go nie osłaniała. Z przygarbionymi plecami, głową wciśniętą w ramiona szedł jej na spotkanie. Lecz wydawało się, że chcąc się przeciwstawić przyciąganiu tej niewidzialnej nici, która go ku niej prowadziła, poruszał się jakby wbrew sobie. Gdy go zobaczyła, nic w jej spojrzeniu nie zdradzało ani wzruszenia, ani zaskoczenia. Po prostu trajektoria jej ruchu odchyliła się w kierunku Mathieu. Była teraz tuż przy nim, ta kobieta z jego snów. Jeszcze tylko kilka metrów. Czy będzie się chciała go pozbyć, czy wyśmieje go, ofuknie jak dziecko?

W ciągu sekundy Mathieu zadał sobie wszystkie pytania i przypomniał sobie całe życie. Cóż wiedział o kobietach, ich zapachu, ciepłe, płci, śmiechu i przyczynach tego śmiechu, o ich cierpieniach i istocie tych cierpień? Nie wiedział nic. A Jeanne, kobieta, zbliżała się do niego. Był odsłonięty i nieruchomy. Czyż nie tak jak żołnierz wpatruje się w pocisk, który go za chwilę uśmierci? Nie widział jej już. Była za blisko. Na wargach poczuł wargi Jeanne. Całowała go. Jej usta nie wypowiedziawszy ani jednego słowa, dotykały jego ust. Nie poruszył się. Ledwie oddychał. Nie poruszy się już nigdy. Nie odczuwał ani przyjemności, ani niesmaku. Był jak posąg ustawiony w samym środku hallu nr 2 portu lotniczego Orly-Zachód.

— Chodź ze mną — powiedziała — muszę zadzwonić. Popilnujesz torby. Słyszysz? — Poszedł za nią nie rozumiejąc dobrze, co powiedziała. Nie sięgnął nawet po neseser, który zostawiła koło niego, zanim skierowała się ku kabinom telefonicznym. Gdy jednak zobaczył, jak podnosi słuchawkę, nie mógł się powstrzymać, by do niej nie

podejść. Na czubkach palców pokonał kilka dzielących ich metrów. Była odwrócona plecami.

Utkwił wzrok w jej włosach, które jak języki płomieni rozpostarły swe hafty na białej bluzce, potem śledził ruch jej prawej ręki. Wykręcała numer, ale kiedy dotarła do piątej cyfry, raptem przerwała, a zawieszona w próżni dłoń z lekko rozchylonymi palcami zawahała się przez chwilę. Mathieu dosłyszał szept Jeanne: — Nie, nie on. Nie na niego mam ochotę. — I ręka z determinacją powróciła na tarczę. Tym razem jednym ciągiem wykręciła siedem cyfr. — Halo, Georges? Tu Jeanne — słyszał wyraźnie jej głos. — Będę za jakieś pół godziny. Nie ruszaj się z domu, dobrze? Przyjeżdżam. Zgoda? Wiesz, czego chcę, Georges? Powiedz. Wiesz? — Pewność siebie i pieszczota mieszały się w jej głosie. Ale była w nim i ta dziwna modulacja, zarazem poważna i wesoła, będąca w rzeczywistości obietnicą nie do zniesienia. Mathieu czuł jeszcze na wargach jej pocałunek, a Jeanne już całowała głosem innego wybranego w pośpiechu mężczyznę. Byle kto się nadawał. Mathieu nie był nawet byle kim. Ledwie ją odnalazł, a już uciekała. Mówiła. Jej słowa umykały Mathieu. Czy jej głos stał się bardziej przytłumiony z powodu intymności, jaką narzuciła rozmówcy? Czy też Mathieu nie był już w stanie słuchać jej dłużej? Jak w lustrze bez dna widział rozplywające się ciało tej kobiety, której rozkołysane biodra podsuwały myśl o bliskiej rozkoszy.

Przypomniał sobie wesele na szczycie wzgórza i mężczyznę z kolczykiem w uchu, którego Jeanne porwała do tańca. Raphael, nazywał się Raphael i ożenił się parę godzin wcześniej, co wcale nie przeszkodziło Jeanne odebrać go młodej żonie i gościom. Wystarczyło tylko, by się pojawiła w sali wypełnionej muzyką katarynek, aby ten człowiek, który nie znał jej jeszcze minutę wcześniej, stał się satelitą jej rozkoszy. Krążył wokół niej, ale to Jeanne wprawiała go w ruch, przyciągała go i zmusiła, by zapomniał o weselu i przyjaciółach, i ona wreszcie zaprowadziła go do tego pokoju, w którym się zamknęli, by się bez przeszkód wzajemnie pożreć. Co robili, kiedy Mathieu na nich czekał? Jakie to były dotknięcia, pocałunki, pieszczoty, ukąszenia? Tego nie wiedział, on, który nie znał ciała Jeanne, ciała kobiety, a to, czego się domyślał, było na miarę jego rozpacz.

Jeanne mówiła dalej, a jej ręka, ta sama, która wykręcała numer, opierała się na biodrze. Mathieu zrobił jeszcze jeden krok, opadł na kolana i uniósł do warg tę rękę, która uzdrowiła jego matkę, rękę o krótkich paznokciach, która nie przestawała nigdy krążyć między sercem

a krocem, krocem a sercem, tę piękną rękę, która tylko pozornie była naga. Czyż sperma i krew nie zastygały na niej niczym kolejne warstwy lakieru? Czyż nie dlatego zrezygnowała z pierścionków, że upiększały ją powłoki wszystkich ludzkich wydzielin?

— Widzisz, że jestem zajęta — powiedziała odpychając go Jeanne.

W jej spojrzeniu była taka obojętność, że Mathieu doznał zawrotu głowy. Czuł, że pęka mu kręgosłup. Jakby na wysokości karku otrzymał cios, jakim dobija się królika, zanim zawiśnie na haku na wiejskim podwórzu.

Gdy Jeanne odwieszała słuchawkę, Mathieu już przy niej nie było.

RS

Rozdział VI

Viva wynurzyła się ze snu bardzo wcześniej, na długo przedtem, zanim zadzwonił budzik. Nie zastanawiała się ani przez chwilę, co to za dzień ani skąd się w niej wzięła ta gwałtowna determinacja. Przeskoczyła ze snu do przytomności, tak jak kozica skacze z jednej skały na drugą. Otworzyła oczy z myślą, której nie wybierała, lecz która narzucała jej się z absolutną jasnością: dziś stanie się kobietą. Tak, kobietą. Tak było postanowione od zawsze, myślała, i pozostawało jej tylko wypełnić swoje przeznaczenie, jak motylowi, który uwalnia się z jedwabnego kokonu i wiedziony instynktem, oślepiiony światłem, szuka innego motyla, swojego przyszłego kochanka.

Dziwiła się, że mogła przeżyć poprzedni dzień nieświadoma znaczenia tej daty. Czyż nie był to jej dzień ostatni w przejściowym i niepewnym statusie dziewczynki? Jak mogła nie zauważyć, że umiera w niej dziecko. Jak mogła nie dostrzec, że pod jej stopami otwiera się przepaść, którą przesadzi bawiąc się, tak jak dawniej skakała przez skakankę lub grała w klasy. Dawniej była małą dziewczynką z uskrzydłonymi stopami. Małą dziewczynką z główką w chmurach. Jej dzieciństwo musiało zawierać mnóstwo radości, by mogła odsunąć na bok dręczące ją koszmary, zapomnieć o nieobecności ojca i kapryсах matki. Viva umiała sprostać swojemu imieniu; między napadami złości była zawsze wesola i pełna entuzjazmu. Każdą przyjemność chrupała jak wiewiórka orzechy. Ten głód był większy niż jej ogromne zielone oczy.

Dziś stanie się kobietą i jednocześnie zaspokoi pragnienia dzieciństwa. Pogodzi się z sobą samą. Zapomni o przykrych miesiącach skrepowania i uczuciowego nie rozbudzenia, wstydzie z powodu ciała, które zmienia się zbyt wolno i którego niedostatki skrywa się pod bezkształtnymi ubiorami, o nagłych zapachach przebijających spod perfum buchniętych dorosłym. Będzie piękna w chwili zaślubin i zaślubiny uczynią ją piękną. Pomiedzy pierwszą krwią miesiączki a pierwszą krwią miłości była tylko otchłań o nieokreślonych konturach, którą opuści, zanim znów zapadnie noc.

Viva zrzuciła piżamę na ziemię i wyprostowana jak kariatyda wsunęła głowę pod strumień prysznica. Młoda oblubienica w myślach widziała już siebie namaszczonej olejkim różanym. Na jej ramiona dzikuski opadały kaskady ciepłej wody, jakby wraz z przyływem wracała do ujścia rzeki. Ryby o złotych łuskach igrały między jej nogami i ich gładkie, drgające pieszczoty doprowadzały ją powoli aż do krawędzi.

— Nie masz dziś lekcji, dlaczego tak wcześniej wstałaś?

— spytała ją matka przez szparę w drzwiach.

— Idę na basen — skłamała Viva z łatwością, zaskakującą dla niej samej.

Victoire wróciła do łóżka, zadowolona z odpowiedzi córki, a Viva ani przez chwilę nie zastanawiała się nad swą dwulicowością. Matka miała dość własnych trosk i własnych kochanków, ona nie będzie dodawać jej cierpień. Gdyby zaryzykowała i zdradziła jej się ze swym projektem, czyż nie zaczęłaby wyolbrzymiać całej sprawy? Czy nie zaczęłaby natychmiast odwoływać się do własnych doświadczeń i przestrzegać przed całym łańcuchem katastrof? Nie, zwierzy jej się dopiero wtedy, kiedy będzie już po fakcie. Mamo, dziś rano widziałam wilka, powie jej z przyjemnością, używając jej ulubionego powiedzonka, które Viva uważała za szczególnie głupie. Jakiego wilka?— zapyta matka.

Pójdzie aż do jego jamy, żeby go wypłoszyć, młodego wilczka, równie dziewiczego jak ona sama, ma on na imię Mathieu. Dwa dni wcześniej odepchnął ją z wściekłością i upadając nabiła sobie siniaka na udzie. Ta zakrzepła krew to było jednocześnie za dużo i zbyt mało. Teraz trzeba będzie go skłonić, by sprawił, żeby trysnęła krew, wtedy uzyska przebaczenie. Dokończ swą pracę, panie wilku, zadaj mi jeszcze trochę bólu, a ja w zamian dam ci szczęście.

Viva nie bała się. Obojętność Mathieu przestała już doprowadzać ją do rozpacz. Od przebudzenia знаła już wyjaśnienie zagadki. Nadeszło, nie wiadomo dlaczego, we śnie. Czyż sen nie rzuca zadziwiającego światła na problemy, które wieczorem wydają się nie do rozwiązania? Gdyby Viva znała grekę, zawołałaby „eureka!” pod prysznicem. Ale Viva była nowoczesną dziewczyną, nie znającą ani w ząb języków klasycznych, co nie przeszkadzało jej zachwycać się swoim odkryciem. Za niewiele więcej niż godzinę ofiaruje Mathieu bezcenny dar, przy którym napój miłosny ofiarowany przez Izoldę Tristanowi przypominać będzie syrop z orszady. Czyż nie odda mu swego ciała, a nawet nieco więcej? Ciała i tego ledwo ukształtowanego pragnienia, które narastało w niej w tajemnicy tej zbyt wczesnej wiosny i które obecnie wypełniało ją całą. Ciała będącego w pół drogi między dzieciństwem a dojrzałością, którego nawet jej własne ręce jeszcze nie odkryły, nawet we śnie. Chciałaby, żeby bardzo krwawiło, ponieważ czerwień kojarzyła jej się zawsze z wyjątkowymi momentami. Jako dziecko była kiedyś operowana i jej ojciec, ten nieuchwytny Latający Amerykanin, przyniósł jej do kliniki wspaniałe wiśnie i porzeczki. Nigdy nie widziała piękniejszych i było

prawdą, że wybrał je jej ojciec. Nie starał się wcale zresztą dowiedzieć, czy taka uczta wskazana jest dla młodej pacjentki. Zaraz po jego wyjściu Viva pożarła wszystkie owoce i zwymiotowała je w kilka minut potem. Te karminowe strzępy rozwłócone po pościeli były jak widomy ślad przejścia Latającego Amerykanina. Kochała ojca za cierpienie, które jej zadał i które pomalowało na czerwono jej poście! i jej ciało. Pragnęła, by Mathieu był równie dobry, kiedy będzie zabijał w niej dziewczycę, to monstrualne połączenie ciała kobiety z duszą dziecka — oby nie odwrotnie — tę chimere, która przez cały czas podniecała wyobraźnię mężczyzn, by wreszcie zrodzić naszą historię. W ramionach Mathieu Viva stiaci swe płynne kontury. Będzie istniała i wreszcie będzie mogła kochać. Boże, mogę cię o to poprosić, moje wymagania nie są przesadne. Boże, spraw, żeby był mój i tylko mój. To będzie pierwszy mężczyzna, którego będę miała tylko dla siebie. Do tej pory miałam tylko Nicponia, małego kotka o różnobarwnych oczach, który spadł z tarasu i skrzył sobie kark. Nie miał nawet roku, przypominasz sobie, Boże, nie możesz mi odmówić Mathieu. Musisz spłacić dług. Musisz teraz sprawić, żebym zapomniała o dniu, kiedy odebrałaś mi Nicponia. Mój Boże, daj mi w zamian Mathieu, tak go potrzebuję, tak bardzo chcę być kochana.

W tej samej chwili, kiedy wychodziła z domu, brama parkingu uchyliła się z powolnym ziewnięciem. Wskutek mgły noc wydawała się jeszcze ciemniejsza. Mimo to Viva rozpoznała natychmiast mały czerwony samochód, wystający z garażu jak wysunięty język.

— Jeanne! — zawołała, potem pożałowała swego porywu i pozostała na miejscu jak przygwożdżona. Samochód zatrzymał się, Jeanne czekała na nią. Viva zbliżyła się niechętnie. Jeanne miała włosy związane na karku gumką, a twarz bardziej wygładzoną i oszlifowaną niż kamyk w strumieniu. Opuściła szybę, żeby porozmawiać z Viva, która całując ją nie pamiętała już, czy kocha tę kobietę, czy jej nienawidzi. Twarz Jeanne nie pachniała niczym i można by sądzić, że jest z kamienia, gdyby nie ciepło policzków. Jeanne powiedziała kilka słów, ale Viva wyczuła nieobecność w jej głosie i spojrzeniu. Powieki Jeanne, które zazwyczaj były tylko ciężkie, tego ranka wydawały się opadać. Czyżby czas ośmielił się zaznaczyć swe piętno na tej kobiecie? Jej twarz była naga. Najmniejszego śladu makijażu lub kokieterii i po dwie małe zmarszczki w kącikach ust, jak podwójny akcent w słowie vérité (prawda). Wydawała się oddalona jak nigdy od tego, o czym mówiła. Była już w szpitalu i nieliczne słowa, które padały z jej ust, jakby już do niej nie należały.

Viva zrozumiała wtedy, co tak bardzo fascynowało mężczyzn u Jeanne. Zdawało im się, że oddaje się ona całkowicie, nie otaczając się całym tym oszukańczym arsenałem parawanów i barier. Jakim jednakże zarozumiałstwem była myśl o osiągnięciu jej! Jeanne była daleko, chroniła się w świecie, w którym można było ją ścigać wyłącznie z narażeniem własnego życia. Tylko czy dostrzegała tych mężczyzn, których ciał nie otwierała?

Viva bez namysłu wsunęła rękę przez opuszczoną szybę i pogłaskała Jeanne po policzku, tak jak w muzeum dotyka się rzeźby, kiedy strażnik się odwróci.

— O czym myślisz? — spytała Jeanne.

— O Nicponiu. Rozbił się o chodnik. To chyba niesprawiedliwe, co?

— Śmierć nigdy nie jest sprawiedliwa.

Chociaż Jeanne uśmiechała się grzecznie, Viva wyczuwała w pustce jej spojrzenia, że liczy każdą straconą sekundę. Viva cofnęła rękę, Jeanne podniosła szybę i, nie mrugnawszy nawet okiem, szybko ruszyła z miejsca. Ilu mężczyzn patrzyło już tak na nią, kiedy odjeżdżała? Jeanne zapewne uśmiechała się przepaszająco. Czyz nie miała zawsze czegoś bardzo ważnego do zrobienia? Któż mógłby mieć jej to za złe? Czy nie służyła dobrej sprawie? Pacjent przyciągał ją siłą cierpienia i tajemnicy, której nie mogła i nie pragnęła się oprzeć. Pozwalała, by świat szpitala pochłaniał ją tak samo jak czarna dziura gwiazdę. Nieznanym ciałom ofiarowywała opiekę, której odmawiała najbliższym. Viva niedaleka była od myśli, że pod przykrywką dobrej sprawy można bezkarnie złamać niemało serc. Jeanne umiała błyskawicznie się oddać i jeszcze szybciej się opanować. Nie wahała się także używać swego pełnego słodczy i współczucia uśmiechu przeciwko tym wszystkim, którzy ośmielili się wtrącić w jej marzenia i w jej życie.

Noc i mgła pochłoneły mały czerwony samochód. Viva nagle poczuła zimno. Ale to nie odjazd Jeanne spowodował to uczucie pustki. Kilka miesięcy wcześniej czułaby się zupełnie zbita z tropu. Teraz dziwiła się, że to zniknięcie nie poruszyło jej bardziej. Jeszcze trochę, a odczułaby ulgę. Kochała jednak Jeanne. Kochała ją do tego stopnia, że rozumiała jej fascynujący wpływ na Mathieu. Oboje połączyli się w tej miłości, która ich zbliżała. Dopiero potem zaczęła próbować usunąć Jeanne z serca Mathieu, który nie rozumiał tej zmiany. Kochała Jeanne do tego stopnia, że chciała podstępnie wślizgnąć się w jej skórę. Szukała zwady z matką, żeby móc szukać schronienia u Jeanne. Udawała, że zasypia przy kominku, aby Jeanne, jej Jeanne zaniósła ją do swego łóżka. Spod

wpółprzymkniętych powiek podglądała jej życie, analizowała intymność. W najdrobniejszym geście dopatrywała się połączenia oryginalności i doskonałości. Kiedy odkrywała u niej jakiś grymas, błąd czy wadę, tłumaczyła sobie od razu, że nadaje to jeszcze większą wartość całości. W tej dziwnej alchemii skaza w samym sercu diamentu czyniła klejnot bezcennym.

Moja Jeanne, dlaczego mama mnie nie kocha? — pytała. Nie chodziło jej wtedy o to, by upewnić się co do uczuć matki. Chciała usłyszeć od Jeanne jeszcze raz, że kochać ją jest rzeczą całkiem naturalną. Czy Jeanne, gdyby miała córkę, nie pragnęłaby, żeby była ona taka sama jak Viva? Dziewczynka oczekiwała takiej odpowiedzi, a jej oczekiwanie nie zostało nigdy w pełni zaspokojone — tak bardzo przecież pragnęła nasycić się miłością. Najmniejszy brak sprawiał, że wysuwała język niczym maskaron z Notre Dame.

Kochała ją do tego stopnia, że zaczęła ją naśladować. Przez cały rok Viva wierzyła, że sama jest Jeanne. Kopiowała jej krok, tak jak ona wysuwała podbródek, śmiała się z głową odrzuconą do tyłu i zamkniętymi oczami. W ten sam sposób wracając wieczorem do domu zrzucała płaszcz i buty na wykładzinę w przedpokoju. Jej westchnienie ulgi, tak jak u Jeanne, przypominało jęk. W ten sam sposób chwytiała w ręce wydobyte spod czapki włosy. Viva wślizgnęła się w jej skórę, tak jak aktorka wciela się w rolę, nie próbując zdobyć się na wysiłek logicznego zrozumienia postaci. Przez zwykłe naśladownictwo poznała ją jednak lepiej niż wszyscy inni. Choć nie znosiła, kiedy podkreślano jej podobieństwo do matki, poświęciłaby chętnie swą młodość i tożsamość, aby stać się wierną kopią swego modelu.

Kiedy wyszła z metra, było już jasno. Nigdy wcześniej nie odwiedzała Mathieu, ale знаła jego adres i zanim się do niego wybrała, postarała się nakreślić trasę podróży na planie miasta. Była to tylko drobna weryfikacja: Mathieu mieszkał koło Jardin des Plantes, o którym wiedziała wszystko. Latający Amerykanin wielokrotnie wyznaczał jej spotkania przed klatką z szympanсами i oczekując na swego wiecznie spóźniającego się ojca, miała aż nazbyt wiele czasu, by dokładnie spenetrować teren. Przypominała sobie zardzewiałe ogrodzenia i smutne zwierzęta, uwięzione bardziej w czasie niż w przestrzeni. Ona czuła się wolna i żywa. Nadejście ojca było w owych czasach wielkim wydarzeniem w jej życiu. Lubiła tę narastającą niecierpliwość, którą delectowała się gwałtownie i z rozkoszą. Cóż stąd, że oczekiwanie było długie, a nadzieja bliska wyczerpania. Ojciec nadchodził. Starła się

złożyć wizytę wszystkim zwierzętom, nie pomijając żadnego. Trzeba było rozproszyć ich nudę. Nie przychodziła do nich tak, jak się idzie na przedstawienie. Przeciwnie, to ona miała dostarczyć chwilowej rozrywki syberyjskiemu niedźwiedziowi, otępialemu w głębi swej jamy, i orangutanowi o wargach powalanych ziemią, przeżuwałemu z niesmakiem pęczek marchwi. Zwierzęta nie miały już żadnej nadziei, ona miała wszystko przed sobą.

Dzisiaj Viva śpieszyła się, by jak najszybciej przejść wzdłuż klatek. Jej uwaga była nie mniej napięta. Ledwo mogła się powstrzymać, by nie zacząć biec. Nie chciała dojść zdyszana. Ale kiedy zorientowała się po numerach domów, że do celu pozostało jej tylko kilka metrów, zapomniała o swym zdecydowaniu i pobieгла jak strzała.

Za kilka sekund zdobędzie go na zawsze. Dotknie wargami jego karku i zgniecionych we śnie loków. Zarzuci na niego sieć utkaną z pieszczot i pocałunków, z której nie będzie mógł się wymknąć. Czyż nie przeczytała kiedyś w orientalnej bajce o tym, jak zazdrosny mąż zacisnął włosy żony między dwiema szufladami komody, żeby zapewnić sobie jej wierność podczas swojej nieobecności? Uważała to za szczyt wyrafinowania, lecz aby zatrzymać przy sobie Mathieu, pragnęła wynaleźć coś jeszcze bardziej przemyślnego. Kochała go i nogi jej drżały. Kochała go i zatrzymywała się, by złapać oddech na półpiętrze. Jako ostatnią próbę narzuciła sobie, że wejdzie pieszo. Na trzecim piętrze wstrzymała oddech. Mieszkali tam rodzice Mathieu i Viva obawiała się, że drzwi się otworzą, zanim dotrze na szóste, gdzie był jego pokój. Kiedy niebezpieczeństwo minęło, ogarnęła ją fala szczęścia. Zatrzymała się na chwilę, oparła plecami o ścianę i przymknęła oczy. Chciałaby, żeby ta wspinaczka nigdy nie miała końca. Marzyła o wieży wznoszącej się aż do chmur. Spirala jej stopni umykała spojrzeniom i gubiła się w jej marzeniach. Na górze spał Mathieu. Kiedy będzie szła z powrotem, będzie już kimś innym. Viva powiedziała sobie „żegnaj” i szła coraz wyżej.

Dzwonka nie było. Pukała kilkakrotnie — coraz mocniej, ale nikt nie odpowiadał. Najłżejszego szmeru czy oddechu. A jeśli Mathieu nie ma w pokoju, jeśli poszedł do rodziców?

Wszystkie jej projekty runęłyby w jednej chwili. Teraz albo nigdy. Nie mogła czekać dłużej. Zapragnęła zaskoczyć go we śnie i wślizgnąć się do jego łóżka, by nie miał czasu bronić swego terytorium. Być może po prostu pogrążony w głębokim śnie nie słyszał pukania. Powiedział jej kiedyś, że zawsze zostawia klucz pod słomianką. Nic tam jednak nie

było. Przysięgłaby, że Mathieu głęboko śpi. Nie usłyszy nawet, jak ona się rozbiera, a zanim otworzy oczy, poczuje, jak zanurza się w jego ciepłe.

Drzwi otwarły się bez oporu, ale żeby nie zazgrzytały, Viva popchnęła je bardzo łagodnie. Okiennice bez wątpienia były zamknięte, ponieważ do środka nie docierało światło. Szerokim i powolnym ruchem Viva posuwała się wraz z drzwiami. W miarę ich otwierania, jej oczy przyzwyczajały się do półmroku, a w chwili kiedy już mogła rozróżnić kontury pokoju, jej ciałem wstrząsnął dreszcz i gwałtownie zatrzasnęła drzwi. Z trudem odzyskała oddech. Dłonie zacisnęła tak mocno na klamce, że czubki palców stały się blade i przezroczyste jak pierścienie tasiemca. Z zamkniętymi oczami, marszcząc brwi i czoło z wysiłku, który sobie narzuciła, raz jeszcze pchnęła drzwi i zanim wreszcie otwarła oczy, zrobiła jeden krok wchodząc do pokoju.

To, co zobaczyła, nie pozwoliło jej nawet krzyknąć. W osłupieniu nie mogła z siebie wydobyć żadnego dźwięku. Jej ciało zastygło nieruchomo. Viva, która miała świętować tajne zaślubiny. Viva, która się wykapała i wystroiła dla tego, którego nazywała już swoją miłością, Viva dziecko, Viva kobieta o spragnionych wargach, ze źrenicami z ogromnym oczekiwaniem i nadzieją, Viva spragniona, dojrzała, dziewczęca, ofiarowana, młoda Viva, Viva, śliczna Viva, ujrzała mężczyznę, który nigdy nie będzie jej kochankiem.

Jego ciało zwisało na sznurze. Miał szeroko otwarte oczy i zaciśniętą szczękę. Zwrócona ku niej twarz była lekko skrzywiona. Stopy znajdowały się dziesięć centymetrów nad ziemią, odepchnięty taboret potoczył się w kąt pokoju. Nie przyszło jej do głowy, by mu przyjść z pomocą i sprawdzić, czy sztywność członków spowodowana jest złamaniem kręgosłupa, czy już śmiercią. Viva nie dotknęła ręką jego ręki, żeby poczuć jego ciepło. Była jak skamieniała. Rozpoznała Mathieu, tylko że ta rzecz to nie był Mathieu. Była to już tylko forma tego, do kogo przyszła. Nie obudzą go jej pocałunki w szyję, na której zacisnął się sznur, sznur, który uniósł ku górze brązowe włosy i spowodował, że w pęknięciu gardła ukazały się kostki jabłka Adama.

Nie dowiedziała się nigdy, jak długo wpatrywała się w niego, wcale go nie widząc. Ile czasu potrzebowała śmierć, by ją przeniknąć, jak długo tak stała pochłonięta przez nicość. Nie dowiedziała się tego nigdy. Schodząc na dół, była już kimś innym, ale to nie miłość ją zniszczyła. Biegła przeskakując po cztery stopnie, czepiała się poręczy i nie znajdowała w gardle krzyku, który powinna była z siebie wyrzucić, żeby

odepchnąć tę potworność. Opadła przed drzwiami, za którymi powinni mieszkać rodzice Mathieu, i zapukała. Walila w nie obiema pięściami, dopóki jej nie otworzono. Kiedy drzwi ustąpiły, krzyknęła wreszcie. Mówiono do niej, a ona nie słyszała. Krzyczała nadal. Ktoś przed nią stał. To była kobieta. Viva domyśliła się, że to kobieta. Nie mogła opanować krzyku. Teraz były to już chyba dwie osoby. Jedna kobieta, jeden mężczyzna. Dwoje.

— Kim pani jest?

Pytano ją, kim jest. Kiedy przestała krzyczeć, powtórzyła kilkakrotnie imię Mathieu, nie będąc w stanie dodać nic innego.

— Kim pani jest? Ależ kim pani jest? Mój Boże, co się dzieje? Niech pani powie, bardzo panią proszę.

Bez wątpienia natychmiast wyrzuciliby ją za drzwi, gdyby nie zaskoczyła ich jej młodość i ból. Potrzebowali kilku sekund, by uświadomić sobie związek między tą szlochającą dziewczynką a ich synem.

— Mathieu? Czy coś mu się stało?

Pospieszne pytania mnożyły się, nakładały się na siebie. Oczy ogromniały. Były gesty, okrzyki i westchnienia. Sekundy krótsze niż sekundy. Viva nie dostrzegała twarzy pytających ludzi, ale czuła, jak rośnie ich niepokój i niecierpliwość. Trzeba było odpowiedzieć, nawet jeśli ta odpowiedź zburzy spokój na zawsze. Tam wysoko czekał Mathieu. Tam wysoko Mathieu być może już przestał czekać. Szybko, trzeba mówić bardzo szybko.

— Tak, Mathieu — wyszeptwała unosząc głowę, tak jakby chciała wskazać wyższe piętra.

Imię Mathieu wyrwało jej z gardła nowy krzyk. Mogła szlochać bez końca, nikt się nią już nie zajmował. Tak niedawno mężczyzna miał wziąć ją w ramiona, a teraz kiedy uścisk się rozluźnił i kiedy Viva nie miała już nic, na czym mogłaby się oprzeć, czuła, że niedługo nie będzie już miała siły, by nie dać się wchłonąć otwierającej się przed nią przepaści. Kobieta i mężczyzna odeszli i Viva słyszała odgłos ich kroków na schodach. Nie przypominała już sobie kobiety, wiedziała jednak, że mężczyzna był podobny do Mathieu. Brązowe kosmyki włosów w nieładzie, długa chuda szyja i ciemne namiętne spojrzenie. Tak, ten mężczyzna przypominał Mathieu, takiego, jakim Mathieu nigdy nie będzie. Kim był Mathieu? Zesztywniałym w ciszy ciałem? Gorącym dzieckiem, które kochała? Dlaczego jej ramiona obejmują pustkę? Kroki umilkły. Z góry dobiegał odgłos łkań, jakie zwykle towarzyszą wielkim

nieszczęściom. Na klatce schodowej echo przekształcało je w niewyraźny skowyt. Płacz odbijał się od ścian jak śmiech. Viva osunęła się na słomiankę przed otwartymi na oścież drzwiami.

RS

Rozdział VII

Od zniknięcia Mathieu minęły tygodnie i miesiące. Podczas swych spotkań Victoire i Jeanne nigdy nie wspominały o śmierci chłopca w sposób jednoznaczny. Raz tylko, w kilka dni po tragedii Victoire powiedziała przyjaciółce patrząc jej prosto w oczy:

— Miałby dziś szesnaście lat. To było dziecko, Jeanne. Tylko dziecko.

Wzruszenie odbarwiło tęczęwki Jeanne, tak że stały się niemal tak żółte jak lakierowane kielki pszenicy. Patrząc w oczy Victoire odpowiedziała:

— Było to dziecko, ale również mężczyzna. Moja zbrodnia polega na tym, że nie chciałam tego zrozumieć.

Victoire raptownie przerwała tę spowiedź. Czego się obawiała? Wyrzutów, które przytłoczyłyby Jeanne, czy sposobu, w jaki Jeanne by odpowiedziała? Nie było już więc mowy o Mathieu. Do ich rozmowy wkradło się zażenowanie i wahanie. Chwile ciszy stawały się nie do zniesienia. Obie po raz pierwszy czuły, że to, o czym milczą, ciąży im do tego stopnia, że zaczynają myśleć z obawą o następnym spotkaniu.

Victoire miała jednak nadzieję, że czas, który oczyści kości zmarłego chłopca, potrafi również odrodzić z popiołów przyjaźń, która od tak wielu lat wiązała ją z Jeanne. Ale za to jej córkę, jej córkę przepelniała nienawiść. Bujna nienawiść żywiąca się każdego dnia nowymi argumentami, której zasoby zdawały się niewyczerpane w swej obfitości. Silna i mocna nienawiść. Taka, która kazała jej chodzić z podniesioną głową, mimo najgłębszej rozpacz. Była to nienawiść, która nizała w ciszy dowody obciążające, by tym mocniej w stosownym momencie uderzyć winnych. Nienawiść, której zapasy, tak jak sok roślin oleistych, mogły być magazynowane całymi miesiącami. Nienawiść, którą Viva będzie potrafiła się upić, kiedy wreszcie susza, długa, tak długa na tej jałowej glebie, kiedy rozpacz, ta wynikająca z pamięci i z jej przeciwieństwa — zapomnienia, kiedy męka i pragnienie osiągną swój punkt najwyższy. Nienawiść, która uczyniła z Vivy osobę obcą.

Pozornie nic się nie zmieniło. Ale w słodkim, choć lekko matowym głosie córki Victoire wyczuwała zduszony krzyk, a sporadyczne uśmiechy kryły chęć ruszenia do gwałtownego ataku czy rzucania oskarżeń. Tylko bladeść Vivy zdradzała jej cierpienie, a grube wargi wydawały się raczej brązowe niż czerwone. Od czasu, gdy umarł Mathieu, Viva nie obcinała włosów. Czy złożyła ślub u ciała młodego mężczyzny, który już nie oddychał, którego już nie było? U zwłok,

których włosy i paznokcie nadal rosły? Zbyt długa grzywka zakrywała jej oczy. A przecież dawniej tak dumna była z ich koloru, uznając ich zieleń za potwierdzenie jej naturalnej więzi z Jeanne. Teraz jednak z zaciętkością wzięła się do usuwania wszystkich śladów, jakie po Jeanne pozostały. Niszczyła jedno po drugim wszystkie przyzwyczajenia z dzieciństwa.

Sądziła, że w świat dorosłych przeniknie dzięki miłości, tymczasem to śmierć i nienawiść otworzyły jej do niego wrota. Próg przekroczyła w milczeniu. Miała całkiem nowe spojrzenie, wyłącznie swoje własne. Oczy bez łez. Oczy pełne krzyku. Dawniej pragnęła znacznie więcej niż tylko rozkoszy, chciała miłości i czułości. Chciała, by Mathieu, pochylając się nad nią, wyrwał ją z osamotnienia i przesądów. Będąc dziewczicą, chciała przestać być dziewczicą. Chciała się otworzyć, wyrzucić z siebie wszystkie tajemnice. Nie został jej pierwszym kochankiem. Nigdy już nim nie będzie. Viva odkryła śmierć i zabarykadowała się w więzieniu własnej samotności z determinacją większą niż małża zamykająca się w swojej muszli.

Gdy przypadkiem spotykała Jeanne, odwracała głowę i szła dalej bez słowa. Pewnego ranka natknęła się na nią w windzie. Jeanne chciała ją ucałować, lecz Viva, by ją zniechęcić, ukryła twarz w dłoniach. Jeanne zaczęła więc przemawiać do niej czule głosem, który jej pacjenci musieli słyszeć tuż po przebudzeniu. Viva nie odpowiedziała jej i odsłoniła twarz dopiero wtedy, gdy Jeanne wysiadła. Dopiero wobec takiej rozpaczy, ciszy, zawziętości i nienawiści Jeanne zdała sobie sprawę z tego, jak bardzo kocha to dziecko. Od kiedy Viva nie przychodziła do niej spać, cały dom wydawał jej się pusty. Dnie przypominały te letnie wieczory, gdy nad opustoszałym Paryżem wisiała burza. Jeanne nachodziła ochota, by przechylić się nad balustradą tarasu i wypatrywać małej dziewczynki, która dawniej przebiegała pustą perspektywę ulicy w poszukiwaniu swego sersa. Mała dziewczynka, której obecność wypełniała całą przestrzeń, nazywała się Viva. Nie była już małą dziewczynką i nigdy więcej nie będzie. Jeanne wstydziała się tego, że bardziej cierpi z powodu jej nieobecności niż z powodu śmierci Mathieu. W przeciwieństwie do Victoire nie sądziła, by wpływ czasu mógł odrodzić to, co było. Jeanne nie uda się zagoić rany Vivy. Przeciwnie, nawet sama jej obecność z powrotem ją zaogni. Wobec tej klęski, niemej i nie oblewanej łzami, Jeanne poczuła się nagle bezbronna, bezsilna. Jeszcze trochę i to ona schroni się w płaczu, jak wtedy rankiem w dzień Bożego Narodzenia, gdy młoda, operowana przez nią dziewczyna się nie obudziła. Ona także

miała piętnaście lat. W noc wigilijną przywieziono ją żywą na blok operacyjny. Rano wywieziono zwłoki do sali sekcyjnej. Tak, tym razem Jeanne płakała. Zmęczenie, zniechęcenie i to poczucie stania twarzą w twarz z czymś niedopuszczalnym. Dlaczego, do diabła, tym razem spadochron się nie otworzył? Czyż nie wykonywała już dziesięciokrotnie, stukrotnie tego skoku? Dlaczego? Dlaczego właśnie w tę noc wigilijną? W noc ofiarującą życie i zaprzeczającą śmierci? Dlaczego to piętnastoletnie dziecko?

Teraz trzeba było zrobić sekcję: obnażyć skalp, odwinąć jak skarpetkę skórę z czaszki na jej twarz. Też była dziewicą. Dziewicą, która 25 grudnia rano zniknęła z obrazu przedstawiającego Boże Narodzenie. Profanacja! Wół i osioł, to były te postacie w zielonych bluzach, które ćwiartowały jej zwłoki. Ich oddech nie mógł już rozgrzać tego młodego ciała, które stało się martwe. Wykonując te akrobacje na granicy życia i śmierci, dochodzi się w końcu do wniosku, że znalazło się skuteczną obronę. Że udało się oszukać prawo ciężenia. Obowiązuje inny porządek rzeczy. Przeznaczenie? Nie istnieje już przeznaczenie! Rozkazują moja głowa i moje ręce. Łazarzu, wstań! Ale zdarzają się dni, gdy Łazarz nie usłucha. Jest to swobodne spadanie. Zerwanie. Przy każdym zmarłym płaczę nad samą sobą.

Z Viva nic już nie będzie jak przedtem. Jeanne dobrze o tym wiedziała, ale nie chciała tego zaakceptować. Było jeszcze za wcześnie, by pogodzić się z przegraną. Przed wyjściem do szpitala zadzwoniła do Victoire. Będę na ciebie czekać, Jeanne, przy wyjściu ze szpitala, w tym bistro co zawsze, odpowiedziała przyjaciółka. Jeanne przyszła pierwsza. Skorzystał z tego kloszard, który — zawsze między jednym a drugim cabernetem — naciągał ją od miesiący na pieniądze i teraz pragnął powrócić na jej utrzymanie:

— Obliczyłem nasze rachunki, szefowo. Jestem ci winien dokładnie trzysta czterdzieści pięć franków. Sama widzisz, że nie zapominam o tobie. Trzysta czterdzieści pięć franków.

Z kieszeni wyciągnął świstek papieru i zaczął go starannie rozprostowywać, następnie pomachał nim przed nosem Jeanne.

— Wybacz, szefowo — powiedział rozanielony. To nie ty. To inna szefowa.

Rozłożył na stoliku Jeanne dwa albo trzy skrawki papieru i rozmarzonym wzrokiem wskazał właściwy.

— O to nam chodziło, szefowo. Trzysta czterdzieści pięć franków. Czy zechciałabyś sprawdzić szczegóły i daty?

— Mam do ciebie zaufanie — powiedziała Jeanne.

— Masz rację, szefowo. Jestem naciągaczem, a nie złodziejem. Nie należy tego mylić.

Gdy weszła Victoire, Jeanne wyciągnęła właśnie do swego dłużnika dziesięciofrankówkę.

— Poczekaj, szefowo, aż zapiszę. Teraz mamy...?

— Nieważne. Razem trzysta pięćdziesiąt pięć franków.

— Zgadza się. Do widzenia, szefowo.

— Do widzenia.

Victoire miała lekko niepewny uśmiech. Tak wojownicza w życiu zawodowym, tak waleczna wobec mężczyzn kiedy chciała ich zdobyć, czasem okazywała nieśmiałość w zupełnie nieoczekiwanych momentach i to wobec ludzi, których znała najlepiej. Gdy tylko nie postępowała po zawadiacku, z wesołością i uporem, jej wola zjednania sobie każdego, mężczyzny czy kobiety, stawała się wzruszająca. Odnosiło się wrażenie, że najmniejszy ślad odmowy ranił ją, i nawet jeśli wykazywała dość opanowania, by walczyć dalej, czasem z jeszcze większą zaciekłością, ciosy, które inkasowała, wydawały się zawsze groźniejsze niż przez nią zadawane. Jej żywe, ciemne spojrzenie nie przestawało prowokować, a odniesione zwycięstwa harmonizowały jej imieniem. Niemniej jednak skórę miała posiniaczoną dawnymi zmaganiem, a jej twarz miała dziś w sobie coś z uroku porysowanej porcelany.

Jeanne wiedziała, że przyjaciółka podchodzi, ale jej nie dostrzega. Zbliżała się z brawurą właściwą krótkowidzom, ze sztywno wyciągniętą szyją i lekko zmrużonymi oczyma. Pośród swoich zmaconych krajobrazów Victoire miała zwyczaj maszerowania pod wiatr. Każde przejście ulicy było dla niej przygodą, którą przebywała jakby wśród dźwięku werbli i zawsze na skos. Samochody hamowały, kierowcy ją przeklinali. Z nieruchomym spojrzeniem Victoire szła prosto przed siebie.

— Jeanne, jestem tak szczęśliwa, że cię widzę.

Victoire opadła na krzesło. Po omacku poszperała w ogromnej torbie, bardziej sfatygowanej i przeładowanej niż sakwa komiwojażera, i wyciągnęła z niej paczkę mentolowych papierosów i zapalniczkę. Gdy wreszcie wypuściła dym z ust i nozdrzy i gdy trzymając w prawej ręce papierosa, a lewą podtrzymując brodę, oparła się o blat, nadszedł czas zwierzeń. W ciągu tych piętnastu lat często spotykały się przy kominku, kieliszku czy stoliku. Podsumujmy, mówiła za każdym razem Victoire tonem żeglarza, który, po zapoznaniu się ze wskazaniem przyrzędów i

po obejrzeniu map, bierze lornetkę i odkrywa wreszcie brzeg, na którym wylądował. A w polu widzenia — mężczyzna, mężczyzn, tyłu mężczyzn. Mężczyzn, którzy byli niegdyś, mężczyzn, którzy nadejdą, mężczyzn tej chwili, która wkrótce minie, mężczyzn jednej i mężczyzn drugiej, mężczyzn, którymi dzieliły się jak łupem, mężczyzn wskazywanych jednym słowem, których Victoire miała za zadanie skierować ku Jeanne.

— Tyle czasu minęło — zauważyła Victoire niepewnie. Tym razem nie powiedziała: podsumujmy. Podciągnęła spódnice, by wygładzić niepotrzebne fałdy, jakby chciała zyskać na czasie. Między nimi nigdy nie stanął żaden mężczyzna. Ale dziś stanął Mathieu, pamięć o nim. Rozdzielił je martwy chłopiec. Jeanne powstrzymała oddech, jak po operacji, gdy trzeba zawiadomić rodziców o śmierci tego, kogo kochali.

— Nigdy nie był moim kochankiem, Victoire. Nie wierzysz mi?

— Właśnie o to mam do ciebie pretensję — odpowiedziała przyjaciółka, zdecydowanie wydmuchując dym. — Dlaczego nie on? — nalegała dalej.

— Był tylko dzieckiem.

— Miałaś tylu kochanków, Jeanne. Dlaczego nie on? Nieważne, dziecko czy mężczyzna. Pragnął cię, jak nikt inny. Gdybyś mu dała, czego chciał, dziś by żył. Oczywiście cierpiałby. Ale takie cierpienia są uleczalne.

— Może nie miałam racji, chcąc mu ich oszczędzić.

— Dla ciebie to było tak niewiele, a przed nim otwierało się całe życie.

— Nie robi się tego z litości.

— Ale robi się to z nudów, dla zachcianki, z woli potwierdzenia swojej dominacji. Robi się to z wielu powodów, nawet jeszcze głębszych. I ty, która nie odmówiłabyś wyjechania do Madrasu czy Karamajongu, która leczysz najbiedniejszych, nie zauważyłaś nawet obok siebie tego zebrzącego dzieciaka.

— Myślisz, że go zabiłam?

— Tego nie powiedziałam.

— Ale tak myślisz.

— Tak, jeśli chcesz wiedzieć.

Victoire opuściła nagle wzrok i zgmiotła niedopałek w popielniczkę.

— Wybacz mi, Jeanne — wyszeptała nie odważając się spojrzeć na przyjaciółkę. — Śmierć tego dzieciaka wstrząsnęła mną. Sama nie wiem, co mówię.

— Mówisz prawdę — odpowiedziała Jeanne. — Po prostu prawdę.

Przypomniała sobie kolację z Mathieu w restauracji Nadegei twarz młodego kłozarda z kolczykiem w uchu. Pamiętała zwłaszcza jego małe tatarskie oczka, bezustannie wędrujące od niej do Mathieu, od Mathieu do niej. Ofiara i jej morderca, wykrzyknął kilkakrotnie. Ofiara i jej morderca! Jak mógł to przewidzieć? Czy cień rzucany przez drapieżne ptaki szybujące na niebie wystarczy, by zaalarmować ich ofiary? Czy były inne znaki zapowiadające śmierć? W takim razie dlaczego Mathieu nie próbował uciekać? Uciec od niej? Może tylko on jeden nie widział nadciągającego niebezpieczeństwa? Nie dość, że nieświadom był ryzyka, ale jego żądza jeszcze je powiększała. Czyż nie przyszedł oddać się w jej ręce? Czyż nie śledził jej, nie szpiegował, nie podsłuchiwał, nie ścigał? Czy nie uczeplił się jej jak rzep psiego ogona? Czy bezustannie nie chciał jej się naprzykszać swoją obecnością? Czy z każdej jej odmowy nie czerpał nowej radości? Czy rozkosz i cierpienie nie rywalizowały do końca o jego ciało? Czy nie została wmieszana do tej walki wbrew swej woli? Co mogła zrobić z tą miłością, której sama nie wybrała? Czy litość byłaby tu dobrym lekarstwem? Jeanne nie usprawiedliwiała się, nawet tu, przed swoją przyjaciółką. Bo po co? Chłopiec był martwy i nic więcej się nie liczyło. To ona była mordercą. Czy nieznamy instynktownie nie przypisał jej tej roli?

— Nie masz pojęcia, do jakiego stopnia zmieniła się Viva — powiedziała Victoire.

— Właśnie mam i to mnie najbardziej martwi. Victoire zapaliła nowego papierosa, a jej poślizgi od tytoniu palce drżały.

— Powinnaś się strzec, Jeanne.

— Co ty mówisz?

— Powinnaś się strzec Vivy. Pewnie nie mam racji, mówiąc ci to. Moim obowiązkiem jest przede wszystkim chronienie córki. Ale widzisz, od tego momentu kiedy... od tego nieszczęścia, Viva mnie przeraża. Nie poznaję jej.

— Uspokój się.

— Wbiła sobie do głowy, że musi się zemścić i pomścić Mathieu.

— Powiedziała ci to?

— Nie, ja to czuję. Zbyt ciebie kochała, aby cię teraz nie nienawidzić.

Z biegiem lat twarz Victoire niepostrzeżenie pęczniała wzdłuż oczu, ku brodzie, a ten nadmiar ciała powodował powstanie fałdek wokół ust, które niedługo już uwydatnią jej policzki obwisłe niczym skóra setera.

Victoire pozwoliła, by tkwiący w jej drżących palcach papieros dopalił się aż do filtra, i gdy wreszcie pozbyła się niedopałka, ścisnęła nerwowo dłoń Jeanne.

— Mówię poważnie — powiedziała, patrząc na nią swoimi oczami krótkowidza. — Viva stała się nie tylko obca. Stała się wroga. Zawsze zarzucała mi, że nie potrafiłam zatrzymać jej ojca. Przez lata marzyła o normalnej rodzinie. Normalnej rodzinie! Czy w ogóle coś takiego istnieje? Żadna z jej przyjaciółek nie żyje w czymś, co można byłoby nazwać normalną rodziną.

W czasie ich długiej przyjaźni Victoire często przytrzymywała w ten sposób ręce Jeanne. Często zatapiała w jej oczach spojrzenie bardziej bezwstydne i naiwniejsze zarazem niż spojrzenie dziecka przyglądającego się zanadto z bliska dorosłym. Mówiła wtedy o kochanku, który się wycofał, o miłości, która się wykruszyła ziarno po ziarnku, o samotności, której zaletami owijają się zazwyczaj pożegnalny bukiet.

Jeanne za wszelką cenę musiała znajdować odpowiednie słowa, by ją wesprzeć. By przedłużyć nadzieję poza granice rozsądku. Najważniejsze było zrobić to szybko. Ludziom zaatakowanym przez chorobę wysokościową w górach natychmiast przykładano do ust maski tlenowe. Victoire chłoneła każde zdanie, każdą pociechę, a jej ręce powoli się rozluźniały. Gdy zaczynała grzebać w jednej ze swych wielkich toreb, w których w nieskończoność mnożyły się kalendarzyki, wizytówki i błyszczące długopisy, i gdy już udawało jej się — choć nie bez trudu — wydobyć niezbędną puderniczkę z laki z Coromandel, Jeanne wiedziała, że kryzys minął i że już wkrótce przyjaciółka będzie mogła oddychać bez pomocy. Victoire pudrowała sobie czoło i czubek nosa. Znowu była gotowa do akcji.

Dziś palce Victoire nie rozluźniały uścisku. Jak ręce rozbitka chwytającego się burty tonącego statku, coraz mocniej i mocniej wczepiały się w Jeanne.

— Prawdziwa rodzina. I ona myśli, że coś takiego znalazła. Wiesz, na kogo się zdecydowała?

— A niby skąd mam wiedzieć? Od miesięcy nie odezwała się do mnie słowem.

— Ojciec i matka Mathieu są w tej chwili jej prawdziwą rodziną. Chodzi do nich codziennie. Czasem nawet nie wraca na noc do domu.

— Operowałam panią Lorin i przy tej okazji poznałam i jej męża. Viva jest w dobrych rękach. Strata Mathieu zbliżyła ich do siebie. Cóż bardziej normalnego?

— Zbliżyła ich nienawiść. Uratowałam matkę. Ale dla nich liczy się tylko to, że zabiłaś syna. Tylko Viva mogła im uświadomić, dlaczego Mathieu popełnił samobójstwo.

— Nikt tego naprawdę nie wie.

— To jeszcze jeden powód, by wskazać winnego. Oni się zemszczą, Jeanne.

— Musisz czuwać nad Viva. Potrzebuje cię bardziej niż kiedykolwiek. Ale dlaczego, u diabła, niepokoisz się o mnie?

Ręce Victoire wciąż kurczowo ścisnęły dłonie Jeanne, lecz ucisk był jakby mniej konwulsyjny.

— Co chcesz zrobić, Jeanne?

— Żyć dalej.

— Tak jak dotąd?

— Oczywiście, że tak jak dotąd. Chciałabyś, żebym odprawiła pokutę, tak jak dawniej kobieta zaczynała żyć jak skromnisia, od chwili kiedy przestała się podobać? Dalej będę leczyć, kochać, żyć. To proste.

— Więc śmierć Mathieu nic nie zmieni?

— Nienawidzę śmierci. Kiedy nie uda się jakaś operacja, nawet gdy sekcja zwłok jest bardzo pouczająca, nie widzę w śmierci nic użytecznego.

— Śmierć Mathieu to sygnał alarmowy.

Jeanne przypomniała sobie w tym momencie zapach perfum, który François de Remiremont stworzył dla niej i po raz pierwszy pozwolił zabrać ze sobą. Nie otworzyła jeszcze flakonu, jakby obawiała się jego fatalnego odparowania. Jeanne poczuła nagle ochotę, by sprawdzić, czy znajduje się on jeszcze w jej torbie, ale przeszkodziła jej Victoire, która ponownie uwięziła jej ręce.

— Znasz mnie dostatecznie dobrze, by wiedzieć, że się nie zmienię. — Jej oczy dążyły wprost ku prawdzie. Dodała: — Uznaję tylko rozmowę, twarzą w twarz, oko w oko. Gwałcić ciało i duszę tego drugiego. Ale jest jeszcze tyle rozmów do prowadzenia...

— Jeanne, przecież to absurd. Zawsze będzie więcej mężczyzn, których nie poznałaś, niż tych, których kochałaś.

— Tym gorzej. Albo tym lepiej. Wiedzieć, że istnieją, to już prawdziwa przyjemność. Są moimi dniami, moimi nocami.

Czasem ich spotykam. Czasem mi towarzyszą, sami o tym nie wiedząc. Zbyt lubię ich zapach, Victoire. Czy wiesz, że łatwiej zapominam ich nazwiska niż ich zapachy?

Większość z nich uniknęła jej pożądania. Trzeba by było tylu innych egzystencji, by zakosztować wszystkich rodzajów szczęścia. Czyż w naszym rozszerzającym się świecie niewyczerpana żądza nie popycha nas niczym mgławice ku nieskończoności? Potrzeba nam właśnie nieśmiertelności. Ale nieśmiertelności ciał. Ma ona barwy fresku mistrza Tiepolo. Niech spirala ciała pręży się bez końca!

— Nie. Nigdy się nie zmienię — powtarzała Jeanne.

— Wiem — odpowiedziała Victoire, która się wreszcie uśmiechnęła

Puściła ręce Jeanne i z zaaferowaną miną zaczęła grzebać w torbie. Gdy wydobyła z niej puderniczkę z laki z Coromandel, Jeanne zrozumiała, że raz jeszcze udało jej się uspokoić przyjaciółkę.

Jaka piękna była pogoda! Od kiedy? Jeanne nagle odniosła wrażenie, że pozbawiono ją części jej życia. Było pięknie, było pięknie, być może, od wielu godzin, a ona o tym nie wiedziała. W sali operacyjnej słońce, burze, wielkie kataklizmy i tęcze są zjawiskami organicznymi, i, tak jak w strefie równikowej, światło długo pada pionowo. W podziemiach szpitala przez cały poranek nie widziała nieba, a później na długie godziny zamknęła się z Victoire w głębi tego bistra, w drzeniu zimnych neonów. Jak to było możliwe, że nikt jej nie zawiadomił o nadejściu wiosny?

Po wyjściu z bistra złapała dla przyjaciółki taksówkę. Victoire, nawet mrużąc oczy jak żółw, była całkowicie niezdolna do odróżnienia taksówki wolnej od zajętej. Po ostatnim „do widzenia”, gdy znalazła się sama pośrodku ulicy, poczuła nagły przyływy niewytłumaczalnej radości. Czasami po przebudzeniu wstępuje w nas ta bezsensowna euforia i trzeba dobrej chwili namysłu, by odnaleźć jej przyczynę. Jeanne nie miała czasu się zastanawiać. Zresztą, co ją obchodziły przyczyny tej radości. W im bardziej nieoczekiwany sposób się pojawiała, tym była silniejsza i tym więcej było w niej rozkoszy. Wiosna otuliła ją od stóp do głów. Poczowała wtedy, jak mocną nicią wiążącą jej życie w całość, ale dość delikatną, by nigdy jej nie krępować, była jej przeszłość. Dawniej, w oknie swego pokoju w Lyonie oczekiwała z całą siłą marzeń nadejścia miłości i mężczyzn. Dziś już wiedziała, że jej ciało nigdy nie zagna ograniczeń.

Zobaczyła go z daleka, gdy zbliżał się pod arkadami szpitala. Szedł bez pośpiechu, poruszając rękami w rytm kroków. Gdy przechodził ze

światła dziedzińca w cień filarów, jego jasne włosy rozbłyskiwały na chwilę, wkrótce zaś tonęły w ciemności jak girlandy żarówek obramowujących swym migotaniem taneczny parkiet. Może dlatego z taką uwagą obserwowała jego nadejście? Nie, nie tylko z powodu jego zbyt bladych włosów. Ten człowiek wydawał się całkiem obcy w miejscu, w którym się znalazł. Nonszalancja jego kroków w połączeniu z rytmicznym ruchem ud nie miała nic wspólnego ze zwykłym pośpiechem laborantów, pielęgniarek ani odwiedzających. Tymczasem, i to jeszcze zanim mogła rozróżnić rysy jego twarzy, obcy wzbudził w niej jedno z tych głębokich odczuć, jakie może wywołać tylko wspomnienie lub złudzenie. Było to jak jedna z tych melodii, które wywołują tak mocne poruszenie, że wydaje się, iż odegrały wielką rolę w poprzednim życiu. Jak inaczej wytłumaczyć ten rozkoszny szloch, wzbierający w głosie Alfreda pod koniec pierwszego aktu „Traviaty”?

Tej miłości, która biła z całego wszechświata, Tajemniczy ołtarz, Krzyż i słodycz w sercu.

Niepowstrzymany szloch, gdy Violetta odpowiada, próbując odepchnąć tę miłość, która ogarnia ją wbrew niej samej:

Jak zawsze wolna,

Chcę przelatywać od jednej do drugiej radości

Chcę, by me życie upłynęło na ścieżkach przyjemności.

Wkrótce Violetta zostanie pokonana i po raz ostatni krzyknie, la ultima:

Jak zawsze wolna,

Chcę przelatywać od jednej do drugiej radości

Chcę, by me życie upłynęło na ścieżkach przyjemności.

Szaleństwa!

Rozkoszy!

Rozkosz, rozkosz! Rozkosz aż do szaleństwa, rozkosz aż do śmiertelnego spazmu. To muzyka wiecznej pamięci i śpiew, który wybucha wewnątrz siebie, zbyt obcy i zbyt własny. Jestem śpiewaczką i jestem śpiewem. Od zawsze. Na zawsze. Wolna chcę... rozkoszy, rozkoszy! Skąd to wzburzenie? Skąd ten śpiew i skąd ten człowiek, zbyt obcy i zbyt własny? Z pewnością są piękniejsi. Dlaczego właśnie ten? Może dlatego, że tak go kochałam w poprzednim życiu, które wcale nie jest tylko snem. Kochałam go tak, że do dziś czuję tchnienie jego namiętności.

Jeanne przystanęła, by mu się lepiej przyjrzeć. Gdy był o parę metrów od niej, powiedziała: Dziękuję. Po prostu dziękuję. Znajdował się

właśnie ukryty w półcieniu filaru i Jeanne, którą oślepiły nagle promienie słońca, poczuła ochotę, by się odwrócić i sprawdzić, do kogo to dziękuję może być skierowane. Ale gdy znów znalazł się w świetle, zobaczyła, że oczy nieznanego patrzą wprost na nią i że to dziękuję, które teraz powtarzał, było przeznaczone dla niej. Zdziwienie nie pozwoliło jej odpowiedzieć natychmiast. Spojrzenie mężczyzny było proste i jasne, tak jak to sobie wymarzyła, ale to jego dziękuję było tak nieoczekiwane, że Jeanne powstrzymała swój naturalny impet. Dlaczego ją tak zaczepiał? Sekundę później to ona bez ostrzeżenia weszłaby w jego życie. Jeanne nie lubiła, kiedy ją wyprzedzano.

— Nie rozumiem — powiedziała tonem wymuszonej obojętności.

— Jestem idiotą — wykrzyknął śmiejąc się i uderzył się w czoło zaciśniętą pięścią. — To normalne, że nie rozumie pani idioty. Jednak proszę pozwolić idiotcie się przedstawić: Niels Morgensen, którego idiotyzm, dzięki pani trosce, może być żywy do dziś!

Niels Morgensen, Niels Morgensen! Ten blond olbrzym z figlarnym spojrzeniem był Nielsem Morgensenem, człowiekiem, któremu kiedyś całymi dniami próbowała zaszczepić nadzieję. Nie chciał uwierzyć w powodzenie operacji. Ze skamieniałą twarzą i spojrzeniem zmokniętego psa oczekiwał wtedy śmierci z cichą rezygnacją. Na nocnym stoliku położył sztylet i nawet zadał sobie trud zawinięcia jego ostrza w wielką kraciatą chustę. Jeśli pielęgniarka przez nieuwagę go przesunęła, on, który nigdy się nie skarżył, rzucił się, wydając coś w rodzaju głuchego jęku. Sztylet towarzyszył mu od dzieciństwa, a na rękojeści wyryte było jego imię. Nigdy nie będę mógł łowić ryb ani polować. Po co żyć? powtarzał z oczyma utkwionymi w sztylcie. W Norwegii, wyznał Jeanne w przededniu operacji, ten, kto nie ma już siły utrzymać swej broni w ręku, kładzie się, by umrzeć. To proste, prawda?

Jej rozmówca, zarazem nieśmiały i zuchwały, nalegał:

— Pani sobie mnie nie przypomina, nieprawdaż? To normalne, to już prawie trzy lata.

Sposób, w jaki się przedstawił, skłonił Jeanne do uśmiechu, ale nic nie odpowiedziała. Zadowolona się oglądaniem go od stóp do głowy, na co potrzeba było, biorąc pod uwagę jego posturę, dość dużo czasu. Czyż nie padła ofiarą złudzenia? Czy ten olbrzymi chłop naprawdę nosił od piersi do pępka jej znak? Czy wyryła swój podpis na tym ciele, które wyglądało tak, jakby nigdy przedtem nie groziła mu śmierć?

— Proszę popatrzeć — powiedział jeszcze, odsuwając zamek kurtki.

— Znów mogę się nim posługiwać.

Na końcu łańcuszka ukazał się myśliwski nóż. Wziął go do ręki, po czym z powrotem włożył do pochwy i zasunął zapięcie kurtki.

— Jest tak jak przedtem. Lepiej niż przedtem.

Jeanne wciąż milczała. Nie pierwszy raz składano jej podziękowania, mogłaby sobie cały pokój wytapetować laurkami. W takich wypadkach odpowiadała, jak należało: wykonuję tylko mój zawód. Czasem zdarzało się, że dorzucała jeszcze: pacjent wykonuje połowę pracy, a pan mi dużo pomógł. Tym razem nie miała ochoty bawić się w skromność. Podziwiała swe dzieło z zachwytem. Wyrzeźbiła go własnymi rękami. Wystarczyło rozedrzeć jego koszulę, by odkryć na torsie jej podpis. Czy nie było czym się chwalić? Przed czym należało padać na kolana, jeśli nie przed jej dziełem? Nie mówiąc ani słowa, Jeanne przeszła kilka metrów, jakie ich dzieliły, i wzięwszy dłoń, która przed chwilą wydobyła sztylet, odwróciła ją, by odkryć jej wnętrze.

— Umie pani także wróżyć z ręki? — spytał, jakby próbując ukryć zmieszanie.

Nie odpowiedziała. Jej oczy, choć trudno było sobie je wyobrazić spuszczone, przyglądały się z uwagą dłoni, której palce zręcznie rozchyliła.

— Linia życia? Interesuje panią linia życia? — spytał z wymuszonym uśmiechem, jakim zwykle bronimy się przed wzruszeniem.

Nadal nie odpowiadając, uniosła rękę Nielsa ku ustom i ucałowała wnętrze dłoni. Była to wielka ręka, na której jej broda mogłaby się oprzeć jak na krawędzi basenu. Wyczuła skurcz w nadgarstku mężczyzny. Z pewnością z zaskoczenia. Może próbował się uwolnić. Może jego spłoszone oczy przebiegały cały dziedziniec? Może obawiał się, że ktoś ich zobaczy. Może lękał się, że w tym miejscu, gdzie wszyscy znają doktor Marsilly, ten pocałunek mógłby zaszkodzić reputacji młodej kobiety. Nadgarstek zadrżał, ale ręka nie podporządkowała się pierwszemu odruchowi. Ufna, pozwalala wargom Jeanne pić swą zawartość. Gdy Jeanne uniosła ku niemu oczy, jeszcze raz powiedział dziękuję, by przełamać ciszę.

— Proszę nic nie mówić — wyszeptała. — To ja panu dziękuję.

— Ale to pani mnie uzdrowiła.

— Właśnie.

Czy posąg dziękuje rzeźbiarzowi? Czy postać sceniczna dziękuje dramaturgowi? Portret malarzowi? Symfonia muzykowi? Czy nie wystarczyło Jeanne, że mogła podziwiać swe dzieło? Był życiem, życiem, które mu dała.

— Chcę pana znowu zobaczyć — powiedziała.

— Tak — pospieszył z odpowiedzią, jakby z rozpędu próbował odrobić stracony czas. Później jakby się wahał. Przenosił ciężar swego wielkiego ciała z jednej nogi na drugą. Czy onieśmiało go zdecydowanie Jeanne? Czy też próbował zrozumieć znaczenie tego spotkania? Kogo ono dotyczyło? Dawnego pacjenta czy mężczyzny, którym stał się znowu?

— Kiedy? — spytała.

— Nie przyjechałem tu na długo. Pojutrze muszę wrócić do mojej firmy na Morzu Północnym.

Jeanne przypomniała sobie, że Niels Morgensen był przypadkiem szczególnym. Jak złota rybka z bajki, długo żył pod wodą.

— Wrócił pan do pracy?

— Tak.

— Jak dawniej?

— Prawie.

— Nurkuje pan?

W jego bladych oczach nie widać już było zażenowania. Smutek odbarwił je nagle, a rysy się ściągnęły. Mężczyzna musiał dobić pięćdziesiątki, ale jego włosy, sylwetka, krok i spontaniczność pasowałyby do młodzieńca.

— Czasem jeszcze nurkuję. Oczywiście nie tak długo jak kiedyś.

Zrobił pauzę i dorzucił z wysiłkiem:

— Tak naprawdę, zabroniono mi tego. Większość czasu spędzam na platformie i utrzymuję łączność z tymi, którzy są pod wodą. Przekazuję im polecenia, wiadomości od rodzin. Opowiadam o kolorze nieba, o przelotach ptaków. A oni mówią mi o tym, czego już nie zobaczę.

Znów się uśmiechnął i ten uśmiech miał większą wartość niż wszelkie podziękowania, bo wyrwany został śmierci. Trzeba było drapać i drapać, by usunąć wszystko to, co mogłoby na dłuższą metę go przysłonić, tak jak oczyszcza się ścianę, na której ma się ukazać oryginalny fresk. Ale teraz był tu, a ona nie pozwoli mu uciec. Ten uśmiech należał do niej. Był jej dumą i wynagrodzeniem.

— Więc zobaczymy się jutro. Zgadza się pan na jutro?

— Tak.

— Wczesnym popołudniem?

Wyjęła z torebki długopis i znów ujęła rękę Nielsa Morgensena.

— Znowu! — wykrzyknęła, ale tym razem pozwolił jej na to bez wahania.

Ręka mężczyzny wyglądała jak kawałek kararyjskiego marmuru z niebieskim żyłkowaniem, a na jego dłoni pismo Jeanne odznaczało się wyraźnie.

— To talizman — powiedziała. — Musi mi pan obiecać, że zachowa go pan przez co najmniej dwadzieścia cztery godziny.

— Przysięgnęłbym chętnie, gdybym nie był niedowiarkiem.

— Czekam na pana pod tym adresem jutro o trzeciej. Zamknęła dłoń Nielsa, zanim zdążył nawet odczytać, co napisała.

— Będę tam — powiedział.

Przypomnienie sobie adresu tego ogrodu nie wymagało od niej żadnego wysiłku. Mimo że nie była tam od jakichś dwunastu lat, a może i dłużej. Dlaczego wybrała ten odległy ogród? Dlaczego nie bistro, taras, jakąś ławkę u stóp pomnika? I wreszcie, czy naprawdę wybrała? Ani mężczyzny, ani miejsca. Jedno i drugie narzuciło jej się jak głód i pragnienie, jak wiosna i światło.

Nigdy dotąd nie umawiała się w tym ogrodzie. Miejsce było dziewicze i złota rybka jako pierwsza zabłyśnie tu swoją łuską i ostrzem sztyletu. Przyjdzie przed nim. Będzie miała czas czatować na niego. Czas oczekiwania w zasadzce jest najlepszy. Jeanne nie znosiła tego rodzaju kokieterii, która w podobnych przypadkach nakazuje kobiecie obowiązkowe spóźnienie i, rozpalając do białości pragnienia mężczyzny, jego nadzieje i niepokój, sprowadza oczekującego do pozycji dworaka. Trzeba nie wiedzieć nic o przyjemności, by przedkładać konwencje nad szczęście oczekiwania. Wiedzieć, że ten drugi przyjdzie, czyż nie znaczy to już posiąść go bez jego wiedzy? Kto będzie świętować: rozleniwiona dorada czy rybak zastawiający sieci? Czyż nie ma radości w wyznaczaniu miejsca, nawet zanim ten drugi się pojawi? Czy aktor nie krąży już po kulisach, kiedy widzowie nie włożyli jeszcze płaszczy przed wyjściem do teatru?

Jeanne przybyła na spotkanie na długo przed wyznaczoną godziną. Otoczenie się nie zmieniło, a przynajmniej nie zauważyła tego. Ogród, tak różny w każdej sekundzie i porze roku, stwarza jednak wrażenie trwałości, gdy się go nie widziało przez długie lata. A to życie trwa, tworzenie, które się odnawia i przedłuża.

Dawniej mieszkała na tym bliskim przedmieściu i parę razy w tygodniu przychodziła tu pospacerować, pomarzyć lub uczyć się. Było to już po wyjeździe męża. Czasem dostawała od niego listy z dalekich krajów i otwierała je siedząc na ławce. W zależności od miejsca, z

którego wysłano przesyłkę, czytała ją w japońskim ogródku, wśród cedrów lub w palmiarni. Bo ogród ten, tak jak listy Philippe'a, przekraczał granice. Była to skomponowana na początku wieku przez bankiera-poetę mozaika krajobrazów. Sprawił on, że roślinność pięła się w górę w ten sam sposób jak w średniowieczu ku chwale Boga wznoszono kolumny, nawy i ołtarze. Wierzył w powszechne braterstwo, pojednanie ludów i Ligę Narodów. Pokój był dla niego wyłącznie sprawą dobrej woli i cierpliwości. Wkrótce Ziemia stanie się ogrodem, w którym ludzie i drzewa żyć będą w harmonii. Od zaprojektowanego przez wysłanników cesarza ogródka zen po lasy Wogezów zapamiętane z dzieciństwa — bankier umiał przenieść do swojego skarbcza dobre uczucia, rzadkie gatunki i wszystko to, co na pięciu kontynentach miało liście i kwiaty. Ta botaniczna wybujałość na obrzeżach miasta, ten cud chlorofilu nad brzegiem Sekwany, zatkaney jak ściek wszelkiego rodzaju plugastwem Paryża, był zaiste zaskakujący. Bankier widział, jak w kolejnych dziejowych burzach topnieje jego fortuna, a wraz z nią ideał pokoju, i pozostawił w spadku pociętemu przez autostrady przedmieścia wyspę zieleni, subtelną jak utopia.

Niels wszedł przez główną bramę, bo Jeanne właśnie ten adres zapisała mu na dłoni: 9, quai du 4 Septembre. Oczekiwała go w niebieskim lesie pod olbrzymimi tygrysimi cedrami, obok których czerwieniły się pędy masywu rododendronów. Patrzyła na niego z ukrycia. Od kiedy przekroczył kamienny próg, Jeanne nie spuszczała go z oka. Zauważyła jego zdziwienie. Zawahał się przez chwilę. Jego oczy powoli przyzwyczajają się do niebieskiego światła przesączającego się przez gałęzie cedrów z Atlasu. Złota rybka miała sobie przypomnieć jasność płynącą z wód, w których tak lubiła baraszkować. Jeanne pozwoli mu podejść do siebie, a gdy będzie już tylko o parę metrów od niej, złapie go pewnym ruchem na haczyk. Podglądaczka wynurzy się z krzaków i zderzy się z jego piersią. Mówiąc dzień dobry, będzie mogła koniuszkami palców dotknąć przez koszulę długiej szramy jego blizny. Stanie tak blisko, że ledwie będzie mogła na niego patrzeć. Dlatego w pewnym momencie zrobi krok do tyłu, by móc znów na niego spojrzeć. Zaopatrzyła się nawet w przybory rysunkowe i kilka kartek papieru Canson. Pod pretekstem uwieczniania rysów Nielsa zapewni sobie możliwość oglądania go do woli. Jeanne przewidziała wszystko.

Jednak gdy go zobaczyła, wcześniejsze przewidywania wydały jej się śmieszne. Ten wielki jasnowłosy mężczyzna był właśnie tym, na którego

czekała. Dlaczego więc aż podskoczyła na jego widok? Dlaczego się cofała? Dlaczego próbowała schować się za krzakiem?

Niels Morgensen nie był sam. Przewidziała wszystko oprócz tego. Olbrzymowi towarzyszyła mała dziewczynka o włosach równie jasnych jak jego. Dziecko wspinało się na czubki palców i starało się wyciągnąć rączkę jak najwyżej, by przytrzymać rękę mężczyzny, do którego przyczepiło się ze wszystkich sił. Twarz dziewczynki wzniesiona była ku Nielsowi, którego ani na moment nie spuszczała z oczu. Przewyciężając rozczarowanie, Jeanne ruszyła na ich spotkanie.

— Nazywa się Marie. To moja córka — powiedział.

— Domyśliłam się, jesteście bardzo podobni — odpowiedziała.

Wychudzona jak chart dziewczynka dreptała u boku mężczyzny i nie zwracała uwagi na Jeanne. Za to Niels uparł się dokonać prezentacji, która była zupełnie bez znaczenia dla obu stron.

— Jutro wyjeżdżam i zależało mi na tym, by była ze mną do ostatniej chwili — uznał za stosowne sprecyzować.

— Naturalnie — potwierdziła Jeanne. — Wyjeżdża pan na długo?

— Tak. Na długo. Po stoczni pojadę na wakacje do rodziny w Norwegii i tam znów spotkamy się z Marie.

Charcik okazał swą radość trzema małymi podskokami i zaczął pocierać wąski pyszczek o nogę swego pana. Patrząc na to, Jeanne pogratulowała sobie w duchu, że umie grzeszyć, nie poczuwając się przy tym do obowiązku dostarczania Bogu dodatkowych dusz. Ale czy charty mają duszę?

— Gdzie jesteście? — spytał charcik, który oprócz duszy miał dwoje wielkich, okrągłych jak kule oczu, o błękitnie płynnym i przezroczystym, przekazanym przez genodawcę. (Piękny charcik, naprawdę, tak lękliwy i drżący, że Jeanne, mimo swych uprzedzeń, poczuła ochotę pogłaskać go po kręgosłupie. Małe zwierzątko jakby zgadzało się na oswojenie, ale rzucało na ojca błagalne spojrzenia).

Jeanne twierdziła, że ten ogród — krzaki, oczka wodne, kępy drzew i trawniki — jest rodzajem arki Noego dla roślin. Dziecko podskakiwało wokół Nielsa i Jeanne, owijając dla zabawy wokół palców długi łańcuch przyczepiony do jej pasa. Ojciec przymocuje do niego w przyszłości sztylet podobny do własnego. W ten właśnie sposób Niels otrzymał swoją broń od ojca, który z kolei otrzymał ją od swego ojca. Od pokoleń życie i sztylet przekazywano złączone. Nawet gdy ojciec Nielsa opuścił swój kraj, by ożenić się z Bretonką, tradycja nie zaginęła. Marie będzie mieszkać w Paryżu ze swoją matką, ale będzie nosić godło swego ojca.

Jeanne czuła w każdym słowie, każdym geście, każdym spojrzeniu więź krwi, jaka łączyła mężczyznę i dziecko. Jednak niezależnie od tej zażyłości odgadywała, że mężczyzna chroni się za swoją córką. Ze strachu przed spotkaniem z Jeanne w walce sam na sam wysunął do przodu Marie. Postawa ta zamiast ukrywać wrażliwość na ciosy, w rzeczywistości tylko ją obnażała i Jeanne uważała ją za bardziej podniecającą niż wszelkie demonstracje siły. Z pewnością będzie zdobywać tę nową cytadelę w ciężkiej walce. Wiedziała już, że twierdza w końcu padnie i przyrzekała sobie, że będzie dzielna. Zbyt szybko zdobyte miłości często najbardziej rozczarowują.

Mała Marie puściła już rękę ojca, przedkładając nad nią wagoniki w ogródku dla dzieci. Gdy Niels i Jeanne zostali sami, nadszedł moment upojenia i ciszy. Przytuleni, zanurzyli się w miniaturowym lesie z Wogezów. Przez młode gałązki świerków przesączało się nierealne złote światło. Można by rzec: orszak bożonarodzeniowych choinek rozświetlony nagle blaskiem wiosny. Jeanne rozgryzła ledwie narodzony listek leszczyny. Suche gałązki nie smakowały jej, potrzebowała żywego ciała rośliny. Lubiła czuć na języku goryczkę bukszpanu, kwaskowatość szczawiu lub cytryny. Ale tu, w tym lasku w środku miasta, zapachy soków i przyspieszone mrowienie życia w konarach, gałęziach i pączkach było tak natarcywe, że Niels i Jeanne ledwie odważali się na siebie spojrzeć. Bezwstyd natury obnażył ich pragnienia. Tak jak we wnętrzu magicznego kręgu, wytyczonego przez Francois de Remiremont wokół jego domu, szczeliny ziemi szcudrze oddawały swe soki pod czarnymi austriackimi świerkami i dębami bankiera-poety.

Dawniej, w tych miejscach Jeanne miała ochotę krzyczeć kocham całemu światu. Ale z obawy przed zredukowaniem całego świata tylko do jednego jego reprezentanta, zawsze powstrzymywała się przed zaproszeniem mężczyzny, by jej towarzyszył pod gałęziami. Na tej samej ławce, na której szydełkowały teraz dwie starsze panie, czytała kiedyś listy od męża. W tamtych czasach ich niespełniona miłość wciąż odżywała z czułością i bólem. Dlaczego dziś człowiek, którego nie знаła, cudzoziemiec, siedł u jej boku? Dlaczego sprzeniewierzyła się wspomnieniom przeszłości?

Spojrzała na Nielsa. Był więcej niż piękny. Był jej dziełem. Czy był obcy? Ojciec Norweg, matka Bretonka, pochodzenie wypisane na ostrzu sztyletu na ziemiach północy, złote łuski — wszystko to nie czyniło go obcym. Czy nie ugniatała swymi własnymi rękoma jego bijącego serca, serca nieruchomego i znów bijącego? Czy nie widziała, jak wytryska

jego krew i marnieje pod albuplastem jego uspiiony członek? Czy nie podróżowała wewnątrz jego ciała od mięśni do ścięgien, od żył do arterii? Jej oczy i jej ręce przewidziały dokładnie miejsca, w których każda linia, każda krzywizna, każda masa musi się pojawić. Jak rzeźbiarz ocenia, na jaką głębokość powinien drażyć kamień, by wynurzyła się z niego płaskorzeźba, ona umiała ocenić elastyczność tkanek i wrażliwość ciała. Raz siłą, raz łagodnością wyryła na nim swoje imię. Ukształtowała Nielsa w formach życia.

Nie był jednak pierwszym, któremu przywróciła szansę, a jej gabinet zapchany był prezentami od dawnych pacjentów. Ale Niels Morgensen bardziej niż ktokolwiek zmienił się wskutek jej starań. Tylko bardzo wprawne oko wykryłoby u tego olbrzyma ślad, jaki musiała pozostawić na nim śmierć, ocierając się o niego tak blisko. Jeanne płonęła z ochoty, by rozpiąć koszulę Nielsa i sprawdzić, czy jakieś czary nie zatartyły długiej blizny na jego torsie. Ale jakieś odrętwienie nie pozwalało jej na najmniejszy gest i w tym zagajniku pachnącym żywicą i lepkiemi pączkami żadne z nich nie odważyło się przyznać do tego, co ich łączy, a zarazem przeszkadza pierwszemu dotknięciu.

Niels powiedział, że matka Marie opuściła go przed czterema laty, nie mogąc znieść jego długich wyjazdów. Od ciągłego czekania wołała zerwanie. Uważała, że małżeństwo przerywane nie jest małżeństwem. Gdyby nie potrzeba zachowania rezerwy, jaką narzuciła sobie Jeanne, z ochotą nazwałaby była żonę Nielsa idiotką. Jak ta kobieta mogła nie wiedzieć, że nieobecność podsycza marzenia, że niepokój, oczekiwanie i nadzieja nie pozwalają miłości osłabnąć, że mało kto potrafi się oprzeć nadmiarowi?

— Poczekam na pana powrót — powiedziała Jeanne.

Te słowa jej się wymknęły, ale nie żałowała ich. Po raz pierwszy nie miała ochoty się śpieszyć. Długi okres separacji niemal nie wydawał jej się jakakolwiek próbą. A jeśli w tym prawie dobrowolnym odsuwaniu chwili poznania kryje się jeszcze większa przyjemność? A jeśli jeszcze rozkoszniej byłoby tysiąckrotnie odbywać w myślach tę podróż, z której w rzeczywistości trzeba będzie powrócić? A jeśli istnieje pewnego rodzaju równowaga między wyobraźnią a zmysłami i obciążenie jednej szali automatycznie unosi drugą? Tęsknota za nieobecnym jest przygotowaniem triumfu, którego lwią część stanowi rozkosz.

Teraz pragnęła jego wyjazdu, jakby sama jego obecność przeszkadzała jej myśleć o nim. Gdy znajdzie się już tam, w bladym, padającym niemal poziomo świetle polarnych białych nocy, ona wreszcie będzie mogła do

woli upajać się jego obrazem. Gdyby nawet zapragnął nagle poświęcić dla niej swoje plany, szybko by mu to wyperswadowała. Powinien się oddalić, by tym wyraźniej mogły się pojawić rozłąka i przeszkody, których potrzebowała ich miłość.

— Będę na pana czekała — powiedziała — a po pana przyjeździe urządzimy moje urodziny.

Stali twarzą w twarz i oczy Nielsa zmieniły się w wąskie, poziome szparki. Niewiele brakowało, a cofnąłby się przed tą kobietą o włosach oślepiających niczym płonąca salwa. Podniecona zakłopotaniem Nielsa jak rekin świeżą krwią, zapragnęła zawładnąć nim, nie czekając ani chwili dłużej. Powróciło nagle stare przyzwyczajenie, by podporządkować sobie tego olbrzyma, w całości wydać go na pastwę pożądania. Widzieć, jak się napręża i jak się zatracza. Czuć, jak przy niej drży i wpić się w jego ciało. Słyszeć, jak wzdycha, bełkocze i wreszcie jęczy, głębokim wewnętrznym głosem, przechodzącym nagle od charkotu do krzyku.

Przyciskał ją już do piersi. Serce, które kiedyś trzymała w obciążonych chirurgicznymi rękawicami dłoniach, przyspieszyło swój rytm, tak jakby znów zaczęło słuchać jej rozkazów. Było tysiące sposobów, by osiąść tego mężczyznę, a ona wyczerpie je jeden po drugim. Czyż nie wystarczyłoby wtulić się w bok złotej rybki i oddychać do utraty tchu kwaśno-słodkim zapachem rybiego mleczka? Jak ciepła była jego skóra jak na morskie zwierzę! Tak łatwo byłoby utracić z nim grunt pod stopami. Wystarczyłoby puścić się z prądem, a ruchy ich nabrałyby od razu wspólnego rytmu. A jednak Jeanne delikatnie odepchnęła Nielsa.

— Chodźmy — powiedziała. — Pokażę panu ogródek zen. W tym ogródku Niels nie potrzebował sztyletu. Nie ma nic bardziej ucywilizowanego, sztucznego i bardziej przemyślanego niż te ogrody, w których roślinność wydaje się skazana na banicję. A zresztą Niels, tak jak i Jeanne, nie miał prawa tam wejść. Było to miejsce zakazane, które gwałci się tylko spojrzeniem. W dodatku można je podziwiać tylko z jednego miejsca, wskazanego przez autora zgodnie z nauką przodków, której binarny język opiera się na przeciwstawieniu suchego i mokrego.

Kamienie, piasek, skały, wątle krzaczki i wysadzone kamiennymi płytami skarpy są częścią kosmicznej architektury, która rządzi się ściśle określonymi prawami. Ale poza tą uczoną konstrukcją każdy musi mieć prawo połączyć swą wyobraźnię i duszę z potokiem kamieni i suchym wodospadem, by stworzyć z tego swój własny pejzaż. Jest to tylko

dekoracja, w którą można wpisać wszystko. W ogródku zen łączą się w misternym splocie wszystkie pory roku, wszystkie marzenia i cała natura.

— Proszę tam usiąść — powiedziała Jeanne, jakby w tym ucywilizowanym miejscu stała się nagle panią domu. — Chciałabym narysować pana na tle tego ogrodu. Nie ma pan nic przeciwko temu, prawda?

Spróbował przeciwstawić się woli Jeanne. Przykuła go już kiedyś do stołu operacyjnego, dlatego chciała go teraz przyszpilić jak owada do tego krajobrazu, którego znaczenie nie rozumiał?

— Jestem dzikusiem — powiedział — znam tylko lasy na końcu świata i na dnie morza.

— Ja pana proszę — upierała się. - Wkrótce pan będzie daleko, a chcę zatrzymać dla siebie pana wizerunek.

— Ależ ja nie jestem martwy, a pani nie jest w tym wieku, by nosić wraz z żałobą medalion wokół szyi.

— Żałuję tylko żywych, a i to bardzo rzadko - odpowiedziała. — No, zaczynamy, proszę mi wierzyć, to znacznie mniej bolesne niż to, co już panu zrobiłam.

— Nie jestem taki pewien. Tym bardziej, że tym razem mnie pani nie uśpi.

— Wcale nie mam takiego zamiaru. Wolę pana rozbudzonego, Nielsie Morgensen.

Ten z pewnością mało przyzwyczajony do luster mężczyzna wydawał się zaniepokojony perspektywą powstania obcego mu wizerunku, na tle ogrodu, którego wykalkulowana surowość zdawała się groźniejsza od przepychu dżungli. Jego obraz miałby się odbijać w zielonych źrenicach ocienionych ciężkimi powiekami, w spojrzeniu kobiety, która była świadkiem majaczeń podczas jego choroby, a która dziś łączyła swe naturalne piękno z przerażającą intensywnością pamięci i wiedzy. Bo go poznała. Poznała jego słabości, nieszczęścia, pocenie się, wydalanie, osłabione przez narkotyki mięśnie i chwilową niemoc. Ta kobieta, która wiedziała o nim wszystko, jeszcze zanim stał się w jej oczach mężczyzną, widziała przejrzystość wszystkie jego słabe punkty i Nielsonowi trudno było uwierzyć w jej pobłażliwość.

— Jest pan piękny — powiedziała, jakby wyczuwając jego obawy.

— Proszę, niech pani nic nie mówi. Nie jestem ani piękny, ani inteligentny. Dlaczego się pani mną interesuje?

— A kto panu powiedział, że się panem interesuję?

— Co za ulga — odpowiedział śmiejąc się. — Skoro tak, dam pani upoważnienie, może pani zrobić z moją głową wszystko, co pani zechce.

— Tylko z głową?

— W porządku, jeśli się może na coś przydać, ofiarowuję pani całą moją osobę. Powinna pani mieć w domu galerię portretów tych wszystkich, których pani wyleczyła. W Lourdes miesza się w grocie kule i protezy. Nada mi pani numer, prawda?

— Proszę się tak nie ruszać, bo nigdy nie skończę. Przybrał taką minę, jakby pozował dla wieczności, zastygła twarz, nieruchoma maska. Później, stopniowo, jego rysy odzyskały zwykły wyraz i tylko szybkie mruganie powiek zdradzało jego zdenerwowanie.

Jeanne dopięła swego. Rysunek bez wątpienia był słaby, ale dawał jej możliwość kontemplowania Nielsa tak długo, jak tego pragnęła i napinania nici łączącej ciało mężczyzny z jej ręką.

Pieściła oczami jego twarz, palce, szkicownik. Wystarczyła tylko jej wola, by wydobyć z siebie kształt, który po rzuceniu na papier stanie Nielsem. Nie potrzeba już było słów. W milczeniu objęła jednym spojrzeniem ogród, zakazany, a jednak otwarty dla wszelkich myśli, i mężczyznę, którego chciała oglądać długo, aby wzmocnić to, co wzbudzało w niej pożądanie, a może nawet miłość. Jakie to miało znaczenie, że nie mogła objąć zamiarami całego świata i że sumując przyjemności nie mogła zaksięgować całej prawdy o mężczyznach. Bo właśnie tego jedyne go mężczyznę, którego ciało znała jako jedną wielką ranę, chciała pojąć przed tym ogrodem, jeszcze bardziej nagim niż on sam.

Skoncentrowała uwagę na dwóch małych zmarszczkach, które ją zafascynowały już wtedy, gdy zbliżył się do niej pod sklepieniem szpitala. Życie z jego trudami wycisnęło piętno w dolnej części twarzy i gdy Niels się nie uśmiechał, można było odgadnąć po delikatnym opuszczaniu się rysów wokół ust nadchodzące okrutne zmiany. Jednak na kościach policzkowych i czole skóra nie była zmarszczona, a przeciwnie, napięta tak, że kości były niemal widoczne pod przezroczystą skórą. Jeanne zawsze lubiła twarze bardzo szczupłe. Nietrwałość ciała ujawnia się we wgłębieniach policzków, w rysunku nozdrzy. Jest to rzeźba, pod której powierzchnią przepływa krew, ukazując wewnętrzną pracę mechanizmu życia i śmierci.

Jeanne wpatrywała się w twarz Nielsa i miała wrażenie, że zbliża się jeszcze trochę do poznania ukrytej logiki świata. Z jaką pasją uczyła się czytać z wnętrzości. Jednak nigdy nie zapomiała o granicach, jakie

wyznaczało jej wiedzy pole operacyjne. Pod opatrunkami, gazą, bandażami znajdowała się twarz, życie, człowiek, którego własne powieki odgradzały od jego własnej prawdy. Dostępne było tylko mięso. Duch wymykał się. W trakcie długiego snu pacjent sprawiał wrażenie, że jak skorupiak pustelnik zamieszkał w cudzej muszli, do tego stopnia jego umysł wydawał się obojętny na doznania ciała.

Najpierw poznała rewers tego człowieka, którego właśnie nieudolnie rysowała, i, zafascynowana, próbowała dziś poznać awers. Co więcej, starała się nałożyć na siebie to dwie wizje, aby przenikając się wzajemnie, wyjaśniały jedna drugą. Jeśli życie na sali operacyjnej było jakby unieruchomione, by dać lekarzom możliwość zrozumienia i działania, to w tym ogrodzie odzyskiwała wszystkie swoje prawa. Chociaż Niels bardzo się starał, by pozować bez ruchu, fala wzruszeń i uczuć bezustannie zmieniała jego rysy i wyraz twarzy. Podobnie spojrzenie Jeanne wyrażało wszelkie odmiany pożądanego wzmocnionego wolą nie ulegania mu. Miłość na odległość, miłość lodu i żaru, niebezpieczna, nie spełniona miłość, która żywi się nadzieją, magiczne posiadanie i magiczne oddanie. Trzeba kochać rozkosz, by poddać się tej ostatniej rozkoszy.

Miłość nie jest ślepa. Czasem taka się staje, ale nigdy jednak na samym początku. Odwrotnie, odznacza się niezwykłą ostrością widzenia, która pozwala jej oddzielić to, co jej służy, od tego, co ją krępuje. Zakochany widzi, widzi nawet bardzo wyraźnie, i właśnie dlatego może trzymać się raz podjętej decyzji. Jeanne od razu odgadła, że u Nielsa za pięknem twarzy i dużego ciała kryją się znużenie i fatalizm. Dwie małe zmarszczki koło ust i lekko obwisła skóra na szczękach przywodziły na myśl jakieś rozczarowanie. Wydawało się, że nie tylko akceptuje nadchodzący upadek, ale wręcz go pragnie. Mimo młodzieńczej czupryny i szczupłej sylwetki, myśliwy śpieszył się, by dotrzeć do kresu. Jeanne pamiętała, że zagłębiał się w chorobie, jakby pragnął nie wydobyć się z niej już nigdy. Musiała wobec niego używać kolejno perswazji, logiki, a wreszcie brutalności. To drugie, dodatkowe życie, które zostało mu dane, nie powinno być dla niego ciężarem. Pożądanie Jeanne przekształcało się w czułość. Będzie nadal opiekować się tym człowiekiem, nawet wbrew jego woli, jeśli będzie trzeba.

Aby zobaczyć ten uśmiech, Jeanne tkwiłaby godzinami w zasadzce, nie martwiąc się, że marnuje życie. Aby go wywołać, użyłaby czarodziejskich zaklęć i błazenady rodem z teatru marionetek. Aby lepiej smakować śmiech tego, który nie był jeszcze jej kochankiem, lecz

kiedyś, nieważne kiedy, na pewno nim zostanie, przywołałaby natychmiast wszystkie wspomnienia i wszystkie dawne miłości. Bowiem tak jak ogródek zen zawierał w sobie wszystkie ogrody i pory roku, tak Niels Morgensen był uosobieniem wszystkich mężczyzn z przeszłości. Tylko kobieta niewierna, niestała, wiecznie spragniona, może wzbogacić tego, kogo pożąda, tym wszystkim, co odkryli przed nią jej wcześniejsi kochankowie. On jest sumą ich wszystkich, jest sobą samym i jeszcze czymś więcej. W miłości, podobnie jak i w innych dziedzinach, nauka nigdy się nie kończy. Pierwszy łyk wina, pierwsze zaciągnięcia się papierosem, pierwszy pocałunek przynoszą jedynie posmak nowości. Ileż ich trzeba, by każda z tych przyjemności, wzbogacona wcześniejszym doświadczeniem, odnalazła swój oryginalny, prawdziwy smak, by stała się, dzięki magii pragnienia i urokowi chwili, jedyna, niezrównana?

Nielsie Morgensen, ty jesteś Niels Morgensen, a ja nasycę twoją skórę zapachem tych wszystkich, którymi się opiekowałam, których pochłaniałam i kochałam, wszystkich, przez których płakałam i śmiałam się, wszystkich, którym kolejno, a niekiedy jednocześnie, życzyłam życia i śmierci, bo żyłam przeciw nim, przez nich i w nich. Oto ty, Niels Morgensen, mężczyzna, na którego będę patrzeć, gdy będzie spał i śnił, i na którego przebudzenie będę czekać bez ruchu, by lepiej uchwycić tę jedyną na świecie prawdę. Pokonam twoje znużenie. Oczywiście nie usunę zmarszczek przy ustach, należą do ciebie i kocham je tak samo jak długą bliznę od piersi do brzucha, ślad po ranie, którą ci zadałam i którą rozszerzyłam hakami operacyjnymi, by łatwiej dotrzeć do twego serca. Przywrócę ci jednak pragnienia młodości, a twe łuski rozbłyszczą jak u złotej rybki z bajki. Ty jesteś Niels Morgensen, jesteś mężczyzną, którego kocham i chcę, żebyś mnie zabrał na dalekie wody swojego spojrzenia. Tak jak kobiety w dawnych czasach będę wpatrywać się w horyzont na kresach świata, czekając, aż pojawi się tam wymarzony żagiel. Zachowam wizerunek twjej twarzy i nauczę się na ciebie czekać.

Jeanne przypomina sobie podróż helikopterem. Na jej kolanach polistyrenowy kontener, zwykły pojemnik, nie cięższy niż podręczny bagaż, ale w środku pod folią i lodem uwięzione jest życie. Serce. Serce mężczyzny. Jak Matylda de la Mole trzymająca zakrwawioną głowę kochanka, Jeanne przyciska do piersi serce młodego mężczyzny, który zginął w wypadku. Za godzinę, najdalej za dwie, będzie znów biło wewnątrz innego ciała. Trzeba się śpieszyć, dawcę i biorcę dzieli tylko przestrzeń, którą cenny ładunek przemierza lotem błyskawicy. Jeanne

trzyma pojemnik obiema dłońmi. Nielsie Morgensen, teraz pamiątkę po tobie będę przyciskała do piersi.

RS

Rozdział VIII

W swym domu wydanym na łup barbarzyńcom Jeanne wsłuchuje się — wśród okrzyków i śmiechów — w brzęk kieliszków i bransolet uderzających jedna o drugą na opalonych nadgarstkach kobiet. To tak jakby prąd powietrza poruszał kryształowymi wisiorami żyrandola u jej matki. Ale dziś Jeanne jest u siebie. Wokół słychać nawoływania, gardłowe głosy, docinki, zapewnienia o przyjaźni, a kadzidlany dym pochlebstw gęstnieje, w miarę jak zapada zmrok.

Jeanne obchodzi czterdzieste urodziny. Wychodzący z windy goście pchają się jeden przez drugiego jak klientela domów towarowych pierwszego dnia wyprzedaży. Jak daleko odeszła mała Jeanne z Lyonu, mała Jeanne z Gerland! A jeszcze dalej jest mieszkanie pani Marsilly, błyszczące jak nowiutki pieniążek. A zresztą czyż pani Marsilly nie przestała już być panią Marsilly? Matka Jeanne uwiesiła się ramienia swego świeżo upieczonego małżonka Skorzystała z urodzin córki i wydanego z tej okazji przyjęcia, aby odbyć podróż poślubną do Paryża. Odtąd jest już panią Binet.

Państwo Binet widzieli już wszystko — od muzeum Grévina do muzeum Rodina, od Folies-Bergeres do Kinopanoramy. Wieczorem matka Jeanne nie czuła już opuchniętych stóp, ale ledwo zdjęła pantofle, a już Victoire pospieszyła przedłożyć obojgu turystom plan na dzień następny. Telefon Victoire czynił cuda i wszędzie na tę skromną parę czekały darmowe bilety, a państwu Binet okazywano względy "należne prawdziwym gwiazdom.

Jednak pani Binet, była pani Marsilly, nie pogrążyła się całkowicie w wirze rozrywek. Zachowała w pamięci żalobę i długie wdowieństwo. Co więcej, nie obawiała się powoływać na nie przy każdej okazji. Kiedy więc zapowiadające urodzinowe przyjęcie bukiety sprawiły, że od rana mieszkanie Jeanne wyglądało jak wystawa kwiatów, pani Marsilly westchnęła z zachwytem: to mi przypomina pogrzeb twojego ojca. I jak Violetta z „Traviaty" zaczęła po kolei wachać wiązanki w każdym wazonie. Życzeniem Jeanne było, żeby na zakończenie wieczoru rzucono kwiaty przez okna lub żeby z tarasu rozrzucono je na chodniki, tak jak pod koniec uroczystości religijnych w Indiach spycha się do rzeki poświęcone bogom wozy ozdobione kwiatami orchidei i amarylisu. Byłby to grzech, ostrzegła ją matka, trwonić dla zwykłej zachcianki tyle pieniędzy.

Jeanne chwytą w przelocie kieliszek i opróżnia go. Ktoś obejmuje ją za szyję. Ktoś szepcze do ucha komplementy. W białej sukni z odkrytymi ramionami przechodzi od jednej grupki do drugiej, a włosy są jej jedyną ozdobą. Nie brakuje ani jednego, mówi Martin, który w myślach liczy nowo przybyłych. Ani jednego? pyta Victoire. Ani jednego z jej kochanków, precyzuje młody człowiek, wahając się między potępieniem a podziwem. Victoire z miejsca wybucha śmiechem. Nie sądzę, żeby w przypadku Jeanne można było stwierdzić coś takiego, wykrzykuje. Mówi się, że wraz z każdym, kto umiera, zaciera się część pamięci świata. W dniu, w którym zabraknie Jeanne, pograży się w mroku na wieki pociąg dłuższy niż Orient-Express, a wszyscy jego pasażerowie będą płci męskiej.

Kelner mówi Jeanne, że jest proszona do telefonu. Nie zdążyła nawet powiedzieć pierwszego halo, kiedy rozmówca odłożył słuchawkę.

— Słyszał pan głos?

— Oczywiście — odpowiedział kelner. — To ja odebrałem.

— Mężczyzna czy kobieta?

— Kobieta. Tak, młoda kobieta.

— Dzwoniła z Paryża?

— Tak mi się wydaje. Ale nie słyszałem jej zbyt dobrze. Głos był słaby, a tutaj jest tak głośno.

— Jeśli znowu będzie telefon, proszę spytać, kto mówi.

— Oczywiście, proszę pani.

Od wielu tygodni, od miesięcy, tak samo w dzień jak i w nocy, telefon w mieszkaniu Jeanne dzwonił długo, bardzo długo, a kiedy wreszcie podnosiła słuchawkę, nikt nie odpowiadał. Niekiedy z drugiej strony drutu była tylko cisza i Jeanne bardziej domyślała się czyjegoś oddechu, niż go słyszała. Niekiedy nieznany rozmówca odkładał słuchawkę w momencie, kiedy mógł już rozpoznać głos Jeanne. Jeśli zwlekała, telefon jęczał bez końca, a Jeanne, do której w każdej chwili mogli dzwonić ze szpitala, musiała wreszcie podnieść słuchawkę. Po jakimś czasie zaczęła przypisywać prześladowającej ją osobie zdolność modulowania na odległość dźwięku dzwonka jej telefonu. Przed podniesieniem słuchawki, od razu po pierwszym sygnale, domyślała się czasem obecności nieznajomego. Zdawało się jej wtedy, że oplątują ją nieuchwytnie macki. Wyglądało na to, że prześladowca wie o jej wszystkich wyjściach i powrotach. Dzwonek rozlegał się często zaraz po jej wejściu do mieszkania, czasem wyprzedzał ją i już w windzie Jeanne słyszała uparty, przerywany krzyk, któremu odpowiadała tylko cisza.

Wczoraj jeszcze odezwał się pod koniec dnia. Tym razem, kiedy Jeanne podniosła słuchawkę i na jej powtarzane kilkakrotne halo nikt nic nie odpowiedział, zamiast natychmiast przerwać połączenie, przysunęła mikrofon do ust. Poważnym tonem, oddzielając starannie każdą sylabę, jakby zwracała się do cudzoziemca, po raz pierwszy przemówiła do swego anonimowego rozmówcy. W jej słowach nie było gniewu ani oburzenia, po prostu rzuciła nieznajomemu wyzwanie, proponując mu, by ujawnił swą tożsamość i przyłączył się nazajutrz do tłumu gości. Czekam, zakończyła Jeanne, czekam cierpliwie i bez obawy, ponieważ znamy się od dawna. Zdawało się jej, że z drugiej strony przewodu ktoś wstrzymał oddech i że ta pełna uwagi cisza oznaczała zgodę.

Ci akurat przyszli w maskach, ale Jeanne wie dobrze, że ten kto ściga ją od miesięcy, nie ukrywa się wśród nich. Ich oczy między czepkiem a maską są jej zbyt dobrze znane. Ekipa w zielonych bluzach jest w komplecie. Diastole i Systole idą na czele, niosąc nosze, na których spoczywa ogromny tort w kształcie serca. Orszak zamyka praktykant Laurent. Ze spuszczonego wzrokiem, jak ministrant podczas konsekracji, niesie naczynie wypełnione po brzegi syropem z czerwonych owoców. Jeden z anestezjologów wymachuje olbrzymią strzykawką, przeznaczoną do wstrzykiwania cennego płynu do każdego kawałka ciasta. „Happy birthday to you” intonuje medyczny oddział defilujący jak na paradzie. Medycy jeden po drugim ściągają maski, ukazując zęby wampirów, które z radością wpijają w szyję Jeanne. Zaraz po tym pocałunku ich mordercze szczęki chowają się ponownie pod zielonymi maskami.

Wsparty o balustradę tarasu Francois de Remiremont patrzy, jak Jeanne ofiarowuje się wszystkim, których kocha. Nigdy nie wydawała mu się tak piękna, jak w nietrwałym blasku swych czterdziestu lat. Jej zwinne ciało pochyła się to ku jednemu, to ku drugiemu z gości. Płomienne włosy płyną wraz z nią. Spojrzenie iskrzy się, pierś faluje od śmiechu, ręce chwytają łokieć, ramię, kieliszek, a wargi dotykają policzka i szepczą słowa, które powtarzane wszystkim po kolei, stwarzają każdemu złudzenie wyjątkowego traktowania. Z całej jej postaci emanuje inteligencja, a jej wyzywająca zmysłowość czyni ją jeszcze bardziej pożądaną. François de Remiremont widzi jej ramiona. Odgaduje jej skórę pod białą suknią. Nigdy nie ozdabiał jej żaden klejnot, jakby taki ciężar wydawał się Jeanne nie do zniesienia. Obejmując ją przed chwilą, rozpoznał zapach, który dla niej stworzył. Więcej nawet, wachając jej włosy za uchem, poczuł intymną mieszankę swoich perfum z własnym zapachem Jeanne. Pogratił sobie w

duchu, że udało mu się skomponować akord, którego doskonałość wciąż go zdumiewała. Między zapachem Jeanne a bukietem woni, które dla niej wybrał, istniała niemalże duchowa harmonia. Kiedy François pochylił się ku przyjaciółce, odniósł wrażenie, że to, co czuje, emanuje nie tylko z jej ciała, lecz że jest w tym element znacznie subtelniejszy — że oddycha prawdziwą duszą Jeanne. Jakby to była kwintesencja życia i uczuć, którą nazywano niegdyś pierwiastkiem duchowym.

Podczas każdego spotkania zdawało mu się, że coraz lepiej poznaje tę kobietę. Dziś jednak, widząc ją w jej własnym domu, w otoczeniu przyjaciół i kochanków, zaczął się obawiać, czy siła i energia, z jaką rzucała się w wir pracy i rozrywek, nie naruszają jej odporności. Wyrzucał sobie, że wsunął do jej torebki ten flakonik perfum, jakby się obawiał, że rozrzutność Jeanne spowoduje, że zapach szybko się ulotni. W tym gorączkowym wyścigu jego istota zdaje się umykać Jeanne. Czy nadmiar szczęścia może wzbudzić ochotę zabicia się?

Dwie kobiety, których François de Remiremont nie zna — takie, o których mówi się, że są Jeszcze młode — dyskutują z Victoire na ulubiony temat: o mężczyznach. Tylko katolicy grzeszą z rozkoszą, a w tej dziedzinie Włosi nie mają równych, mówi jedna z nich tonem nie znoszącym sprzeciwu. Odgarnia włosy upierścienioną ręką, na której łuszczy się spalona przez słońce skóra. Katolicy jako dzika zwierzyna, mówi z pewną przesadą Victoire, dobrzy są tylko wtedy, kiedy już porządnie skruszeją. Po wypowiedzeniu tej końcowej formuły grupa rozpada się i każda z kobiet włącza się oddzielnie do innej konwersacji. Takie jest prawo gatunku. Tak małe marionetki działają, działają, zrobią trzy kółeczka, a potem pierzchają. Ma się przekonanie, decyduje się o wszystkim, płonie się z zachwytu dla idei lub tego, kto ją uosabia, a potem przerywa się w pół zdania. Wątek rozumowania gubi się gdzieś, nie wiadomo już, co wywołało entuzjazm. Wkrótce zaczyna się z pierwszą napotkaną osobą nowa dyskusja, której ferwor i natężenie będą równie krótkotrwałe. Przeskakuje się od miłości do polityki, od AIDS do aerobiku. Biada temu, kto nie umie puszczać fajerwerku. Pirotechnicy mieszkają w sztucznym świecie.

François przypomina sobie przyjęcia w noc świętojańską i swoją ówczesną radość. Bo też radość wypełniała go całego. Komponował wtedy dla każdej kobiety symfonię zapachów i miał wrażenie, że każdej z nich nadaje duszę. Na jedną noc, najkrótszą w roku. Czuł się demiurgiem. Wokół niego toczyły się rozmowy. Były zapewne równie konwencjonalne jak dzisiejsze, ale pochłonięty swoim dziełem, ledwo je

słyszał. Kiedy z zawiązanymi oczyma pochylał się nad dekoltem jednej z zaproszonych kobiet, by do woli oddychać zmieszanyymi zapachami ciała i jaśminu, wiedział, że zmysły nie zawodzą go. Jego ręce nie były jeszcze pocętkowane plamami. Czas był tylko przemiennością lata i zimy, dnia i nocy, przyjemności i pracy. Nie wiedział, że wkrótce stanie się jego wrogiem i że starość już go potajemnie opanowuje.

Spośród wszystkich dawnych kobiet tylko z Jeanne więź nie została zerwana. Pojawiała się w życiu François, kiedy chciała, i tak samo odchodziła. Mogła nie zjawiać się miesiącami; kiedy przyjeżdżała, słowa i gesty były tak samo naturalne jak przedtem. Należały do porządku rzeczy, do rzeczywistości, w której rozłąka nie oznaczała obojętności, a miłość nie mieszała się z posiadaniem. Kładła się na ciepłym murku, a on patrzył, jak osiąga rozkosz. Jest ich dwoje. Ona jest sama. W takiej chwili był całkowicie pochłonięty jej przyjemnością, nie troszcząc się wcale o własną, starał się niestrudzenie, tak, niestrudzenie, żeby rozkosz wytrysnęła u swego źródła. Tylko jego ręce. Jego ręce, czulsze niż ręce poszukiwacza odkrywającego niepowtarzalną bryłkę złota. Ręce mężczyzny na ciele kobiety. Wreszcie Jeanne pozwala sobą kierować, modelować się, stwarzać. Role są odwrócone. Ona nie troszczy się już o ciało kogoś innego, kochanka lub pacjenta. Rozkosz narasta w niej, tak jak grzmot wypełnia echem całą dolinę, jak zapach szczypty kadzidła rozchodzi się po całej katedrze. Dla François nagrodą jest krzyk Jeanne.

Dziś będzie miał z niej tylko pozory. Dlaczego, do diabła, dał jej perfumy? Dlaczego nie czekał jak zwykle na jej powrót? Dlaczego wyszedł jej naprzeciw? François patrzy na Jeanne i czuje, że popełnił błąd nie do naprawienia.

Zauważyła go, jak tylko wszedł. W samym środku rozmowy odwróciła się, jakby wyczuła jego obecność, i ich spojrzenia się spotkały.

Ich spojrzenia spotkały się. Jeanne nie traci czasu, żeby wtrącić słowo przeprosin swoim rozmówcom, porzuca ich bez skrępowań. Przechodzi przez cały salon. Idzie w jego stronę. Żadnego pośpiechu. Sunie jak statek, który złapał wiatr w żagle. Niels, mówi po prostu, kiedy jest już o dwa kroki od niego. On odpowiada tak samo. Nazywa ją jej imieniem. Jeanne, wydaje okrzyk tak jak marynarz, który spostrzega dzwonnice swej wioski i z radością wyciąga ku niej rękę.

Jest tu. Dotrzymał słowa. Opóźniła o piętnaście dni przyjęcie urodzinowe, aby mógł na nim być. Czekam na ciebie od trzech miesięcy, Nielsie Morgensen. Ciemna opalenizna odmładza go i podkreśla błękit jego oczu, tak jakby ocean i lasy przywróciły jego twarzy jej pierwotny

blask. Życie dodało mu wigoru. Ani śladu znużenia w kącikach ust. Serce Nielsa bije, można by przysiąc, że nigdy nie ucierpiało.

Tyle tygodni, tyle miesięcy rozłąki tak ożywiło ich wyobraźnię, że patrzą na siebie zarazem z pożądaniem i z obawą. Jest tak, jak tego pragnęli. Jest tak, jak jest, tak, jak będzie. Czy szaleństwo i rzeczywistość połączą się? Czy rojenja nie zaprowadziły ich za daleko, aż tam, gdzie nie można urzeczywistnić marzeń? Szukają się jakby po omacku. Rozpoznają się. Biorę z niego wszystko, myśli Jeanne. Chcę go. Oglądać go, słuchać, czuć, dotykać — nie pragnie nic więcej. Obecność Nielsa wnosi do marzenia niezbędną konkret, bujność zmysłów.

Nie pomyliła się, to właśnie na niego czekała. Jej umysł nie skonstruował innego Nielsa, sztucznie dopasowanego do jej pragnień. Ten, o którym nie przestawała myśleć o każdej porze dnia i nocy, ten, którego przyzywała nawet w łóżkach swoich kochanków, ten, którego zdawała się trzymać w ramionach i w ustach, podczas gdy to ktoś inny ją obejmował, ten, którego imię pojawiało się na jej wargach w chwili najwyższej rozkoszy, ten, którego odnajdywała w głębi każdego uścisku, to był właśnie on.

Ucałowali się prawie niewinnie.

— Dopiero co wysiadłem z samolotu — mówi.

— Wiem, jeszcze nim pachniesz.

Jest w wysokich butach i w kurtce. Podobny strój mógłby wyglądać pretensjonalnie. Czyż nadmiernie wyszukany styl nie polegał na tym, by demonstrować niedbałość tam, gdzie należało zachować elegancję? Niels Morgensen nie wykazywał najmniejszej troski o pozory, a jeśli wyróżniał się wśród innych gości, to działo się to mimo jego woli. Nawet głos, wyraźny sposób wymawiania słów, całkiem osobista precyzja kontrastowały z modnym bełkotem i skrótami, co sprawiało, że odróżniał się od samego początku. Przybywał z innego świata, w którym rzeczy i uczucia były proste i gdzie gnuśność nie przeżarła jeszcze języka i serc.

Wiele spojrzeń skierowało się na nowo przybyłego. Jego wzrost i jasne włosy budziły zdziwienie. Zmieszanie i ożywienie Jeanne od razu nadały nieznanemu uprzywilejowany status. Kobiety z miejsca zaczęły przypisywać mu wszystkie możliwe zalety. Mężczyźni spoglądali na niego z zazdrością i ze współczującym uśmiechem. Czy wie ten niewinny śmiałek, że jego triumf będzie zarazem upadkiem? Czy wie, że ta modliszka złapie go na lep i obezwładni, a potem wciągnie do swej kryjówki. Czy wie, że to ona wybierze moment i zostawi mu tylko

złudzenie wyboru? Czy wie, że ta Lilith o pięknych włosach nie boi się ani Boga, ani diabła i że tylko śmierć może ją powstrzymać?

Jeanne przedstawia Nielsa tylko imieniem. Victoire podaje mu kawałek ciasta polany syropem z truskawek i malin. Podchodzą inne kobiety, mnożą się pytania. Można by powiedzieć, że odkryły egzemplarz rzadkiego gatunku. Na ich frywolne uwagi Niels odpowiada z prostotą, bez wykrętów. Mówi o oceanie i samotności, o mężczyznach i kobietach na platformie. Mówi o oczekiwaniu na wiadomości z kontynentu i o ciepłe tych słów, które, one jedynie, są w stanie rozgrzać metaliczną konstrukcję i dni upływające na nurkowaniu, życie, które musi utrzymać swój rytm, mikroskopijne kabiny pogrążone w chłodzie i w ciszy, przygodę codziennej pracy.

— Kto to jest? — pyta matka Jeanne, chwytając córkę za ramię.

— Mogłabym przysiąc, że to będzie następny — twierdzi Victoire, przyjacielsko obejmując ramionami obie kobiety.

— Jeanne — dopytuje się znowu matka — po co ci tylu tych mężczyzn? Nie skończysz z tym nigdy? Czasem mnie przerażasz.

— Nie martw się, mamo. Idź do męża, wygląda na zagubionego wśród tych wszystkich ludzi, których nie zna.

Kiedy matka odchodzi rozżalona, Jeanne pyta Victoire:

— No, jak ci się podoba Niels?

— Dobry, bardzo dobry. Gratulacje.

— Widzisz, kiedy byłam mała — mówi Jeanne — nie lubiłam przyjąć. Albo może lubiłam je za bardzo. Wydawało mi się, że nie zniosę zatrzymania się tej karuzeli, muzyki, śmiechów. Za każdym razem miałam wrażenie, że umieram. Często wołałam w ogóle się tego wyrzec, niż roztopić się cała w radości, której kres jest nieuchronny. Potrzebowałam wiele czasu, by pogodzić się z tym, że wszystko ma początek i koniec.

— Karuzela obraca się teraz szybko, coraz szybciej. Nie boisz się?

— Jestem dobrze przymocowana, a rozkosz dodaje mi sił. Pij, Victoire, wypijmy za ciebie, i nie mów mi już nigdy o strachu.

— Gdybyś zobaczyła Vive, nie miałabyś ochoty na żarty.

— Nie jest z nią lepiej?

— Przeciwnie, jest coraz gorzej. Ona cię tak kochała, Jeanne. Nie może wprost znieść, że to ty jesteś przyczyną jej nieszczęścia. Naprawdę obie jesteście winne, ja być może jeszcze bardziej niż ty.

— Uratujemy twoją małą Vive, obiecuję ci to. Bądź pewna, postaramy się, żeby zapomniała o tym, co się stało. Do diabła, Victoire, nie jest to odpowiedni moment, żeby bić się w piersi!

Pod przewodnictwem Paula, przyjaciela Martina, wchodzi hałaśliwa grupa aktorów w kostiumach scenicznych. Biskupi, diakoni, kapelani, rzeźnicy, muszkieterowie. Grali w tragedii buffo Michela de Ghelderode. Teraz wraz z nimi cała Flandria, pijana i obżarta, wije się w tanecznym korowodzie wokół bufetu i na tarasie.

Zdarzyło się, że ojciec Noe z winnicy szedł zalany w sztok, A że córuchny miał wesołe, To jedna drugą trąca w bek... Pomóż, siostrzo, mi przy tacie, Wezmę tacie spuszczyć gacie...

Aktorzy próbują wciągnąć wszystkich do zabawy. Paul, którego groteskowy garb podryguje w rytm piosenki, ściska dłoń Jeanne i orszak okrąża kominiek, wspina się na schody i rozciąga pod gołym niebem; włączają się do niego mężczyźni i kobiety w zielonych maskach. Nagle Jeanne puszcza rękę Paula, który próbuje ją przytrzymać.

— Bawcie się beze mnie — mówi.

— Nigdy — protestuje Paul, chwytając ją za ramię.

— Proszę cię...

— Nawet nie dotknęłaś mojego garbu.

Zbiega pod prąd po schodach. Odile! krzyczy. Postawna brunetka podnosi oczy na Jeanne. Odile! Uśmiech rozjaśnia twarz kobiety. Ma ona na sobie przyciasny żakiet, którego tandetne granatowe sukno złośliwie pogniotło się na plecach, i szarą bezkształtną spódnicę, która ociera się o jej łydki. Jej mokasyny jakby wrosły w wykładzinę podłogi, stoi sztywno na środku, przyciskając do siebie torebkę ze sfatygowanej skóry.

— Odile! — wykrzykuje Jeanne, biorąc ją w objęcia — nigdy nie myślałam, że cię dzisiaj spotkam. To istny cud. Nie wiedziałam, że ofiarujesz mi cud w dniu moich urodzin.

— Wiesz, Jeanne, czułam się taka samotna po twoim wyjeździe.

— A co tam się dzieje? Opowiedz mi wszystko. Od jak dawna jesteś w Paryżu?

— Od dwóch dni. Wczoraj byłam u ciebie, ale cię nie zastałam. Dozorczyni poradziła mi, żebym przyszła dzisiaj. Nie wiedziałam, że będzie tyle ludzi. Nie chciałabym ci przeszkadzać.

— Odile, po co te konwenanse? Mam cię i już nie puszcę. Obie kobiety siadają obok siebie przy kominku. Letni upał jest wciąż jeszcze zbyt silny, by rozpałić w nim ogień. Piętro niżej i na tarasie przesuwają się

korowód masek i aktorów. Od czasu do czasu jakaś głowa przechyla się przez poręcz schodów, by zawołać Jeanne, która odpowiada uśmiechem.

Odile założyła nogę na nogę i naciągnęła spódnicę na kolana, ale szary materiał nie zakrywa łydek i podrapanych kostek nóg. Można by powiedzieć, że to młody kotek zadrasnął je pazurkami. Jeanne rozpoznaje te czerwone lub brązowe pręgi. Miała takie same, kiedy stamtąd wróciła. Kolczasty, ciernisty busz wychłostał ją aż do krwi. Przypomina sobie nocne czuwania, oddechy śpiących pacjentów. Siedziały wtedy tak samo, jedna obok drugiej, zbyt zmęczone, by zasnąć, i pozwalały się kołysać własnym słowom, którym towarzyszył monotony brzęk owadów wokół lamp.

Zaraz po wyjściu z helikoptera, Jeanne zachwyciła się tą kobietą. Jak powinnam się do pani zwracać? Może siostró? spytała Jeanne, wpatrując się w drewniany krzyżyk, który na mniej szlachetnej piersi po prostu by ją odstraszył. Dlaczego nie Odile, tak jak wszyscy? odpowiedziała i ucałowała ją. Nie musiały dostosowywać się do siebie, poszukiwać porozumienia na drodze wzajemnych ustępstw. Bez prowokacji i bez słabości każda pozostała wierna sobie. Bóg i rozpasanie współistniały zgodnie.

— Dobrze nam się razem pracowało — mówi Jeanne.

— Wrócisz kiedyś?

— Być może.

Wśród tych wszystkich kobiet obwieszonych klejnotami od stóp do głów piękność Odile, wytryskająca jakby sama z siebie, jest naprawdę niezwykła. Spojrzenia zatrzymują się na jej nogach i Jeanne domyśla się bez zainteresowania i zakłopotania, jakie komentarze wywołuje widok jej zadrapań. Czy lubi być smagana? zastanawiają się między kieliszkiem szampana a ciasteczkiem, tym natarczywiej, że jej krzyżyk ledwo wystaje zza kurtki. Jeanne nie obawia się jednak żadnego incydentu. Wie, że żadna uwaga, żaden gest nie wyprowadzą Odile z równowagi. Jej przyjaciółka przyzwyczała się do walki z chorobami, zbrodnią, głodem i suszą. Niekonsekwencje tego świata nie są w stanie zmącić jej uśmiechu.

— Nic się nie zmieniłaś — mówi Jeanne. — Bóg, ciągle Bóg...

— Ty też nie. Mężczyźni, ciągle mężczyźni...

Śmieją się. Jeanne przypomina sobie odgłos deszczu bębniącego w dach z falistej blachy. Odile wyrwała jej ścierkę. To nie jest praca dla ciebie, powiedziała, klękając, aby wytrzeć podłogę. W tym zaimprovizowanym ośrodku chirurgicznym trzeba było robić naprawę

wszystko, a Odile uważała za punkt honoru podejmować się najcięższych zadań. Po operacjach, kiedy czuwały razem nad pacjentami, Jeanne przerywała nieraz swe zwierzenia w pół słowa. To cię szokuje? pytała nagie przyjaciółkę, której w takich chwilach zazdrościła jednocześnie spokoju i zamiłowania do pracy. Dlaczego? odpowiadała Odile. Otrzymałaś od Boga dar ratowania życia. Gdybyż ci, którzy cię osądzają, zrobili tyle co ty!

Błażeński korowód zstępuje po schodach i otacza obie kobiety. Niels próbuje zbliżyć się do Jeanne, ale gdy pochyla się ku niej, rozdzielają ich inne ciała i ramiona.

— Odile, czy to nie ty próbowałaś niedawno do mnie zadzwonić? — pyta Jeanne.

— Nie. Dlaczego pytasz?

— Mniejsza o to. Powiedziano mi, że ktoś chce ze mną rozmawiać, jakaś kobieta, a kiedy podniosłam słuchawkę, połączenie zostało przerwane.

— Czekasz na kogoś?

— Czekać, wciąż czekać, czyż nie na tym polega moje przeznaczenie? Ty już znalazłaś, ja nie miałam tyle szczęścia.

Ktoś chwyta Odile za ręce i wysoka brunetka natychmiast włącza się do tańca. Nie próbuje uwolnić się ani odsunąć natrętów, demonstrując swój krzyż. Uśmiechnęła się tylko do Jeanne i ledwie dostrzegalnym wzruszeniem ramion zaznaczyła swą obojętność. Jeanne patrzy, jak przyjaciółka oddala się między flamandzkim archidiakonem a zamaskowanym anestezjologiem. Odile przyciska wciąż do boku swą starą torebkę. Krzyżyk wygląda zza kurtki. Nikt nie zwraca na to uwagi. Czyż nie należy to do kotylionowych akcesoriów?

— O czym myślisz, Jeanne — pyta Martin.

— O moim telefonie. Dzwoni całym tygodniami i nigdy nikt mi nie odpowiada.

— Zmień numer.

— Nie zależy mi na ciszy. Chcę poznać mojego prześladowcę.

— To kochanek, Jeanne, były lub przyszły kochanek! Mnie też się zdarza, że odbieram tak zwane głuche telefony, ale ja wiem, kto dzwoni i kto odkłada słuchawkę. Paul, zawsze Paul. Śledzi mnie na odległość. Czasem między jedną sceną a drugą pędzi za kulisy i rzuca się na pierwszy napotkany telefon, żeby sprawdzić, czy aby jestem w domu i czy jestem sam.

— Musisz go kochać, jeśli się zgodziłeś, żeby cię prześladował! Paul ma szczęście.

Ich rozmowę przerywa mężczyzna, którego Jeanne ledwo zna i który rzuca się na Martina z hałaśliwą wesołością.

— Mój Boże, tak się dziwiłem, że już pana nie widuję, że już pana nie czytam! Minęła wieczność... Kiedyż to ukazała się pańska ostatnia książka? Jeszcze trochę, a uważałbym pana za zmarłego! Wielki Boże, skąd to milczenie.

Bardzo szybko okrzyki mężczyzny przyjmują formę wyrzutów. To prawda, że pisarza, polityka lub znanego lekarza uważa się za skończonego, kiedy tylko jego nazwisko znika z łamów gazet. Według rozmówcy, Martin milczał zbyt długo. Powinien natychmiast przedstawić dowody swego istnienia, gdyż inaczej czeka go najcięższa kara: śmierć społeczna. Martin z rozbawieniem przygląda się temu dryblasowi pragnącemu jakoby jego dobra. Im bardziej tamten się unosi, tym mniej Martin oponuje. Jeanne ceni go za ten dystans, to odsunięcie się od świata, które tylko głupcy uważają za zobojętnienie. Gdyby pewnego dnia Martin, choćby ze zwykłej ciekawości, uznał za wskazane zainteresować się damami, Jeanne chętnie posłużyłaby mu za przewodniczkę.

Błysk flesza spowodował, że Jeanne zatrzepotała powiekami; ten zyzgak na jej źrenicy, niby kolec w łapie lwa, sprawił, że poczuła się najgłębiej dotknięta. Kto się ośmielił przyjść do niej z aparatem fotograficznym? Szuka winnego. Znajduje go i mściwie spada na niego z niezbyt przyjaznym uśmiechem. On tu jest, z obiektywem z długą ogniskową wyglądającym bardziej obscenicznie niż ekshibicjonista wymachujący członkiem po rozpięciu płaszcza.

Jeśli nie jest pan w stanie zachowywać się spokojnie, żądam, żeby się pan natychmiast stąd wyniósł — mówi Jeanne.

Tamten z twarzą ukrytą za aparatem udaje, że nie słyszy. Co więcej, obraca się wokół własnej osi i, odwrócony plecami do Jeanne, zaczyna strzelać krótkimi seriami po wszystkich obecnych. Jego broń jest teraz wycelowana w profesora Jeanne, człowieka, który nauczył ją wszystkich tajników zawodu i któremu towarzyszyła w wysiłkach i badaniach. To właśnie z nim wielokrotnie latała nad Francją, przyciskając do piersi serce zmarłego człowieka, które wkrótce znowu miało zacząć bić w ciele kogoś innego. Dziękuję, dziękuję profesorze, bezczelnie powtarza fotograf, rzucając się na swą ofiarę. Profesor zamknął oczy, cofnął się o krok, ale nie ośmielił się zaprotestować. Coś więcej niż złość, prawdziwa

wściekłość owładnęła teraz Jeanne. Tego człowieka, którego szanowała, którego wielbiła, który nie znosił towarzystwa i tylko dla niej zgodził się dziś stawić mu czoło, którego dobroci dorównywała tylko jego wytrwałość i talent — ona nie pozwoli, by ktoś dręczył go pod jej dachem.

— Wynoś się, wynoś się w tej chwili, albo cię rozszarpie, ciebie, twój aparacik, twoją śliczną buzię — wykrzykuje i wypycha go ze wszystkich sił aż na podest schodów.

— Uspokój się, Jeanne — wtrąca się Victoire. — Ten nieszczęśnik wykonuje tylko swój zawód.

— Przyznaj się lepiej, że to ty go tu sprowadziłaś. Widać w tym twoją rękę!

Zaskoczony gwałtownością Jeanne fotograf szarpie się. Rzeczywiście jego buzia jest śliczna i w innych okolicznościach mogłaby przez chwilę zainteresować Jeanne.

— Ma pan do wyboru — mówi Jeanne — albo odda mi pan aparat na przechowanie, albo wraca pan do windy.

— Dobrze, dobrze, już sobie idę — odpowiada zmieszany. — Po co tyle hałasu? W jakiej epoce pani żyje? Zwykle ludzie tłoczą się przed moim obiektywem, żeby zobaczyć swoją głowę w czasopiśmie lub w gazetach. Dziwne ma pani obyczaje.

— My jesteśmy żywi — mówi Jeanne, nie podnosząc tym razem głosu, prawie w zaufaniu.

— Nie gniewa się pani?

— Nie gniewam się.

— Więc przyślę pani film. Sama pani zdecyduje, czy go pani wyrzuci, czy wykorzysta.

Drzwi do windy zamykają się za fotografem. Znika śliczna buzia.

— Nie znudziło ci się jeszcze tyranizować wszystkich dookoła? — pyta Victoire.

— Jedyną prawdziwą tyranią jest tyrania pozorów. Nigdy jej się nie poddam. Słyszysz? Nigdy!

Podczas gdy wszyscy wracają do przerwanych rozmów, Jeanne słyszy głos, na dźwięk którego podskakuje do góry.

— Co za wigor, Jeanne! Co za impet! Na czym polega twój sekret? Wciąż jesteś inna, a wcale się nie zmieniasz.

Obok niej stoi jej mąż.

— Philippe! — wykrzykuje Jeanne. — Byłeś tu i nic mi nie powiedziałeś; siedziałeś cicho.

— Przyglądałem ci się.

— Jak sędzia?

— To ciebie zbyt długo uważałem za mojego sędziego. Teraz nie ma już ani sędziego, ani oskarżonego. Wreszcie jesteście wolni, Jeanne.

— Jak bardzo chciałabym cię kochać — odpowiada Jeanne.

— Za życie — mówi Philippe.

Stukają się, wychylają po kieliszku szampana i padają sobie w objęcia. Bardziej jeszcze niż po głosie Jeanne poznaje męża po zapachu. Odczuwa potrzebę przytulenia się do niego, aby stał się rzeczywistością. Mimo cennych balsamów, mimo jedwabnej koszuli z wyhaftowanym monogramem, mimo brązowych włosów przetykanych białymi, mimo całej elegancji, pruderii i wstydlivosti, za którymi się ukrywał, czuła go przy sobie nagiego. Bardziej nagiego niż pies bez sierści, gorętszego niż to małe, zawsze przegrzane zwierzę. Jego zapach mogłaby rozpoznać z zamkniętymi oczami. W oczekiwaniu innych satysfakcji i większych rozkoszy napawała się nim tak jak kłoszardzi, którzy kładą się przy okienkach wentylacyjnych restauracji i sycą się wszelkimi kuchennymi zapachami, podczas gdy inni pochłaniają potrawy, których oni nigdy nie skosztują.

Czy to była miłość, to długie pożądanie zamknięte w sobie jak pudełko szarej ambry? Ta nie zaspokojona nadzieja, która nie chciała umrzeć? Te nienasycone ciała, które to szukały się łączywie, to znów odpychały się z niesmakiem? Czy to było io absolutne szaleńcze uniesienie, które nastąpiło w chwili, kiedy Jeanne i Philippe niczego już nie oczekiwali? Czy to była ta namiętność, która sprawiła, że przywarli do siebie, i która zdawała się obiecywać, że to, co przeżyli, będzie trwać bez końca?

Jeanne wyczuwa pod koszulą Philippe'a na wysokości talii fałdy, które nie są jeszcze otyłością, nad którymi on jednak ciągle boleje. Byłyby dobrą poduszką pod jej głowę. Co się więc dzieje, mój mężu? Czyżbyśmy doszli do punktu, w którym zaczyna się cenić czułość? Jesteś tak słodki, że gdy cię dotykam, ufność rozchodzi się we mnie falami. Moglibyśmy być szczęśliwi, nieprawdaż?

Przyjęcie powoli gaśnie. Świeżość nocy miesza się z dymem cygar. Niektórzy goście wymykają się, żegnając Jeanne uśmiechem i dyskretnym ruchem dłoni w trosce o to, by nie psuć przyjemności tym, co jeszcze zostają. Jest to chwila, kiedy wszystko się chwieje, chwila, której Jeanne tak się dawniej obawiała. Przyjęcie może dziś zgasnąć, ale już nigdy nie będzie zimno. Czyż nie istnieją wszyscy ci mężczyźni, ich ciała, ich serca? Czyż każdy z nich nie jest inny, każdy nie jest godzien

pożądania? Dlaczego trzeba by wybierać? Dlaczego już teraz? Czyż nie byłoby rozkosznie ulec odurzeniu zmieszanymi zapachami wszystkich tych kwiatów i umrzeć w upojeniu, tak jak umiano to robić w poprzednim stuleciu? Tu szampan, tam wódka. To nie alkohol lubię, lecz oszołomienie.

Przyszli we troje jak wystrojona odświętnie rodzina i Jeanne odstawiła kieliszek, żeby się z nimi przywitać. Viva nie miała tym razem pokusy, by cofnąć się o krok i ukryć twarz w zagięciu łokcia, kiedy Jeanne ją całowała. Jej policzki były zimne i Jeanne pomyślała, że wszyscy troje musieli spacerować w nocy, zanim przyszli do niej. Matka Mathieu bez uśmiechu podała jej rękę.

— Zna pani mojego męża, prawda?

— Spotkaliśmy się, kiedy była pani w szpitalu. Jak się pani czuje?

— Myślę, że uodporniła mi pani serce na wszelkie próby. Odtąd może wytrzymać wszystko co najgorsze.

Jeanne ledwo ośmiela się spojrzeć na pana Lorin, do tego stopnia rysy jego twarzy przypominają jej Mathieu. Tego podobieństwa nie dostrzegła w szpitalu, ale wydaje się jej ono oczywiste teraz, kiedy chłopiec nie żyje. Oczywiste i nie do zniesienia. W tym posepnym spojrzeniu pod okapem łuku brwiowego jest ta sama nieśmiałość, która może w oka mgnieniu przerodzić się w agresję. Na karku ciemne kosmyki w nieładzie, w środku bardzo szczupłej szyi występ jabłka Adama. Jeanne myśli o sznurze, którym udusił się chłopiec, a ma przed sobą mężczyznę, którym chłopiec nigdy nie będzie.

Pan Lorin mówi nie podnosząc oczu i tak jak u syna nieregularny rysunek ust przekrzywia się na prawo. Nawet jeśli wypowiada całkiem niewinne zdania, Jeanne czuje, że dla niego nie istnieją żadne wątpliwości — to ona jest winna. To nie sznur złamał kręgosłup jego syna, zrobiła to ta kobieta, w której sidła wpadł Mathieu, kobieta, do której pan Lorin przyszedł teraz bez zaproszenia.

— Jeanne — mówi Viva — pan i pani Lorin pragnęli się z tobą zobaczyć, więc pomyślałam sobie, że przy tej okazji...

— Dobrze zrobiłaś. Proszę do środka.

Viva ma na sobie czarną plisowaną spódniczkę i jeszcze czarniejszy sweter. Drobna, ledwo dojrzała wdowa w żałobnych łachmanach jest błada jak śmierć. W lewym uchu połyskuje złoty kolczyk. Pani Lorin również jest ubrana na czarno, ale odrobina różu na obu policzkach ociepla jej karnację. Pan Lorin popycha przed sobą obie święte kobiety.

Goście wychodzą, wesoło pozdrawiając Jeanne. Pocałunki, okrzyki, zapach dymu we włosach, rozmazany makijaż.

Jeanne podaje kieliszki gościom ostatniej godziny.

— Za co wypijemy? — pyta Viva.

Jeanne nie odpowiada. Ledwie poznaje w Vivie dziecko, które zasypiało kiedyś w jej ramionach i które ostrożnie zanosila do swego łóżka. Pewnego razu spędziły noc pod gołym niebem, na tarasie. Kochana Jeanne, mówiła Viva, kiedy będę duża, będę większa od ciebie. Oczywiście, odpowiadała Jeanne, a także piękniejsza. Tego nie wiem, odpowiadała dziewczynka, próbując odczytać swą przyszłość z gwiazd sierpniowego nieba. Jeanne obiecała, że zawsze jej będzie pomagać.

Jednym haustem, nie skrzywiwszy się nawet, dziewczynka wychyliła kieliszek. Jest duża. Przepowiednia się spełniła. Viva zeszczupląla i wydaje się wyższa od Jeanne. Cóż więc się stało z istotką łączącą dziecięcy wdzięk z buntem i sprzeciwem? Chimera o oczach kota, ciele dziecka i i dorosłej nienawiści. Uraza dojrzałej kobiety, ruchy automatu, podrapane ręce i obgryzione do kości paznokcie szaleńca. Niepokojąca, groźna uroda. Istnienie dotknięte do żywego. Ból przecina ją w sercu dzieciństwa. Dziewica zgwałcona przez śmierć. Na jej brązowych wargach jakby zastygła napływająca w nadmiarze krew.

Dla towarzystwa Jeanne musiała wypić jeszcze pół kieliszka z trojgiem swoich ostatnich gości. Kiedy fala ciepła rozchodziła się w niej aż do skroni i kolan, dziwna myśl przyszła jej nagle do głowy. A jeśli to Viva, mała Viva była tym milczącym i upartym natrętem, który telefonował do niej od tygodni o każdej porze dnia i nocy? A jeśli to ona zawzięła się, żeby straszyć ją milczeniem z drugiej strony słuchawki? Jeanne przypomina sobie przestrogi Victoire. Czyżby to dziecko, które było kiedyś niemal jej córką, stało się teraz jej śmiertelnym wrogiem? Za każdym dźwiękiem dzwonka telefonu Jeanne ma wrażenie, jakby bąk gryzł ją w ramię lub w szyję. Może go odganiać ręką, ale on nadal brzęczy wokół niej, a przy następnym dzwonku jej skóra znowu krwawi od kolejnego ukąszenia.

Alkohol. Trucizna rozlewa się po żyłach. Nie chodzi tylko o to, by upolować owada. Trzeba odegnać niedorzeczne myśli i wyzwolić się spod ich wpływu. Czyż Viva nie odpowiedziała na jej zaproszenie? Czyż nie przyszła z odstoniętą twarzą? Viva, mała Viva, niewinna Viva nie byłaby zdolna do takich podstępów.

Odile mówi Jeanne do widzenia Jej wielkie ciemne oczy są pełne spokoju. Kiedy po zakończeniu potyczki siostra Odile ładowała rannych i

zabitych na ciężarówkę, i natychmiast siadała za kierownicą, jej oczy wyrażały tę samą anielską łagodność, równie odległą od obojętności, co od rezygnacji.

Wielu gości wychodzi w tej samej chwili i Jeanne nie ma czasu powiedzieć przyjaciółce, że zależy jej na tym, by się z nią spotkać. Odile już umknęła z częścią jej pamięci.

Jeanne podchodzi do Philippe'a. Wsuwa mu palce pod prawy mankiet koszuli i ściska jego prawy nadgarstek. Żeby z nim rozmawiać, trzeba go dotykać. Krew męża pulsuje w jej dłoni. Wiem, że czuwasz nade mną z daleka, mówi.

Dlaczego nie pomyślała o tym wcześniej? Dlaczego uważała, że za tymi telefonami kryje się nienawiść lub zemsta? Czyż to nie stoi przed nią on, jej milczący i wierny rozmówca? To Philippe, Philippe, jej mąż. Nie mógł się zdecydować, by ją całkowicie porzucić. Z każdego miasta, z każdego kraju dzwoni do niej, tak jak kiedyś do niej pisał. Powinien jej to natychmiast wyznać. Nie będzie się skarżyła na jego tyranie. Wprost przeciwnie — czyżby to wpływ alkoholu? — pragnie jej.

— Philippe, dlaczego zawsze odkładasz słuchawkę nic do mnie nie mówiąc. Dlaczego pozbawiasz mnie twego głosu. Jestem twoją żoną, Philippe.

Patrzy na nią nic nie rozumiejąc. W jego oczach odbija się miłość i zdziwienie. Zaprzecza, oburza się, opanowuje złość.

— Jak mogłaś, Jeanne, życzyć sobie, żebym cię szpiegował?

Jego wzrok ciemnieje, źrenica roztapia się w tęczę, przechodzi od nadziei do przygnębienia. W nieznanym pokojach, do których zaciągał ją niegdyś w pośpiechu, widziała, jak w ten sam sposób jego egzaltacja zmienia się w znużenie. Wracajmy do domu, mówił jej. Dlaczego, Jeanne, dlaczego jesteś sama...? Cierpliwości, Philippe. Jeanne, Jeanne, to się wszystko źle skończy.

— Wybacz mi, Philippe. Prawdę mówiąc, miałam nadzieję, że to ty, ale naprawdę w to nie wierzyłam.

— Niepokoją cię te telefony?

— To głupstwo — odpowiada śmiejąc się.

— Jestem tu, Jeanne.

— Wiem.

Wielki stół z resztkami przyjęcia przypomina plażę po sztormie, na której poniewierają się w nieładzie wnętrzości ryb, algi, jakieś szczątki wyrwane z brzegu przez fale. Goście opuszczają powoli ten rozkładający się mikrokosmos. Zamiast doznawać ulgi z tego powodu, Jeanne czuje,

jak ciężą jej ostatnie spojrzenia. Ukryty do połowy za bukietem kwiatów Niels Morgensen wpatruje się w nią zniecierpliwiony, a rysy jego twarzy zniekształcone oczekiwaniem i zazdrością w niczym nie przypominają tych, które Jeanne utrzymała na papierze w ogródku zen. Francois de Remiremont z ironią mruży oczy krótkowidza. Długi orli nos i chuda szyja, której zmarszczki zasłania jedwabny fular, tworzą ostry ptasi profil.

Siedzący i stojący, ci którzy byli jej kochankami i ci których uścisków i męskości Jeanne nie zna, którzy czekają na lepsze czasy. Ciała kochane, ciała obce, ciała młode i ciała stare, a dla niej zawsze nowe, ponieważ ona nigdy im nie pozwala, by wraz z jej własnym zagubiły się w przyzwyczajeniu. Mężczyźni — labirynty krwi, potu i spermy. Ci dobrze odżywieni mężczyźni, którym uroczę fałdy opadają z talii na podbrzusze. Mężczyźni wychudzeni, których śmierć już napoczęła. Mężczyźni głacy i śliscy jak węgorze. Mężczyźni zarośnięci i owłosieni, pachnący wilgotną ziemią. Mężczyźni-krajobrazy, mężczyźni-zwierzęta, wasza esencja jest niewyczerpana. Mężczyźni, mężczyźni, słowo święte, odwieczna mantra. On, symbol tchnienia stwórcy. Om, om, odgłos genezy. Wieczność byłaby zbyt krótka, by wysłuchać wszystkich ech waszego imienia. Nie chcę wybierać między nimi. Potrzebuję wszystkich. Kochankowie czy pacjenci — wszystkim ofiaruję moje względy.

Nie troszcząc się o ścigające ją spojrzenia, Jeanne poszła prosto do Vivy.

— Najwyższy czas, żebyśmy porozmawiały. We dwie. Co ty na to?

— Wyobraź sobie, że właśnie dlatego przyszedłem.

Od małej istotki w stroju płaczki nie dochodzi bynajmniej brzęczenie owada. Jej głos stał się niski i zdecydowany, jakby praca żałobnicy pomogła jej przejść mutację.

— Chodź ze mną na taras — mówi Jeanne — będziemy tam miały więcej spokoju. Wchodzą na schody, ale pani Lorin zatrzymuje je w pół drogi. Zaczerwieniona, z palcem wskazującym skierowanym w stronę Jeanne, oskarża ją. To pani, tylko pani, mówi. Wyciąga z torebki jakieś notesy, zmięte kartki, koperty i podaje jej to wszystko. Jej mąż powstrzymuje ją i — albo żeby ją uspokoić, albo żeby zapobiec rozproszeniu dokumentów — wyrywa jej papiery z ręki.

— Mamy tu wszystkie dowody. Te słowa, które panią oskarżają, napisał własną ręką nasz biedny chłopiec. Zostawił w swoim pokoju wszystko, co trzeba, żebyśmy mogli go pomścić.

Usta pana Lorin wykrzywają się z prawej strony tak samo jak u Mathieu, ale jego wargi są cieńsze. Skurczyły się pod wpływem niszczącego działania czasu. Tylko usta dzieci rozchylają się bez zahamowań, a usta Mathieu ofiarowały się same.

Taras pogrążony jest w mroku. Kilka lamp wyznacza jeszcze obszar przyjęcia, ale wszyscy biesiadnicy odpłynęli na niższą kondygnację. Jeanne jest sama z trójką swych oskarżycieli. Zdeprawowała pani Mathieu, mówią. Rozbudziła, podsyciła pani rojenia dziecka. Czy w Paryżu nie było dość łóżek, gdzie mogłaby pani sobie dogodzić? pyta pani Lorin obracając się jak bąk dookoła własnej osi. Pod ich stopami, osiem pięter niżej, miasto śpi w łagodnym cieple sierpnia. Pole Marsowe i Szkoła Wojskowa mają o tej porze wygląd całkiem pokojowy. Kochał panią, mówi pani Lorin, kochał panią. Pisał o tym we wszystkich tych listach, których nie odważył się nawet wysłać do pani. Kochał panią, a pani bawiła się jego niewinnością.

— Bardzo panią proszę, niech się pani uspokoi — mówi Jeanne. — Zaszkożdzi to pani.

— Pora konsultacji minęła i mam prawo zdechnąć nie pytając pani o zdanie. Dla pani to będzie tylko jeszcze jedna więcej śmierć na sumieniu!

Pan Lorin bierze żonę za ramię i odprowadza ją o kilka kroków dalej. Jeanne i Viva stoją twarzą w twarz.

Drobna kałmucka buzia, tak młoda i tak obolała. Osamotniona dziewczynko, dorośli, zbyt zajęci swoimi sprawami, pozostawili cię własnemu losowi. Mała dzikusko, nie udało ci się utorować sobie drogi w buszu. Dawniej Jeanne lubiła brać Vive za rękę. Mogłyby przejść pewien etap razem. Jednak Jeanne nie miała żadnych złudzeń. Wiedziała, że to, co nazywa się doświadczeniem, jest nie do przekazania. Rozkoszy i bólu nie da się opowiedzieć, trzeba je przeżyć. Pies kilkoma strużkami moczu zaznacza swoje terytorium, a mały człowiek krzyczy z radości lub bólu, by objawiły mu się siły, które go ożywiają. Od pierwszego oddechu oswaja się ze swoją samotnością. Nie ma ucieczki ani dla matki, ani dla dziecka. Jeanne nie chciała dać życia. Życie jest jedno i nie znosi delegacji uprawnień. Jeanne odrzucała myśl, że to, czego jej nie udało się osiągnąć, osiągnęłoby zamiast niej jej dziecko. To, co zostało stracone, jest stracone na zawsze. Nie ma egzaminów poprawkowych.

— Dziękuję ci, Jeanne, że mnie zaprosiłaś.

— Viva, wiesz dobrze, że możesz przyjść, kiedy sobie tylko życzysz, nie czekając, aż przysłę ci zaproszenie.

— Oczywiście, ale chciałam, żebyś mi to wyraźnie powiedziała, i ty to zrobiłaś. Nie rozumiem tylko, dlaczego nie zwracałaś się do mnie per ty.

Głos Vivy nagle nabrał pewności. Niedawno jeszcze bunt lub złość sprawiały, że się jąkała. Teraz jest ostry i zimny jak brzytwa.

— Nie mówiłam do ciebie „ty”? O czym ty mówisz? — pyta Jeanne.

— Przypomnij sobie, Jeanne, kochana Jeanne. Przypomnij sobie. Mając czterdzieści lat nie traci się chyba jeszcze pamięci, prawda? Niecałe dwadzieścia cztery godziny temu mówiłaś do mnie przez telefon: czekam, czekam cierpliwie i bez obawy, ponieważ znamy się od dawna. Czy mam uwierzyć, że już o tym zapomniałaś?

— A więc to byłaś ty.

— Jestem twoim gościem, Jeanne.

Jej drobna twarz jest zamknięta i wydaje się, że uśmiech nie ma już dostępu do jej oczu i ust. Jest szczupła jak te owady, które, rozgniecione podeszwą, zadziwiają obfitością tryskającego z nich żółtawego płynu. W porównaniu z nią Jeanne czuje się ciężka, pełna, przesycona rozkoszą, która perli się na wszystkich jej wargach jak żywica sącząca się z pnia sosny i zaklejająca wszystkie wręby. Mężczyźni przekazali jej swój żar i jej brzuch jest rozpalony. Oczy iskrzą się. Z pewnych podróży wraca się z odmienionym spojrzeniem.

— Viva, moja mała Viva, musisz przewyciężyć ból. Nie proszę cię, żebyś zapomniała, ale żebyś żyła dalej.

— Moja matka twierdzi, że się mnie boi. Świadczy to przynajmniej o tym, że choć raz na mnie spojrzała. A ty, Jeanne, czy ty się mnie przypadkiem nie boisz?

— Martwię się o ciebie.

— Martwisz się? Może trochę za późno, nie sądzisz? Czy martwiłaś się o tych wszystkich mężczyzn, nad którymi się znęcasz? O tych, którzy umarł: na sali operacyjnej? A o Mathieu, Mathieu wiszącego na sznurze, martwiłaś się?

— Twoje życie dopiero się zaczyna, Viva.

— Jak śmiesz w ogóle mówić o życiu i o śmierci? W twoich ustach te słowa nie mają żadnego znaczenia. Śmierć jest przywilejem tych, którzy żyli. Ty nie możesz umrzeć, Jeanne, bo nigdy nie żyłaś naprawdę. Czterdzieści lat, czterdzieści lat, a ty nie wiesz, co to znaczy kochać. Jak bardzo mi cię żal, Jeanne!

Małżonkowie Lorin, podtrzymując się wzajemnie w mroku, patrzą na obie kobiety nie próbując interweniować. Miasto wstrzymuje oddech. W powietrzu unosi się zapach ludzkich prochów. Jest to krytyczna godzina.

W szpitalach pacjenci tracą siły i śmierć korzysta z tego, by pokonać we śnie najsłabszych. Jeanne usiadła na balustradzie tarasu. W tym miejscu jest bardzo wąska i nie ma tu ani drzewek, ani kwiatów, żeby nie zasłaniały widoku na Pole Marsowe, spoczywające pod ażurowymi filarami wieży Eiffla.

Dziewica i wdowa, mała Viva jest wysuszona przez własne cierpienie. Pod czarnym ubiorem wyczuwa się, że jest koląca, ostra, zakrzepła jak róża pustyni. W chwili kiedy noc ma się przeistoczyć w świt, ciało Vivy jeszcze trochę bardziej twardnieje i kamienieje. Jak gipsowa rzeźba lub kamienny posąg, dziewczynka z zamkniętym tonem, mówi urywanym głosem. Między słowami nienawiści długie chwile milczenia. Jej język staje się nagle chwilami bezsilny, by wyrazić odrazę, jaką budzi w niej Jeanne. Znow widzi przed sobą kołyszące się ciało Mathieu. Przypisuje mu w myślach inne tortury i inne grymasy. Ze skamieniałej twarzy Vivy nie można już nic wyczytać. W jej wielkich zielonych oczach, tak podobnych do oczu Jeanne, ledwo tli się życie.

Jeanne wyciąga rękę ku Vivie. Policzek dziewczynki jest lodowaty. Żółty kolczyk lśni w lewym uchu.

— Nie dotykaj mnie! — krzyczy.

Zamiast się cofnąć, by uniknąć dotyku ręki Jeanne, Viva zebrała się w sobie i jednym skokiem rzuciła naprzód. Uderzenie natychmiast zachwiało równowagę Jeanne. Jej długie obnażone ramiona szukały ramion Vivy, ale ożywiona na nowo statua odsunęła się i całe ciało Jeanne przechyliło się przez balustradę w stronę pustki i nocy.

Vivie zdawało się, że słyszy śmiech spadającej kobiety, którą kochała bardziej niż własną matkę.

RS